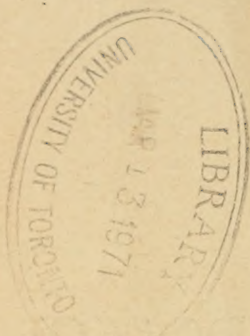
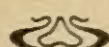


SPRAWA DOŁĘGI

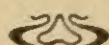


KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

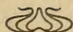
JÓZEF WEYSSENHOFF



SPRAWA DOŁĘGI



TRZECI TYSIĄC



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1901

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Іюля 1901 года.

I.

Sosnowy las stary, ale niezbyt zwarty, podszyty był zwikłanym gąszczem leszczyny, głogów, młodych odrośli drzew liściastych, obnażonych w tej porze roku i przyprószonych, jak cukrem, lekką warstwą świeżego śniegu. Długa, prosta droga, dzieląca stary las od bujnego zagajnika, świeciła blaskiem ponowy, wyiskrzonej klasycznie na pierwszy dzień polowań w Warze. Ranek był mroźny, bez wiatru, pogoda wesoła. Całą linię strzelców, rozstawionych wzdłuż drogi, twarzami do lasu, przenikał dreszcz myśliwski, ten dreszcz specyalny, który trzeba znać, aby go zrozumieć; składa się z prastarych jakichś instynktów zdobywczych, i z namiętności gracza, i z rozkoszy fizycznej, którą daje uścisk natury dzikiej, pełnej niespodzianek.

Cicho było na wielkiej drodze. Lada dźwięk nabierał w tej ciszy wielkiej echowej doniosłości, i Dołęga słyszał ze swego stanowiska, na kilkaset kroków, gdy który z myśliwych tupał nogami dla rozgrzania się, lub okrzesywał przed sobą gałęzie dla rozszerzenia widoku i pola strzału.

Wóz jednokonny, na którym chłop wiózł babę, owiniętą w chusty, nadjeżdżał, postukując po drodze. Chłop, spostrzegłszy pierwszego myśliwego, zdjął baranią czapkę i zajęczał coś, czego Dołęga nie dosłyszał, co jednak musiało być chrześcijańskiem pozdrowieniem. Usłyszał za to wyraźnie odpowiedź:

— Czego się tu włóczysz? Zawracaj do dyabła!

Chłop nie zawrócił, tylko ściągnął batem szkapę, która, ślizgając się, poszła kłusa, a wóz zaturkotał po grudzie, nie dosyć jeszcze śniegiem pokrytej, i dudniał tak wzdłuż linii, przeklinany gęsto przez myśliwych, bo zaraz mogła ruszyć naganka, mógł lis się zwrócić od hałasu na drodze, mogła też baba, siedząca na wozie, przynieść nieszczęście, według zwykłego myśliwym przesądu. Chłop wiedział to wszystko, ale widocznie tak myślał:

— Będzie, co będzie, a ja tam do miasta muszę przed południem...

Poganiał, uchylał czapki, udawał pokorę i jechał dalej, aż minął linię strzelców, i znowu zaległa cisza.

Dołęga, który studya inżynierskie odbył na Zachodzie, myślał sobie teraz, przeprowadzając oczyma tę nędzną chłopską furmankę:

— Francuz, Szwajcar, Belgijczyk byłby przejechał tą publiczną drogą, nie witając nieznajomych ludzi, i niktby nie śmiał wymyślać mu za to, że jedzie... Czy to lepiej?... bo znowu klasy oświeceńsze, bogatsze, no i starsze, muszą się otaczać pe-

wnem poszanowaniem... Belgijczyk za to miałby lepszego konia i po doskonałej szosie, nie po tej podłej grudzie, jechałby prędzej... O, właśnie szosy — wszędzie, do wszystkiego potrzebne szosy!

Myślał lekko, sennie, jak się myśli na stanowisku w lesie, w różowem upojeniu zimowego rana.

Teraz ciszę zamącił dźwięk gwałtowny, rytmiczny, zbliżający się. Na rasowym koniu przejeżdżał cwałem starszy strzelec, podłowczy, piękny chłop szląski, zaszyty jak w pancerz w szarą kurtę z zièlonemi wypustkami, ze szlifą na ramieniu, z książęcą koroną na przodzie kaszkietu. Walił przez drogę pochylony, zmarszczony, niby ordynans, niosący najpilniejsze wieści o nieprzyjacielu, aż serce rosło Dołędze, który lubił nadewszystko energię.

— Szrapl! — krzyknął sąsiad Dołęgi na lewo, jegomość ze szpakowatemi faworytami, pełen godności.

Podłowczy osadził konia.

— Powiedzno, Szrapl, dlaczego my tu marzniemy od pół godziny, a naganka nie rusza?

— Bo, proszę pana barona — odpowiedział mocnym, zdyszanym głosem i łamaną polszczyzną podłowczy — z tutejszymi chamami nie można być gotów; ta kanalia jest w kij głupia i ja sam muszę oba skrzydła zaciągać.

— No, zwijaj się, zwijaj, chłopcze! — odrzekł protekcyonalnie baron Kersten, kiwając po królewsku głową.

— Zaraz będzie trąba! — zawołał Szrapl i pocwałował dalej.

Dołęga spojrzał z ukosa na oddalonego o kilkadziesiąt kroków sąsiada na lewo i myślał:

— Dlatego, że stary książę mówi mu „ty“, a księżna czyta mu swoje elukubracye pamiętnikowe, ta napuszona figura traktuje wszystkich z góry. Mnie nawet zaczął już protegować... chciałbym wiedzieć, z jakiego tytułu?... Za to ten drugi nie gada ze mną zupełnie, a bardziej mi potrzebny... Co może się też kryć pod tą niemą maską?

I spojrzał na drugiego sąsiada na prawo.

Niezamącony, pogardliwy spokój bił od tej suchej postaci, przybranej w angielski kostyum, od tego ostrego profilu, prawie bez zarostu. Stał tak nieruchomie, twarzą do lasu, z rękoma w kieszeniach kurtki, za nim podręczny strzelec tak poprawnie trzymał dwie strzelby, że tworzyli razem niby grupę, odlaną z wosku na wzór, jak ludzie, którzy się szanują, powinni wyglądać na polowaniu.

Był to hrabia Adam Szafraniec, jeden z najbogatszych ludzi w kraju. Nie żonaty, zaledwie trzydzieści lat liczący, zyskał już sobie reputacyę skąpca. Jeździł po swych rozległych dobrach, zbierając pieniądze, i rzadko nawet pokazywał się w miastach z obawy przed wyzyskiem swojej szczelnie zamkniętej szkatuły. Wymagano od niego wprawdzie za wiele, ale nie otrzymano dotąd nic. Tę nienaturalną w młodym człowieku namiętność do pieniędzy niektórzy tłómaczyli na jego korzyść: „Sza-

franiec zachowuje się do czasu jakiegoś szerszego działania, robi też dużo dobrego po cichu".

Słyszał o tem i Dołęga, więc teraz myślał:

— Byle tylko przełamać tę inercyę, poruszyć go, pchnąć... ale jak to trudno! Rozmówić się nawet nie można: spytać go o zdanie, wytrzeszczy niebieskie oczy i odpowie dwa słowa zagranicznym akcentem.

Wtem przeniknął ciszę odległy dźwięk. Nie przedarł jej, tylko przeniknął, wypłynął z lasu i napełniał powoli rozkołysane powietrze. Potem głos trąbki potrylował przez kwarty i zamarł na nizkiej oktawie. Odpowiedział mu dalszy sygnał.

Chwila ciszy niespokojnej: nie słychać jeszcze nic, ale już płatki śniegu spadają z gałęzi; nic jeszcze nie widać, ale migają niby cienie spłoszonych mieszkańców kniei.

Jakiś, zdaje się, okrzyk... teraz kilka, kilkaset niewyraźnych krzyków, zlewających się w dziwny, jak szum morza, szum zbliżającego się tłumu. Już Dołęga rozróżnia regularny postuk kołatek i pojedyńcze, wyrzucane przez chłopięce gardła, przewlekłe:

— Kota-a!

— Idzie naganka – rzucił przytłumionym głosem Kersten ku Dołędze, tonem pośrednim między twierdzeniem a pytaniem, bo nie chciał się przyznać do przytępionego słuchu.

— Idzie.

Padł strzał daleko, na prawo.

— Tak wcześnie, pewno do dzików! — odezwał się znowu Kersten.

— Zdaje mi się, że powinniśmy być cicho — odpowiedział sucho Dołęga.

— Pan inżynier ma racyę — zakończył Kersten i patrzył w las, zżymając się, jakby chciał ogłosić zającom, że ten pan, co obok stoi, nie zna form światowych, nie zna respektu dla ludzi szanownych i wysoko...

Wtem kiwnął się i przyłożył strzelbę do ramienia, ale ją odjął i, przechylając się, usiłował odnaleźć dostrzeżoną przed chwilą rudą plamę.

Dołęga dawniej już zobaczył przemykającego ku linii lisa, który teraz, spłoszony ruchami Kerstena, rzucił się w bok i, przeciw ustalonej przez bajkopisarzy opinii, najgłupiej wyszedł na linię o dziesięć kroków od Dołęgi. Ten był zupełnie przygotowany, wypuścił lisa do pół drogi i położył go jednym strzałem na śnieżystym kobiercu. Kersten rzucił pożądliwem okiem na ponętną zdobycz, poczem odwrócił się prawie tyłem od Dołęgi.

Coraz częściej strzelano, coraz głośniej postępowała naganka. wybuchając czasem nieludzkim krzykiem, jak psy, gdy zaczną gonić na oko. Dołęga zabił jeszcze cztery zające i cieszył się, że tak dobrze strzela, bo choć nie miał dotąd ani czasu, ani wprawy do polowania, lubił łowy i lubił wszystko, co robił, robić dobrze. Szafraniec położył pięć zajęcy, wszystkie w tem samem miejscu, na

prawo, za drogą. Kersten strzelił kilka razy, ale nic nie zabił.

Naganka doszła do linii; krótkie hasło trąbki zatrzymało ją i oniemiło. Powstał teraz wesoły gwar i ruch myśliwych w kierunku do Szafrańca, który miał stanowisko ostatnie przy lewym flanku. Szafraniec posłał na stanowisko Dołęgi strzelca, aby obejrzał lisa; sam nie lubił ruszać się niepotrzebnie, ani rozmawiać z mało znajomymi; Dołęga zaś opuścił swych sąsiadów, wśród których było mu nieswojo, i szedł na spotkanie zbliżającego się Andrzeja Zbarazkiego.

Andrzej postępował, kołysząc zgrabnie długą swą postać, wyższy o głowę od całej otaczającej go grupy, i uśmiechnięty tak uprzejmie, że można mu było przebaczyć strojność postawy i ubliżająco cienkie rysy. Ciemne, kobiece oczy o długich rzęsach łagodziły wyniosłość tego potomka hetmanów.

— Cóż zabiłeś, Janku? — wołał już zdaleka.

— Mam cztery zające i lisa — odpowiedział Dołęga.

— Lisa?! brawo! to rzadka u nas zwierzyna. A ja bardzo gości swych przepraszam, ale zabiłem dzika. Cóż było robić? — wyszedł na mnie, jak po sznurku.

— Ślicznie położył tego odyńca — świadczył powagą swoją Hektor Zawiejski — z przyrzutu, w gąszczu takim, jak strzecha! — i zrulował go w biegu, jak kota.

Andrzej patrzył na mówiącego ze swego wy-

sokiego piętra, mrużąc uprzejmie oczy; nie przeczył mu, chociaż wiedział, że strzelił wprawdzie celnie, ale do stojącego dzika. Gdyby zaprotestował, wywołałby replikę ze strony Hektora, którego nieco krzykliwą wymowę znał oddawna i unikał jej.

Wkrótce myśliwi zeszli się wszyscy na stanowisku hrabiego Szafrańca. Zawiejscy z Chwaciejówki, ojciec i syn, sąsiedzi Waru, mieli obaj ważną jakąś sprawę do Szafrańca, wzięli go pod ręce i prowadzili przodem w kierunku nowych stanowisk.

Do Andrzeja, który stał z Dołęgą, przypadł Szrapl, salutując z konia, po żołniersku.

— Czy książę pan rozkaże razem zajmować zagajnik, jak jest w planie, czy opuścić, a zająć tylko od trzech kopców?

— Tak, jak w planie — odpowiedział Zbarazki.

— Na rozkazy waszej książęcej mości — zagrzmiał Szrapl. — No, dalej, chłopy! żywo! — zwrócił się do kilku gapiów z naganki, którzy ociągali się za szeregiem, aby przyjrzeć się panom. Czego stoita gawrony? Chcecie pejczem?!

I najechał koniem na stojącego najbliżej wyrostka, pchnął go trzonkiem od kańczuga, aż się chłopiec przewrócił, i z ziemi spojrzał nienawistnie na jeźdźca.

Andrzej zawołał Szrapla, a gdy ten zwrócił konia i podjechał bliżej, rzekł mu cicho:

— Niech Szrapl pilnuje porządku, ale niech nie tratuje ludzi. Proszę.

Podłowczy skłonił się milcząc i odjechał.

Andrzej wziął Dołęgę pod rękę i postępowali razem po wązkiej ścieżce, prostopadłej do pierwszej linii, odpowiednio do kierunku nowego zakładu. Po ścieżce tej ciągnęli myśliwi wydłużoną czeredą; od czasu do czasu jeden z kompanii ubywał, spostrzegłszy numer swego stanowiska na plecionym z jałowca koszu. Miejsca Zbarazkiego i Dołęgi były jeszcze daleko, więc, idąc, gawędzili.

— No, nie wiedziałem — mówił Andrzej — że z ciebie i myśliwy, bo żeśmy tam, na uniwersytecie, dobrze strzelali z pistoletu, to inna rzecz, to było potrzebne, zwłaszcza dla ciebie, z twoim burzliwym temperamentem.—Ale, gdy mowa o temperamencie, co ty myślisz o pani Izie?

— Nie wiem, co myśleć; znam ją dopiero od przedwczoraj. Piękna jest.

— Prawda? — przytem, mimo wszystko, co tam się da o niej powiedzieć, osoba wyższej kultury, dobrej rasy.

— Na tem ja się nie znam — odparł szybko Dołęga — a przynajmniej inaczej rozumiem rasę.

— Ech, bo ty jesteś Katon; ale ja ci mówię, że kobieta rasowa inna jest — no, jakby to powiedzieć? — inny ma smak.

Dołęga stanął i zadarł głowę, aby zajrzeć prosto w oczy Zbarazkiemu; podparł się w boki, zaciął usta i przybrał tę postawę wyzywającą, która

mu zyskała na uniwersytecie przydomek „białego koguta“, miał bowiem bardzo jasne włosy i wąsy, ciekawie zespolone z energicznym profilem i nizkiem czołem, fałdującem się w podkowę. Andrzej podparł się również w boki i spoglądał na Dołęgę przez swe długie, czarne rzęsy. Wyglądali razem zabawnie.

— Mój Andrzeju! — rzekł wreszcie Dołęga — albo jesteśmy starymi kolegami i mówimy szczerze, albo politykujemy tak, jak okłamują się wzajemnie sportowi mężowie stanu, jak porozumiewają się pan Mędrkowski z panem Nieprzewąchalskim.

— Nieprzewąchalski? — czy to szlachta? — zapytał Andrzej, tak komicznie naśladując głos i ruch ojca swego, księcia Janusza, do którego był podobny, że Dołęga parsknął śmiechem i zmienił postawę.

— Nie można z tobą gadać poważnie.

— No, na polowaniu, pozwól, mój drogi mistrzu — ciągnął Zbarazki miękkim, śpiewnym głosem, biorąc znowu Dołęgę pod ramię i idąc z nim dalej — pozwól być trochę, że się tak wyrażę, lekkomyślnym. A zresztą niech mi wolno będzie zapytać, dlaczego się mnie czepiasz?

— Dlaczego? nie rozumiesz? — rzekł zatrzymując się Dołęga — bo, jeżeli myślisz o... smaku pani Hohensteg, to wszystko, co mi mówisz od miesiąca o innem głębszem uczuciu...

— Ach, to co innego — gdzież tam — przerwał Andrzej i zgasła mu wesołość w oczach.

Poszedł śpieszniej i po chwili mówił, jakby żaląc się:

— Ty mnie tyranizujesz swoją nieprzejednaną prawością, i wogóle stawiasz kwestye zanadto śpiczasto, — życie takie nie jest, nie można ciągle żyć jedną logiczną myślą; trzeba się czasem poddać i przelotnym wrażeniom. — Zresztą, cóż ci mówię? Że kocham się w pani Izie? — wcale nie. A ona nie jest znów tak łatwą zdobyczą...

— Co to, to mówiąc między nami... — mruknął przez zęby Dołęga.

— Jakto? — ożywił się znowu Zbarazki i błysnął zmysłowo zębami — miałeś z nią jakieś drobne przejście...

— Broń Boże! – tylko słyszę, jak gada, widzę, jak się wdzięczy do wszystkich, do ciebie, do szlachetnego Hektora, nawet do tego stroiciela fortepianów.

— Jakiego stroiciela?

— No, tego muzyka, jak on się nazywa?

— Ależ mój Janku! pan Amon jest najlepszym uczniem Rubinsteina!

— Może być. — Ja wolę twoich trębaczy! Wracając do hrabiny Hohensteg-Wildstein, mnie się ta egzotyczna pani wcale nie podoba, zwłaszcza w domu twoich rodziców, w towarzystwie twojej siostry.

— Mój drogi — odpowiedział Zbarazki — pani Iza jest przecie Polką i naszą krewną; pożyczyła tylko nazwisko od męża, którego nie widujemy, bo

nie wyłazi z Austryi. Pani Iza należy do konieczności towarzyskich, spotkasz ją wszędzie; — gdybyśmy zaczęli tak przebierać...

— Właśnie trzeba przebierać, na waszem stanowisku obowiązkiem jest przebierać.

Andrzej spojrzał ukradkiem na Dołęgę z dziwnym uśmiechem, w którym przez przyjaźń przebijało trochę szyderstwa.

— Tobie się nikt nie podoba. Jakbyś przesiał wszystkich przez swoje sito, pozostałoby na wierzchu może kilka osób, i to nieboszczyków: Mickiewicz, Batory, święta Kunegunda...

— Nie wiem, czy dobrze się rozumiemy. Ja przecie nie jestem księdzem, ani cenzorem obyczajów, tylko chcę, aby wartość ludzi nie była fikcyjna, lecz rzeczywista, żeby w kursie społecznym asygnaty były złotem, nie tylko asygnatami, — i moje sito, o którem mówisz, jest przyrządem taksacyjnym; nie mam dosyć władzy, aby stosować ten przyrząd, ale wolno mi za nim przemawiać i bronić mojego systemu arystokracyi.

— Dobrze — odpowiedział Andrzej, którego zwrot rozmowy zaczynał nużyć — więc pani Iza jest, według ciebie, asygnatą. Jabym ją wziął, przyznam się. — O! słuchaj — sygnał. Do widzenia. Będą sarny w tym zakładzie — napewno.

II.

Słońce wzbiło się wyżej i ugrzęzło w rozwleczonych po niebie szarych chmurach, dzień spowszedniał, znikły różowe odblyski po lesie, śnieg nie iskrzył się, naganka hukała mniej wesoło. Ale polowanie szło dobrze, gęste strzały świadczyły o doskonałym stanie zwierzyny i o wybornej komendzie Szrąpla.

Dołęga przechodził ze stanowiska na stanowisko, bardziej zadowolony ze swego strzelania, niż z rozmowy z Andrzejem.

— Zawsze powiem za dużo; nawet z nim, choć to przyjaciel, trzeba mówić oględniej. — Ale co ja tu robię wogóle od czasu tego zjazdu na polowanie? — Póki miałem płatną robotę, wszystko było w porządku.— Teraz? — No, ci wszyscy ludzie potrzebni mi do sprawy. Szafraniec, stary Zawiejski — tacy bogacze! — Gdybym wyjechał przed polowaniem, nie poznałbym ich, a gdybym nie poznał... moje szosy byłyby ciągle tylko na papierze.—Prawda i to.

Znowu szła naganka, padł gdzieś pierwszy strzał.

— Tymczasem — kończył swe rozmyślania Dołęga — skoro z nimi poluję, trzeba ich przestrzelać. Nic to nie zaszkodzi.

Miał tym razem stanowisko flankowe, zwykle poszukiwane przez myśliwych. Zdawało się rzeczywiście dobrem, bo na prawo polana przyczyniała się do łatwości strzału, a zwierzyna przyciśnięta ostatecznie przez matnię naganki i lewe jej skrzydło, musiała pójść na polanę. Była jedna przeszkoda: prostopadle do linii strzelców przechodziła wielka droga, przecinająca linię właśnie przy stanowisku Dołęgi. Po drodze tej starożytnej, zwanej „traktem Warskim“, ciągnęły nieustannie, między poszczerbionym dwójrzędem lip, rozmaite furmanki. Niepodobna było nawet je zatrzymać: jechało ich za wiele.

Jan zżymał się, że mu spłoszą zwierzynę, spostrzegł jednak niebawem stado sarn, śmigające, jak płowa błyskawica, o jakie dwieście kroków przed nim, z lewa na prawo, ku owemu traktowi. Wrzask na prawo—to skrzydło naganki przyjęło okropnym okrzykiem wymykające się z ostępu stado. W jednej chwili sarny, zwrócone, były już przed Dołęgą. Zobaczył zblizka starą kozę, na czele stada, mijającą w pysznych, mądrych skokach drzewa i krzaki; widząc już linię strzelców, postanowiła rozpaczliwym ruchem przemknąć, licząc na sprężystość swych stalowych mięśni. Nie wiedziała jednego: że do kóz

strzelać tu nie będą. Za nią skakało zygzakiem młode koźlę, naśladując ruchy matki. Trzeci dopiero, nieco opodal, z głową bardziej wzniesioną, sadził kozieł.

— Ten mój! — pomyślał Dołęga i wymierzywszy dobrze przed pierś kozła, strzelił.

Mignęło jeszcze kilka sztuk, poszedł głuchy grzmot racic wzdłuż linii myśliwych i zagrała gęsta strzelba, zmieszana z okrzykami naganki.

Kozieł znikł po strzale i już go Dołęga chciał pójść szukać po kniei, gdy zobaczył chłopców wlokących kozła za nogi, z wielkim trudem i głośnem zadowoleniem.

— Dawajcie go tu! — krzyknął również radośnie Dołęga, a gdy już śliczne zwierzę legło na linii, farbujące ciepłą krwią śnieg podeptany, przemknęła Janowi myśl przez głowę, z czego się te drapieżne chłopcy — i ja z nimi — cieszymy?

Ale było to raczej mętne poczucie, bo znów zawrzał gwar, tym razem szumniejszy. Paru strzelców grało pobudkę figlarną: hasło do śniadania. Ta nuta dziwnem jakiemś fizycznem szczęściem napełniła pierś Dołęgi, który stał jeszcze nad swym łupem i spoglądał na trakt Warski.

W kierunku do Waru wlokła się jedna z tych bud cygańskich, namiot na kołach, pełen szmat brudnych i kolorowych, pełen dzikich oczu. Buda dojeżdżała do miejsca, na którem stał Dołęga. Od Waru zbliżała się bardzo szybko para czarnych wielkich koni, za którą mało co jeszcze było widać:

stojącą nizko postać woźnicy, pewno w sankach. Ale Dołęga domyślił się, a wkrótce i stwierdził, że panie z Waru przyjeżdżają na śniadanie.

— Jakto?! powozi Halszka? tą parą piekielnych ogierów po ślizkiej drodze?! a to kozak dziewczyna!

Księżniczka Halszka Zbarazka, siostra Andrzeja, powoziła rzeczywiście, stojąc na przodzie prostych bosych sań, w długiem męskiem futrze, w furmańskich rękawicach, w barankowej czapeczce, bez woalki.

Kładła się trochę na lejcach, ciągniętych przez dwa potężne wiedeńskie kłusaki, czarne jej oczy groźnie patrzyły z zarumienionej twarzy dziecka, a usta odęte udawały przesadną tęgość.

Rozpędzone sanie miały się właśnie minąć z cygańską budą. Pani Hohensteg, siedząca za Halszką, wychyliła się niespokojnie, furman wypędzony widocznie z kozła i przyczepiony z tyłu do sań, powstał, jakby chciał ująć lejce na wszelki wypadek, — cygańska bryka zajmowała bowiem środek drogi. Ale już dzielny woźniczka przesunął rozpędem sanie po wązkim i pochyłym boku drogi, między rowem a bryką, rzuciwszy tylko silnym głosem, dźwięczącym jak piorun, zagrany na flecie:

— Na bok, psiaa... krew!

Należało teraz zawrócić na linię leśną i jechać po niej stępa, bo była wązka i nierówna. Halszka przechyliła się całą siłą w tył, wstrzymała konie i wjechała na linię.

Mijała Dołęgę i uśmiechnęła się, odpowiadając

na jego ukłon. Całą grozę zdmuchnął jej niby wiatr wiosenny z twarzy. Mówiła dźwięcznie, pełną dziewczęcą piersią; mówiła, niby skarżąc się:

— No niech pan sam powie — te cygany!

A zobaczywszy leżącego kozła, zawołała znów innym tonem:

— A! zabił pan rogacza? brawo, panie!

Dołęga trochę się zapatrzył; dopiero, gdy go pani Hohensteg zaprosiła, aby się przysiadł na saniach, zebrał raźno strzelbę, ładownicę i jednym susem znalazł się obok pani Izy.

Była to piękna kobieta lat trzydziestu paru lub kilku, o wspaniałej postawie, regularnych rysach i dowcipnych, zmysłowych, siwo-niebieskich oczach. Szczególną miała plastyczność ruchów i smak w ubieraniu się.

Dołęga poczuł bardzo dobry zapach futra, zmieszany z jakąś wonią kwiatów, ale ten zapach drażnił go raczej nieprzyjemnie. Siedząc obok pani Hohensteg, myślał, jak też pachnie ten kosmyk włosów Halszki, który wysunął się z pod czapki i powiewał, czarno-rudawy, na barankowym kołnierzu kożuszka. Odgadła to pani Iza.

— Co pan woli, kożuch, czy sobole?

— Nie znam się na futrach, pani hrabino.

— A na czem się pan zna? O czem się z panem gada, panie biały kogucie? Ha, ha!

Pani Hohensteg miała zwyczaj mówić nawpół zalotnie, nawpół szyderczo i udawać chłopca-ur-

wisa. Miało to czasem ostry smak szczególny, czasem dźwięczało trochę fałszywie.

— Skąd pani zna mój przydomek? Andrzej pani powiedział?

— Ja powiedziałam — rzuciła prędko Halszka, odwracając do siedzącej za nią pary swój czysty, attycki profil.

— Pani? a to mnie bawi!

Dołęga począł się kręcić, nie znajdując stosownego dalszego ciągu rozmowy między temi dwoma tak różnemi kobietami.

Ale dojeżdżali do miejsca, gdzie przyrządzano śniadanie. Buchał dym błękitny z rozłożonego ogniska, dym lekki, wesoły, przesłaniający ruchomym słupem stare sosny.

Paru biało ubranych kuchcików zwijało się około przygrzewania saganów, służba zamkowa i leśna biegała od ognia do altany, która, ubrana w wieńce sosnowe, w cyfry i mitry, wznosiła się na małym pagórku. Zebrali się już koło niej myśliwi i gadali tak głośno, że słychać było na paręset kroków wybuchy śmiechu i zwykłe onomatopeje łowieckich opowiadań: bęc! rrym! fajt!

Nie zważając na nierówność drogi, która wznosiła się nieco w tem miejscu, Halszka zajechała tęgim kłusem przed altanę.

Ucichli myśliwi, odkryli głowy; Andrzej podał rękę pani Izie, aby jej pomódz wysiąść, ale ona oparła mu się na ramieniu tuż koło szyi i wysko-

czyła zgrabnie, wielka, strojna, wyzywająca porównania do łani i lwicy.

Tylko Halszka, chociaż już furman ujął za lejce, stała na koźle w swym długim męskim kożuchu, zdjęła rękawice i oglądała ręce zaczerwienione, drżące. Szepnęła nareszcie bratu:

— Jędruś! weź mnie z tych sani, bo nie mogę...

Andrzej ujął ją w pół oburącz i postawił na śniegu, potem, jak z futerału, wydobył ją z kożucha i z niekształtnej postaci woźnicy wyłuszczył dziewczę, ubrane w opięty kubraczek, zdrowe, choć wiotkie, o profilu Dyany, o mokrych, dobrych ustach. Stało trochę oszołomione, podając wszystkim serdecznie swe odrętwiałe od wysiłku rączki.

— Okropnie ciągną te kare... trudne są te kare — powtarzała Halszka, odpowiadając samej sobie na jedyne pytanie, które ją zajmowało w tej chwili.

A twarze mężczyzn mówiły co innego. Spostrzegła to pani Hohensteg. Podając ramię Szafrańcowi, weszła do altany i przerwała nieme rozrzewnienie mężczyzn około Halszki.

— Ładnie tu jest — rzekła, siadając na ławie, zwrócona do rozległego widoku na rzekę, na faliste pola i lasy, poza któremi widać było z daleka zamkową górę, uwieńczoną murami i wysmukłą wieżą kaplicy.

— Stąd War dobrze wygląda — rzekł Andrzej. — Zblizka patrząc, widzi się różne dziwactwa architektoniczne moich zacnych przodków, któ-

rzy, jak reszta świata, musieli być niegdyś parweniuszami. Prawda, Izo?

Siadali wszyscy bez porządku, ani hierarchii,— po myśliwsku. Pani Iza, klepiąc dłonią ławę przy sobie, zapraszała uśmiechem i giestem Hektora Zawiejskiego, który prześliznął się gładko, usiadł i wmieszał się do rozmowy:

— Ale co mówisz, Andrzeju! War jest zabytkiem z trzynastego wieku.

— Z szesnastego — poprawił Andrzej.

— Z któregokolwiek — w całości swej jest cennym zabytkiem — une de nos gloires nationales! Prawda, papo? — rzekł zwracając się do ojca — gdybyśmy mieli taki War...

— Tobyście go polakierowali na czarno, żeby był jeszcze starszy — odezwał się podżyły szlachcic, który ze swojej prawdomówności urobił sobie charakter i karyerę.

— Daj pokój, Szydłowski!—bronił syna pan Norbert Zawiejski. — Hektor ma słuszność: stare zabytki trzeba szanować nawet z ich usterkami.

Głowa pana Norberta, wielka, łysa, z siwą kędzierzawą brodą i takimiż lokami przy uszach, przypominała barokowych apostołów; był przytem rosły, barczysty i pełen okazałej powagi.

Hektor skubał brodę z pewnem rozdrażnieniem: nie wygadał się, a na pocisk, wymierzony przez Szydłowskiego, skoro już odpowiedział ojciec, syn nie miał powodu odpowiadać.

— Ja państwu powiem — rzekł Kersten, dbały

o poprawność i ostateczną przewagę swego zdania, co mu zyskało przydomek „ortografa“ — ja państwu powiem: trzeba odróżnić stary War, to jest basztę zachodnią i część południowej, od nowych dodatków. Baszta zachodnia...

Nikt nie chciał słuchać tych wywodów, zaczem baron pochylił się do siedzącego przy nim Szafrańca i kończył rzecz ciszej. Szafraniec potakiwał zlekka, żując poważnie śniadanie i milcząc.

Słońce wydobyło się z chmur, powietrze rzeźwe, przesycone wonią sosnową, napełniło wszystkie piersi dobrobytem i fantazyą. Obecność dwóch pań nie wprowadziła do altany atmosfery salonowej; mężczyźni byli tu u siebie, a panie udawały towarzyszów broni, co nawet ubiór ich krótszy wyrażał. — Głos zabierała głównie pani Iza. Halszka znużona, opierała się o słup altany i siedziała cichutko między starym Szydłowskim i Szafrańcem, czasem tylko otwierając usta do uśmiechu, który był promienisty.

Zaraz rozmowa zeszła na myśliwstwo. Ten opowiadał o najświeższych wrażeniach dnia, tamten porównywał ilość zwierzyny z przeszłoroczną:

— Stan sarni wyborny, wszędzie je widać. Zajęcy może trochę mniej — zimna była wiosna. — Kersten opowiadał o „strekach“ na polowaniach szląskich, gdzie go zaproszono, temu lat 20, specyalnie dla arcyksięcia X., z którym był w przyjaźnych stosunkach.

— Musiał być podówczas zabawniejszy — szepnął Andrzej do pani Izy.

— J'te crois! — odszepnęła.

Krupnik i polędwicę sprzątnięto sumiennie. Wino i piwo nie czekało w szklankach. Pani Hohensteg piła, jak markietanka, i z największą swobodą uderzała Andrzeja serwetą po głowie. Zamierzyła się też raz na drugiego swego sąsiada — Hektora.

— Chce pan dostać po łbie?

— Oh, madame la comtesse! — skłonił się Zawiejski rozkosznie i położył prawie na talerzu starannie rozczesaną głowę.

— Pan ma dobrą głowę z tyłu! ha, ha! — zaśmiała się pani Iza, odkładając serwetę.

Książę Koryatowicz, krewny Zbarazkich, zawołany myśliwy i doskonały strzelec, traktujący łowiectwo zupełnie fachowo, troszczył się o to, kto zabił najwięcej sztuk, i pytał każdego po kolei.

— A wystrzeliłeś nareszcie, mój zagwożdżony ładuneczku! — wołała na niego rozbawiona pani Iza.

Ale poważny, choć młody, kuzyn puścił mimo uszu wyzwanie i pytał dalej:

— Pan baron?

— Och, ja mam stałego „pecha“. Zabiłem, zdaje się, trzy zające.

To było Koryatowiczowi obojętne, bo miał sam trzy kozły, dziesięć zajęcy i cietrzewia.

— A pan? — zapytał z kolei Dołęgi.

— Zabiłem piętnaście zajęcy, lisa i kozła.

— To pan ma więcej sztuk odemnie.

— A tak.

— No, jeszcze nie wieczór, zobaczymy.

Spojrzał na Dołęgę z nowem zupełnie uszanowaniem.

Pani Iza rzekła do Dołęgi:

— Widzi mi się, że pan tylko tak udaje inżyniera, żeby nam zaimponować, a w środku siedzi w panu birbant?

Zaśmiano się, bo Dołęga mało pił i mało mówił przy śniadaniu; poczuł więc ten lekki zamiar dworowania sobie z niego. Odpowiedział, spokojnie mierząc w rozbawioną kobietę jasnemi oczyma:

— Dziwi mnie, że pani hrabina tak mało zna się na birbantach.

— A na inżynierach jeszcze mniej — prędko odpowiedziała pani Iza. — Stanę przy panu na przyszłem stanowisku, przyniosę wenę i zrobię z pana króla.

— To mi przypomina, najukochańsi goście, że pora ruszać — rzekł Andrzej. — Musimy jeszcze opolować pięć zakładów i wrócić do Waru przed zachodem słońca. Ojciec prosił. Niech Iza stanie sobie teraz przy Dołędze, a ja zabiorę z sobą Halszkę... Patrzcie na Halszkę, tylko cicho...

Spojrzeli wszyscy na dziewczę, które, oparłszy głowę o słup altany, drzemało uśmiechnięte, bledsze niż zwykle, kołysząc miarowem tchnieniem swój opięty kubraczek.

— Śpiąca Aryadna — rzekł Kersten.

— Zupełnie — pierwszy raz zgodził się z Kerstenem Dołęga.

— Zagrać sygnał! — rozkazał Andrzej półgłosem.

Na dźwięk trąby zerwała się Halszka z ławy, zarumieniła się gwałtownie i nareszcie się sama z siebie rozśmiała.

— Te konie zmęczyłyby każdego z panów, doprawdy — tłómaczyła się jeszcze. — Wczoraj Barnaba nimi powoził i poniosły go. Ja jestem bardzo silna, panie Dołęgo, niema się z czego śmiać. O! niech pan spróbuje..

Wyciągnęła do niego ramię, biorąc się lewą ręką za muskuł prawej, niby gimnazista, popisujący się przed kolegą.

— No, niech pan spróbuje.

Dołęga dotknął ciepłego, okrągłego ramienia dziewczyny, nie śmiejąc spojrzeć jej w oczy.

— A co?

— Bajeczne.

Andrzej zawołał na siostrę, aby z nim siadała do bryczki.

— Ja mam z tobą stać na stanowisku? — rzekła Halszka, żebyś mi nie pozwolił ust otworzyć? Nie chcę. Ja sobie kogoś wybiorę.

I widząc, że wszystkie oczy zwrócone ku niej, gotowe są aż nadto na jej skinienie, użyła starego fortelu. Czytała może Szyllera?

— Kto mi podniesie rękawiczkę?

Ze wzniesionej altany cisnęła rękawiczkę przez baryerę na śnieg. Rzuciła się młodzież po nią, ale

tymczasem stary Szydłowski, który już był zszedł i, niewidzialny dla innych, stał pod altaną, słysząc przemowę i widząc rękawiczkę, spadającą mu pod nogi, podniósł ją, a potem, prezentując, zbliżał się do Halszki w komicznych podrygach:

— Teraz, proszę ze mną do lasu, proszę, nie ustąpię.

— Nie — rzekła Halszka, odymając przymilnie usta — pan mi także nie pozwoli mówić; stanę sobie... z Adamem.

I wzięła Szafrańca pod rękę, opłaciwszy się Szydłowskiemu dość zalotnem spojrzeniem.

Pani Hohensteg, siedząc już w sankach, patrzyła na tę scenkę i rozmyślała zapewne nad tem, że młodość jest najlepszą polityką z mężczyznami.

— Halszko! siadaj prędzej! — wołał Andrzej — staniesz sobie, gdzie zechcesz, ale nie opóźniaj wyjazdu.

Panie siadły razem, jak poprzednio, tylko już furman powoził. Mężczyźni pomieścili się w bryczkach i sankach; nowe stanowiska były oddalone i trzeba było do nich dojechać. Dołęga siadł na pierwszą lepszą furmankę, pochylił się mocno i ścisnął skronie rękoma.

— Co panu jest? — zapytał Koryatowicz, siedzący obok niego.

— Nic, głowa mnie boli.

— Niech pan nie przykłada strzelby do twarzy, tylko strzela z przyrzutu.

Koryatowicz liczył na to, że, strzelając z przyrzutu, Dołęga zabije mniej po południu i nie zostanie królem.

A Dołęga już dawno zapomniał o swem myśliwskiem królestwie.

III.

W wielkiej sali jadalnej zamku na Warze, dwaj mężczyźni, pochyleni nad papierami i księgami, zatopieni byli w jakiemś artystycznem zajęciu. Książę Janusz Zbarazki kopiował ołówkiem rycinę ze starej księgi, której oprawa „alla rustica“ cechowała wyraźnie XVIII wiek francuski, przyczem podnosił co chwila oczy na ogromny zielonkawy piec, stojący w rogu sali. Ostry, zakrzywiony nos, twarz okrągła, oczy okrągłe, do połowy przysłonięte cienkiemi powiekami, symetryczne kosmyki włosów nad uszami po bokach wyłysiałej czaszki — przypominały głowę puszczyka, nie pozbawioną jednak powagi zwłaszcza w tej sali, gdzie z portretów wyglądał nie jeden podobny nos, podobny owal, lub okrągłe, przysłonięte oczy. Z żalem trzeba było wyznać, że i Andrzej do ojca podobny, że i z niego może kiedyś stać się ruina, świadcząca zaledwie o starej rasie i minionej piękności. Miał jednak inne oczy i dużo lepszą postawę, niż ojciec; książę Janusz był średniego wzrostu, nieco otyły.

Podczas gdy książę pilnie rysował, przechodząc

wzrokiem od pieca do książki, od książki do papieru, druga postać siedziała nieruchomie, wpatrzona w rysunek. Była to tylko głowa, stara, prastara głowa siwa, wychodząca, niby z harmoniki z poziomych fałdów odwiecznego halsztucha i surduta, podobnego do czamary. Pan Franciszek Salezy Marsowicz, burgrabia Warski, znał jeszcze dobrze dziada obecnego księcia, był w wieku jego ojca i oczywiście „na ręku nosił“ tego Janusza, który był dzisiaj panującym dynastą na Warze. Marsowicz nie wyjechał z Waru od lat kilkudziesięciu i miał o znaczeniu książęcego domu wyobrażenie co najmniej przesadne. Ze sługi stał się pomału niemal członkiem rodziny, dbał o tradycyę i splendor Zbarazkich, jak żaden z książąt tego imienia. Lubili go wszyscy Zbarazcy, gdyż dawał im złudzenia feodalne.

Książę Janusz skończył szkic i postawił arkusz na stole, aby mu się lepiej przypatrzyć.

— Tak będzie dobrze: rogi zaokrąglone, u góry fryz francuski, całość bardziej wysmukła... tylko czy taki piec będzie tu stosowny? Jak myślisz, panie Franciszku?

— Książę pan lepiej narysował, niż kopersztych — rzekł Marsowicz, wysuwając pergaminowe fałdy szyi ze zwojów halsztucha.

— Nie o to pytam, tylko czy piec taki dobrze zastąpi nasz stary, czy dostateczny na dużą salę, czy stosowny?

— Jak książę pan uważa.

— Tęgi z ciebie doradca, mój Marsie. Ano, zobaczmy, co tam wykoncypował muzyk mojej żony.

Klasnął w dłonie i rzekł do wchodzącego lokaja:

— Zobacz, czy pan Amon jest u siebie. Jeżeli jest, poproś go ode mnie o rysunek nowego pieca, rozumiesz? Rysunek nowego pieca, który obiecał mi zrobić na dzisiaj.

Skrzyżował ręce na piersiach, podniósł okazałą ptasią głowę i czekał. Marsowicz, oparty oburącz o laskę której od pewnego czasu nie opuszczał, siedział również nieruchomie. Na zwiędłej i pooranej twarzy chwilowe wrażenia duszy już nie grały wyraziście, jednak z częstego mrugania i pewnego ruchu policzków, można było wnosić, że staruszek boleje nad swym brakiem pomysłu i stara się ze wspomnień, z kroniki zamkowej wydobyć ten piec do sali jadalnej, rozstrzygnąć tę sprawę familijną; że sięga do wnętrza swej istoty, gdzie rada śpi w sercu męża.

Przyszedł sam pan Amon z wykonanym przez siebie szkicem. Był to młodzieniec, sprowadzony do Waru przez księżnę Hortensyę, która przy schyłku młodości coraz bardziej zajmowała się literaturą i sztuką. Amon grywał jej godzinami na fortepianie, dorabiał muzykę do jej piosnek, umiał też rysować, rzeźbić, fotografować — był artystą w każdym rodzaju i w każdym ruchu. Nie nosił klasycznej grzywy, zaledwie trochę potargane miał włosy:

czarne oczy patrzyły zawsze gdzieś w górę na prawo, jak ze znanego portretu neapolitańskiego lazzarone. Zresztą był cały w długich, wilgotnych rękach, któremi objaśniał wszystko co mówił, aż do przyimków.

Pan Amon wszedł do sali jadalnej i ukłonił się księciu spiralnie. Potem rzekł:

— Starałem się coś zrobić (nieokreślone trzęsienie powietrza, wyrażone przez palce) — nie wiem, czy to się spodoba? (ruch skromny) — fioletowe irysy na żółtem tle (symetryczne liniowanie powietrza) — ale ja to tak czuję...

Podał karton księciu, który nie znał nowych francuskich afiszów, nie mógł przeto ocenić pomysłu. Rzucił okiem na papier, potem na autora, potem na Marsowicza i rzekł trochę kwaśno:

— Dziękuję panu. Namyślimy się jeszcze nad tem.

— Przepraszam, jeżeli... (oczy w górę, na prawo)... ale ja to tak czuję.

I Amon znikł demonicznym półobrotem we drzwiach.

— Mnie się zdaje, że ten chłopiec ma bzika? — rzekł książę po wyjściu artysty.

— Et, proszę księcia pana... — było odpowiedzią Marsowicza.

— To już my we dwóch lepsi, co? — rzekł znowu książę.

Tymczasem Marsowicz przełknął ślinę, uroczyście skinął brwiami i tak mówił:

— Nie śmiem ja księciu panu doradzać, mogę tylko ze skołatanej, wiernej książęcemu domowi pamięci przeszłości wysnuć pamiątki. W moich oczach stawiano ten piec w roku, jeżeli się nie mylę, 1842, sumptem księcia Hieronima, ojca waszej książęcej mości. Kafle sprowadzono z Gdańska.

— Z Gdańska?

— Tak jest. Przyszły wtedy próby kafli: jedne białe, z błękitnemi wizerunkami z Pisma świętego, drugie zielone, gładkie, które tu książę pan widzi, bo je ś. p. książę ojciec wybrał, że były stosowniejsze i mniej kosztowne. Jeżeliby jeszcze w Gdańsku dostać można tych kafli, albo tamtych z wizerunkami, ośmieliłbym się...

— Wyborna myśl, panie Franciszku! Najlepsza myśl. Poszukamy pieca w Gdańsku, a jeżeli nie znajdziemy, to można obstalować na wzór podobny w Meissen, w Budziszynie. Dziękuję ci, panie Franciszku! To nie fioletowe irysy... Idę oznajmić księżnej, żeśmy się zdecydowali obstalować piec w Gdańsku.

Poszedł przez cały rząd pokojów, gdyż zamek był wielki.

IV.

Księżna Hortensya Zbarazka żyła życiem osobistem, gdyż poświęcenie siebie dla drugich nie wchodziło w zakres jej zdolności. Czyniła wprawdzie różne ustępstwa dla męża, którego ostentacyjnie kochała — dla dzieci, przedstawiających cząstkę jej ambicyi — ale żyła raczej „dla idei", dla wyrobienia sobie opinii kobiety rzadkiej, subtelnej, niewypowiedzianej; jednem słowem — żyła dla siebie. Przestawała głównie z ludźmi, którzy szczerze, lub z rachunkiem, wielbili czy to jej rozum, czy serce, czy nawet stanowisko społeczne; było to jej stałem zajęciem: odbierać hołdy, których nigdy nie miała dosyć, i które, jak sądziła, należały się jej. Obecnie, gdy hołdownicy zaczęli się przerzedzać, księżna pracowała nad zyskaniem ich sobie. Ze starych przyjaciół, głównie z mężczyzn, potrafiła sobie stworzyć wierny i dość jeszcze liczny poczet, a o ile go nie miała koło siebie, utrzymywała z nim korespondencyę. Pisanie długich, wymuskanych listów doszło do rozmiarów manii. Listy te zyskały jej w pewnych kołach sławę niezró-

wnanej stylistki w rodzaju epistolarnym. W listach było dużo kwestyi literackich, filozoficzno-sentymentalnych i dużo budujących uwag; pisywała też czasem modlitwy za kochane osoby i dla kochanych osób. Że zaś była dawniej bardzo piękna, dawni czciciele pozostali wierni tej łaskawej pani, która ich dotąd darzyła frazesami, pachnącemi jak na wpół zwiędłe róże. Między korespondentami byli i tacy, którym ta przyjaźń, stwierdzona podpisem: „Hortensya Zbarazka“, pochlebiała. Baron Kersten nie omieszkał nigdy, po otrzymaniu listu od księżnej, powiedzieć licznym znajomym: „dostałem dzisiaj list od tej kochanej księżnej Hortensyi; skarży mi się...“ i t. d.

Wobec zachodzącej już piękności, księżna coraz usilniej ozdabiała swój umysł i wznosiła serce. Obok manii listów, których bruliony zachowane składały rodzaj sentymentalnego pamiętnika, wzmogło się w księżnej zamiłowanie do sztuk pięknych, głównie zaś do muzyki, tej sztuki najłatwiejszej, nie wymagającej pracy mózgu, a mogącej zastąpić czasem inne, silniejsze jeszcze, rozkosze zmysłowe.

Tego dnia, odegrawszy z Amonem na cztery ręce kilka koncertów i parę wspólnych kompozycyi, siedziała księżna Hortensya przy biurku w swym buduarze, zwanym „mon refuge“. Pokój ten był półokrągły, narożny, pod zachodnią basztą zamku. Całe jego urządzenie z mahoniu i bronzu, naśladowane z gabinetu Fryderyka Wielkiego w „Sans-Souci“, dopełniały różne dodatki: kolekcya minia-

tur, kolekcya zegarów, kilka pastelowych portretów i wreszcie wielki, jak ołtarz, klęcznik. Ciężkie kotary psuły rysunek szaf, zastosowanych do ścian pokoju. Dla archeologa był to jedyny w zamku pokój fałszywy, podczas gdy wszędzie panował tu dobry styl francusko-saski, napotykany w Dreźnie i w naszych starych pałacach. Ale malarz chętnieby zobaczył na tle tej pstrokacizny postać księżnej przed biurkiem, w jasnym szlafroku z koronkami. Jej twarz trochę otyłą ozdabiały piękne, tragiczne oczy, otoczone bronzowym cieniem, i nos prosty, jeszcze klasyczny. Siwizny nie było prawie znać pod starannem uczesaniem; wypielęgnowana ręka trzymała złote pióro. Księżna usłyszała kroki, zbliżające się do jej pokoju, i miała czas pomyśleć o estetyce swej postawy.

Gdy wszedł książę Janusz w rozpiętym szarym surducie, księżna, rzuciwszy mu mgliste, wracające z innego świata spojrzenie, wypowiedziała takie zdanie po francusku:

— Wtargnąłeś do mnie, jak rzeczywistość...

— Zdecydowaliśmy się co do pieca; będzie taki, jak był, z Gdańska — odpowiedział książę i usiadł w fotelu na rozłożonych nutach, które potem z trudnością z pod siebie usuwał.

— Z Gdańska? To dobrze. Wiesz, że ja się nie mieszam do nowych urządzeń w Warze. Mam tylko swój kącik, ozdobiony po mojemu.

Małżeństwo żyło w najlepszem porozumieniu: książę mówił żonie wszystko, księżna mówiła, co

chciała — a każda połowa miała faktyczną niezależność.

— Kazałem zagrać pobudkę przy powrocie z polowania.

— To dobrze, mój Januszu.

— Wiesz, Hortensyo, jabym wolał dzisiaj nie prosić na obiad tego Amona.

— Ale koniecznie! — odezwała się żywo — przecie to jest wielki artysta, najlepszy uczeń Rubinsteina.

— No, dobrze.

Pomilczeli chwilę, myśląc każde w swoją stronę. Księżna odezwała się pierwsza:

— Piszą mi z Warszawy...

O wiadomościach listownych mówiła zawsze w formie nieosobistej; przyzwyczaiła do tego męża oddawna.

— Piszą mi z Warszawy o nowym sukcesie Andrzeja; jakaś panna Helle... Ten chłopiec nie ma, doprawdy, żadnych zasad!

— Helle?... Poczekaj, moja droga... Helle to przecie ten milioner, przemysłowiec. Jeżeli mówią o jego córce, to... to jest jedynaczka, ogromnie bogata i nawet trochę w świecie bywa...

— Ach tak! — westchnęła księżna — w teraźniejszem towarzystwie wystawieni jesteśmy na ocieranie się o byle kogo... No, ale może to nie ta sama? „Helle“ może się każdy nazywać.

— Prawda i to — rzekł książę niezupełnie uspokojony.

Tymczasem głuchy stuk, jakby kamienie kto puścił po deskach, zwrócił uwagę obojga księstwa.

— Trębacze idą na basztę... a to dudnią po schodach! Widać, że już myśliwi wracają! — zawołał książę i dość żwawo wyszedł z buduaru żony.

Niebawem spotkał Marsowicza, nadzwyczaj ożywionego. Stary dreptał, pędzał rozmaitych wyrostków z trąbami i bez trąb.

— No, panie Franciszku, niech im zagrają od ucha naszą starą pobudkę!

— Będzie wszystko, będzie, mości książę... Niech Karwacki weźmie obok siebie dwie duże trąby, a małe niech się w tył cofną... a jak zacznięcie śpiewać, niech Karwacki dobrze prym trzyma... i nie żałować gardła, żeby wyraźnie słychać było aż na moście... i nie piać, jak koguty, jeden przez drugiego, tylko razem, składnie, tak...

Śpiewał niby na wzór, wysilając ochrypły głos, przytupując i w takt klaszcząc rękoma.

Ciągle dudniały kroki po wązkich schodach, prowadzących z pierwszego piętra na basztę narożną, umieszczoną przy wschodnim froncie, ozdobną krenelami i galeryą zewnętrzną.

Książę umieścił się z Marsowiczem przy jednem z okien wschodniego boku; otworzył okno, by lepiej widzieć i słyszeć.

Zamek, pierwotnie obronny, zbudowany w czworobok, zachowany był dotychczas w całości, ze zmianą tylko dachów na francuskie, z usunięciem wałów i fos od strony parku, spadającego z góry,

z przerobieniem mostów zwodzonych na stałe. rzucone przez rzekę. która pięknym łukiem opasywała wzgórze.

Słońce zapadało pogodnie za park. a od strony wschodniej, tam, gdzie patrzyli dwaj starzy. zamek rzucał olbrzymi cień na pochyły podjazd. na most i gdzieś daleko rysował na śniegu fantastycznie wydłużone swe dachy, baszty i dzwonnicę.

Za mostem trakt warski czernił się dwoma rzędami starych drzew. i falując po wzgórzystym kraju. wpadał w lasy.

Po tym trakcie zbliżali się myśliwi długim szeregiem sań i bryczek, w jasnym blasku roziskrzonego zachodem śniegu. Gdy już wjechali w cień zamku, z baszty zagrało hasło, przeciągły hejnał. wydęty z kilku zgodnych mosiężnych gardzieli. płynąc niby jęk odwieczny. niby zamarły tryumf, przez ciche powietrze wieczoru.

Furmanki zatrzymały się zbitą kupą u podjazdu. konie zastrzygły uszami.

A już granie zaczęło skakać. rozhukiwać się po pagórkach. Urwało się wstępne hasło i w ton ostatni wpadła piosenka skoczna. jak kłus konnicy. szumna, jak miarowy chrzęst husarskich skrzydeł, szczera jakaś i buńczuczna. aż wiało od niej przedwiekową ojców pobożnością. fantazyą i pychą.

Huknęło kilka męskich głosów:

Marsz, moje serce!
W pobudkę biją —

Strzelaj mordercę,
A chwal Maryją.
Boś u Maryi
Towarzyszem w regimencie.
Podaj się ty Jej
W opiekę święcie [1]).

W szósty wiersz wpadał akompaniament jednej trąbki, a po odśpiewaniu strofy przez przodowników, cały chór powtarzał pełnem gardłem dwa ostatnie wiersze, ze zgodną wrzawą trąb. Zaśpiewali znowu przodownicy:

Hej! z baszt na Warze
Trąby zagrały —
Zmykaj, Tatarze,
Póki grzbiet cały!
Hej, dobra nasza,
Dobra nasza, a nie czyja —
Wroga odstrasza
Panna Maryja.
Czy cię zaklina
Żoneczka młoda,
Czyliś chudzina,
Czy wojewoda,
Ślubne kobierce
Rycerz za się w siodło troczy —
Marsz, moje serce!
Poniosły oczy...

---

[1]) Pierwszy czterowiersz autentyczny. Całość, co do rytmu, naśladowana z bojowego śpiewu: „Sodalium Marianorum". (Przyp. autora).

Już i kompania myśliwska zaczęła, jak echo, powtarzać ostatnie wiersze, porwana urokiem rycerskiej śpiewki, która płynęła ze starej baszty dalej:

Gdybyś i poległ
Znakowi wierny,
Zagra ci w polu
Hejnał pancerny;
Żeś służbę Bożą
Zacnie sprawił w regimencie,
Nieboć otworzą
W każdym momencie.

Jak rycerz prawy,
Będziesz przyjęty,
Gdzie Stanisławy,
Gdzie Kaźmierz Święty,
Legli w żołnierce
Po za światem sławniej żyją, —
Strzelaj mordercę
A chwal Maryją!

Dzwonił teraz finał wszystkiemi trąbami. Grzmiał i przelewał się w echach, jak grom jaki mosiężny, i skonał, tak, jak się zaczął, jednym przeciągłym, stopniowanym jękiem w cichem powietrzu wieczoru.

Brawo! brawo! — rozległy się podniecone głosy myśliwych i towarzystwo wtargnęło po schodach do wielkiej sali pierwszego piętra, gdzie oczekiwał książę Janusz z Marsowiczem.

— Skąd wuj ma takich nadzwyczajnych trę-

baczy? — pytał Szafraniec, nawet on, zelektryzowany.

— Przypomina mi to sztreki na polowaniach u księcia Schwarzenberga — zaczął Kersten, który miał dar wszędzie wcisnąć nutę fałszywą.

— Skąd wuj ma taką orkiestrę? — pytała pani Hohensteg.

— Moi drodzy, od czasu, jak War Warem, grywano tę pobudkę rano i wieczór z tej samej baszty. Trębacze dziedziczą talent z ojca na syna; mam nawet wieś całą nazwaną „Trębacze".

— A dlaczego nie słyszeliśmy dotąd pobudki?

— Wyrzucili starą — wtrącił Marsowicz.

— Żałujesz jej, panie Franciszku?

— Weselej z nią było, ale skoro wola ś. p. księcia Hieronima...

— Pamiętam, gdy ją skasował mój ojciec — ciągnął dalej książę Janusz — budziła o wschodzie słońca, albo znów wypadała w lecie po obiedzie...

— Jak musztarda — dodał Kersten.

— Jak musztarda. Przeznaczono ją więc na hasło przygodne: do polowań i do takich miłych okazyi, jak dzisiejsza.

Skłoniło się kilka głów. Marsowicz rozpoczął historyę starej warskiej pobudki, słynnej niegdyś w dziejach wojen z Tatarami, ale go nie słuchano, bo pora była przebrać się na obiad.

V.

Po drugim dniu polowania w Warze trzej uniwersyteccy koledzy: Andrzej Zbarazki, Hektor Zawiejski i Jan Dołęga zeszli się w pustej części zamku, zwanej „muzeum“, na nocne posiedzenie. Żaden z ńich nie lubił naprawdę pić, ale Andrzejowi, który był trochę po kobiecemu zmysłowy, zachciało się koniecznie smaku „boli“, klasycznego napoju na uniwersytetach niemieckich; Dołęga i Zawiejski chcieli pomówić o sprawie szos; razem zaś wszystkich trzech bawiło to odnowienie wspomnień z przed lat kilku, gdy Zbarazki studyował prawo, Zawiejski ekonomię, a Dołęga kończył szkołę politechniczną w Berlinie.

Siedzieli więc przy tradycyjnej wazie „boli“ i śpiewali „Gaudeamus“. Różnice indywidualne, majątkowe, towarzyskie, dawno już i ostro zaznaczone między tymi trzema ludźmi równego mniej więcej wieku (każdy miał około trzydziestu lat), zatarło na chwilę wspomnienie bujnych lat dojrzewania, kiedy świat był prosty, ludzie równi i dobrzy, kobiety piękne; kiedy czyny były tak ła-

twe, jak pomysły, a ochota do życia zdawała się atmosferą naturalną, niezmienną. Oczy ich błyszczały, pięście biły w stół z młodzieńczą fantazyą. Śmieli się wzajemnie z siebie i śmieli się do pamiątek wspólnej młodości. Gdy przestali śpiewać, wychylili szklanki i Hektor zawołał:

— Nic się nie zmieniło! Jeszcze świat do nas należy!

Andrzej przyzwyczaił się oddawna dworować sobie lekko z kolegi Hektora, przy winie zaś stawał się zaczepnym. Hektor, którego niezwykłe imię starczyło samo za przezwisko, nie miał osobnego przydomku na uniwersytecie: dawano mu tylko stały epitet: „szlachetny".

— Janek i ja nie zmieniliśmy się wcale, ale tyś się grubo rozwinął, szlachetny Hektorze.

— Każdy z nas rozwinął się -- odparł Zawiejski — i tyś już przecie wyrósł z „Donandra".

Zbarazki nazywał się między kolegami „Donander", nie wiadomo dlaczego; przypominało to imię „Andrzej", a zaczynało się od „Don" może dla reminiscencyi Don Juana.

— Nie mówię o tem, że nam wąsy porosły, ale, że Janek i ja pozostaliśmy podobni do siebie samych, a ty — ho ho! Janek naprzykład jest tym samym marzycielem, przebranym za pozytywistę, teoretykiem, niezadowolonym z całego porządku świata i walczącym za ideę „białym kogutem".

— Pozwól, Andrzeju...

— Nie pozwalam. Jesteś osądzony — ale przy-

najmniej robisz to, co umiesz. Ja — byłem i jestem niczem. Nie przerywajcie mi — to nie pokora z mojej strony. Być „czemś“, albo lepiej „kimś“, znaczy: wykolejać się ze swojej przyrodzonej brózdy dla polepszenia bytu.

— Dla polepszenia bytu innych — poprawił Dołęga.

— On zawsze swoje! Nie innych, ale bytu własnego. Każdy o tem myśli głównie. Otóż ja nie czuję żadnej potrzeby polepszenia. Miałem wenę, żem się nie urodził chłopem, ani garbatym, ani kobietą — co to za fatalna kondycya, prawda? — więc jestem sobie niczem, czyli tem, czem byłem z przeznaczenia. Ale ty, Hektorze...

— Dajmy pokój temu cenzurowaniu — prosił Zawiejski.

— Poczekaj. Byłeś dobrym kompanem, elegantem — pozostałeś nim. Teraz jednak stajesz się wzorem obywatela, stajesz się — o zgrozo! — działaczem.

— Daleko mi do tego — rzekł Zawiejski skromnie.

— Nie bój się, ja ci nie mówię komplimentów. Powiedz mi najprzód, co ty chcesz zrobić?

— Jakto: co? — chcę pracować dla publicznego dobra.

— Toś się, widzę, zaraził od Janka. Ale Janek jest inżynierem i stworzył ów sławny, a przenudny projekt sieci dróg bitych; ty zaś jesteś ekonomistą — czy tak? — i zakładasz pismo polity-

czne; nie masz pojęcia o gospodarstwie — sam mi to mówiłeś — a obradujesz nad rolnictwem. Czem ty zresztą nie jesteś? radcą kolejowym, przemysłowym, bankowym.. Stałeś się trochę specyalistą od wszystkiego. Ale czas jeszcze cofnąć się. Wiesz co, Hektorku, powróć do dawnego stanu — restitutio in integrum — stań się niczem, proszę cię.

— Nie drwij, Andrzeju, każdy robi co może. Skorzystajmy raczej z tego, że nam nie przeszkadzają i omówmy ostatecznie naszą sprawę dróg bitych.

— Jakto: naszą? przecie cały operat i memoryał jest dziełem Janka.

— Oczywiście, ale mam nadzieję, że wszyscy wzięliśmy ten pomysł do serca, powiedziałbym, że sprawa ta ma trzy serca.

Hektor Zawiejski miewał w stylu wyrażenia barokowe, tak, jak w ubiorze trochę ryzykowne pomysły. Te właściwości czasem bawiły, czasem raziły Andrzeja. I teraz podchwycił:

— Sprawa o trzech sercach?! to potwór, mój Hektorze, albo tytuł melodramatu, który może kiedyś napiszesz.

— Mówmy zatem przedmiotowo — ciągnął dalej Zawiejski. — Strona rzeczy techniczna należy do Janka i tej nie jesteśmy nawet w stanie rozpatrywać. Ale możemy zawiązać trójprzymierze dla poparcia tej sprawy. Podzielę zatem dyskusyę na dwie części.

— Dajże pokój! nie jesteś na sesyi.

— Tylko na dwie części: kto ma wystarać się o koncesyę w Petersburgu i kto przystąpi do consortium, czyli da pieniądze.

— To niech Janek jedzie po koncesyę, a ty daj pieniądze. Widzę, że trzecie serce, moje, jest tu zbyteczne.

— Właśnie powracam do trzech serc; my sami tego nie zrobimy, ale możemy, gorąco wziąwszy się do sprawy, pozyskać innych. Obmyśliłem już dla każdego rolę. Nie tajne jest wam...

Andrzej na dobre zaczynał ziewać.

— Nie tajne jest wam, że ludzi trzeba brać przez ambicyę, ewentualnie przez pochlebstwo. Otóż inicyatywę tej sprawy, oficyalną zasługę, że tak powiem, trzeba oddać ludziom starszym, poważnym, jak nasi ojcowie, których bardzo tutaj potrzebujemy.

— Potrzebujemy ich bardzo, to prawda — rzekł Andrzej, rozkładając się, jak do snu, w fotelu — ale ja za mojego ręczę: nie da ani grosza.

— Ale może pojedzie do Petersburga? — odparł Hektor — byłoby to bardzo właściwe. Co zaś do mojego ojca, ten, nie chwaląc go, gdzie tylko może, przyczynia się groszem do publicznego dobra. Otóż trzeba przekonać do sprawy księcia Janusza.

— To jest rola dla Janka — rzekł Andrzej — mój ojciec ze mną nie będzie wcale gadał, z tobą nie wiem, ale Janek ma u niego specyalne jakieś łaski.

Dołęga, jedyny z trzech, który sprawę stworzył

i opracował, milczał dotąd, oparty obu łokciami na stole, wpatrując się pilnie w mówiących. Gdy teraz przychodziło do praktyczniejszych wniosków, odezwał się:

— Dobrze, postaram się przekonać księcia. Już go do tego trochę przygotowałem.

Zawiejski może miał inny projekt, bo rzekł bez zapału:

— Skoro masz nadzieję wpłynąć na księcia Janusza, bierz to na siebie.

— Nie wiem, czy namówię go — odpowiedział Dołęga — ale, że mu lepiej od was rzecz przedstawię, to oczywista.

— Trzebaby jednak i Szafrańca wciągnąć do tej sprawy — mówił dalej Hektor. — Człowiek ten wyrywa się do usług publicznych, a nikt z tego nie korzysta.

— Czy ty nas chcesz mistyfikować? — zapytał Andrzej — Szafraniec wyrywa się? W takim razie i ja się wyrywam — idę spać. Mieliśmy pić bolę, a urządzasz nam tu sesyę ze wszystkiemi finezyami.

— Poczekaj, Andrzeju, zaraz skończę. Szafrańca my w Chwaciejówce obrobimy. Teraz rola dla ciebie. Trzeba zapewnić się o udziale wielkich kapitalistów w razie otrzymania koncesyi. Dlatego pomyślałem o Arnoldzie Hellem. Możebyś ty się wybrał do niego?

Hektor, nie miał miary w głosie, dał więc ostatniemu zdaniu intonacyę zbyt dowcipną. Andrzej

zmrużył trochę oczy, ale nie odmówił; owszem, ożywił się:

— Dobrze, mogę pójść do Hellego; znam go i sądzę, że jest datny. Tylko musicie mi najprzód dać instrukcye.

— Ja ci całą rzecz dokładnie wytłómaczę — rzekł Dołęga, zadowolony, że choć boczną drogą sprawa trafiła do serca Andrzeja. — Zresztą posłałem Hellemu mój memoryał.

— Jeszcze jedna kwestya, panowie, ostatnia na dzisiaj — rzekł Zawiejski: — o naszych obradach i o autorstwie projektu nie powinien nikt wiedzieć, bo jeżeli odstąpimy niby ojcowstwo tej sprawy starszym, nie mogą oni wyglądać, jak nasze narzędzia.

— To może rozstrzygnąć tylko Dołęga — rzekł Andrzej.

— Jestem zdania Hektora — rzekł Dołęga.

— A teraz nareszcie koniec! — cieszył się Zbarazki — teraz pijmy i niech nam się zdaje, żeśmy jeszcze młodzi. Pijże, Janku, musimy się po staremu urznąć.

— Nie urznę się — rzekł Dołęga — bo jutro mam dużo do roboty, ale widzisz przecie, że piję... A co! zostałem królem pierwszego dnia polowań; Koryatowicz mało nie pękł.

— Wielka mi rzecz, że inżynier umie mierzyć — zaśmiał się Andrzej.

— Słuchaj, Andrzeju, mnie się zdaje, że to

obraza. Kersten mówi mi: „panie inżynierze“, jakby mówił: „panie ekonomie“...

— To tylko dlatego, żebyś się do niego odzywał: „panie baronie“. Gdy nie widzi przy sobie swego tytułu, ogląda się naokoło, czy mu nie uciekł.

Po każdym żarcie wybuchał teraz chór szczerego śmiechu, już i Dołęga śmiał się z byle czego; tylko Zawiejski śmiał się z odcieniem podziwu dla Zbarazkiego. Poklepywał go po kolanie i wołał słodko:

— Ach ten Andrzej!

Za trzecim takim objawem sympatyi, Andrzej odpowiedział:

— Ten sam. Nie macaj mnie; przecież widzisz, żem nie inny.

Przenieśli się znowu myślą do czasów uniwersyteckich i zaczęli przypominać sobie kolegów, profesorów, anegdoty, miłostki. Nic weselszego od tych wspomnień. Andrzej ożywił się, a że miał dar naśladowania głosów i ruchów cudzych, urządzał „szopkę“, przesuwając całe szeregi znajomych figur przed oczyma kolegów. Śmieli się zdrowo aż do łez. Osuszyli całą wazę i zabrali się do kawy z koniakiem.

Około trzeciej po północy Dołęga wymknął się cicho do swego mieszkania, bo czuł, że się upija na dobre. Ale Andrzej pozostał z Hektorem w najlepszej komitywie, aż do świtu. Zaledwie spostrzegli, że ktoś ubył z kompanii.

VI.

Nazajutrz była niedziela, dzień przerwy w polowaniach. Mokry śnieg padał na dworze i całe towarzystwo błąkało się po zamku, trochę ziewając. Każdy miał swoje mieszkanie, często bardzo oddalone jedno od drugiego, gdyż zamek był piętrowy w całej rozciągłości ogromnego czworoboku, a baszty narożne miały po dwa i po trzy piętra. Mieszkańców tego miasteczka zwoływał tylko do stołu przenikliwy głos miedzianego cymbała, zawieszonego w sieni zamkowej; zbierano się więc na śniadanie w strojach przygodnych, na obiad we frakach i sukniach wieczorowych i pozostawano razem po obiedzie; resztę dnia każdy sobie urządzał po swojemu.

Towarzystwo zmniejszyło się o dwie osoby. Zawiejscy, ojciec i syn, wyjechali po południu do Chwaciejówki, aby dopilnować przygotowań do polowania, na które mieli pojechać jutro myśliwi z Waru. Pan Norbert był dzisiaj bardzo niezadowolony z syna z powodu następującego zdarzenia:

Gdy, o godzinie dziesiątej, dzwon mszalny we-

zwał wszystkich mieszkańców zamku do kaplicy, stary Zawiejski, znany z pobożności, podążył jeden z pierwszych. Kaplica zamkowa była wielka i starożytna. Loże, osobna dla książąt i ich gości, osobna dla administracyi, były na pierwszem piętrze przy prezbyteryum; do nawy wchodził lud okoliczny. Pan Norbert miał zwyczaj stać w kościele pomiędzy ludem, mawiał bowiem, że wobec Boga wszyscyśmy równi. Więc i tutaj, w Warze, choć go zapraszano do loży książęcej, stanął pośrodku nawy, górując całą swą barczystą postawą nad klęczącym ludem. Od apostolskiej jego łysiny bił blask, niby aureola. Miał też zwyczaj modlenia się na kosztownym różańcu, który podobno dziad jego przywiózł z Rzymu ze specyalnem błogosławieństwem Papieża dla całej rodziny Zawiejskich.

Przybyła już do loży księżna Hortensya i zajęła miejsce na aksamitnym, ozdobnym herbami, fotelu; ukazała się też poważna ptasia głowa księcia Janusza na podobnym fotelu; Halszka zasunęła się gdzieś w kącik, umieściła się pani Hohensteg, panna de Radenac; w głębi widać było uroczystego Szafrańca, Koryatowicza, Kerstena, Szydłowskiego; naprzeciwko siedział w loży plenipotent z żoną, Marsowicz, łowczy Kordysz. Pan Norbert stwierdził obecność wszystkich, oprócz trzech młodych towarzyszów nocnej hulanki. O dwóch mniej dbał, ale nieobecność Hektora bolała go. Więc, ofiarując pośrodku kościoła Bogu swą duszę, a ludowi budujący przykład, licząc ziarnka różańca

swego dziadka, nie mógł się opędzić świeckiej myśli, powracającej tyle razy, co „amen“.

— Hektor nie umie się zachowywać...

Prosto z kaplicy poszedł do pokoju syna, ale Hektor jeszcze był pijany, co spostrzegłszy, pan Norbert zgryzł się bardzo, zwłaszcza, że to wszystko zdarzyło się, jak na złość, w domu Zbarazkich.

Podróż ojca z synem do Chwaciejówki nie musiała być wesoła.

Gdy Dołęga spotkał się z Andrzejem przed samem śniadaniem, obaj parsknęli śmiechem. Andrzej miał oczy zapuchnięte, i opowiadał, że się obawia, aby to nie był początek jęczmienia; pani Hohensteg nacierała mu oko ślubnym swym pierścionkiem. Dołęga był blady ale przezwyciężył wszelkie ślady nocnego posiedzenia, miał bowiem, oprócz wstydu, inną myśl na względzie: konferencyę z księciem Januszem.

Po śniadaniu Dołęga poprosił księcia Janusza o dłuższą rozmowę. Musiał wracać do Warszawy, i tak już pobyt swój przedłużył dla polowań, a właściwie dla zjazdu osób, na które liczył w przyszłości.

Przeszli do gabinetu, a gdy książę zajął miejsce przed biurkiem i skrzyżował ręce na znak skupienia, Dołęga z bocznego krzesła tak rozpoczął:

— Dawno chciałem księciu tę sprawę przedstawić i wspominałem o niej parę razy. Póki miałem zajęcie w łąkach, nie chciałem mieszać innych spraw do tej głównej, gdyż po to mnie do Waru

sprowadzono. Obecnie czynność moja musi być przerwana, z powodu zamarznięcia łąk. Ale przed wyjazdem, który ma nastąpić jutro...

— Panie Dołęgo, żal mi żegnać pana. Proszę powracać, skoro tylko roboty można będzie kontynuować, a nawet bez interesu. Wszyscyśmy pana bardzo polubili.

Nie zmieniając skrzyżowania rąk, skinął lekko dłonią i głową ku Dołędze. Takie królewskie maniery raziły jeszcze niedawno Dołęgę, ale skoro się przekonał, że są raczej niewinnemi przyzwyczajeniami w stylu feodalnym, nie brał ich już do serca. Skłonił się więc i ciągnął dalej:

— Pragnąłbym zasięgnąć rady księcia i prosić o poparcie dla sprawy wielkiej doniosłości, nie tylko pod względem ekonomicznym, ale i cywilizacyjnym. Dobra sieć dróg bitych jest pierwszym warunkiem rozwoju danej okolicy pod temi względami. Zboże przez dobrą drogę podnosi się w cenie i po książkę łatwiej posłać do miasta; stosunki między ludźmi zmieniają się i polepszają z ulepszeniem komunikacyi drogowej. Jest to zresztą pewnikiem naukowym.

— Właśnie chciałem to powiedzieć.

— To też księciu dowodzić tego nie mam potrzeby. Chcę mówić o czem innem, mianowicie, że te drogi muszą powstać z czyjejś inicyatywy. Nie wystarcza tu inicyatywa państwowa. Państwo ma mnóstwo do roboty i nie może, nawet gdyby chciało, wiedzieć dokładnie o potrzebach miejscowych. Po-

zostaje więc inicyatywa prywatna, sankcyonowana przez Rząd. pozostają koncesye.

— Bardzo trudno teraz o koncesye — wtrącił książę.

— Wiem o tem, jednak zdaje mi się, że trzeba próbować. Otóż po paruletnich studyach i podróżach, podczas których starałem się wybadać potrzeby i usposobienie mieszkańców, przygotowałem projekt dużej sieci dróg i mam prawie gotowe kosztorysy. Teraz chodzi o koncesyę obszerną, to jest, aby Rząd 1) zezwolił na budowę. 2) zezwolił na pobieranie rogatkowego przez pewną ilość lat na pokrycie kosztów budowy, 3) aby wykupił i wziął na swój koszt szosę po upływie oznaczonego terminu. Są tam zresztą inne kombinacye przy szosach głównych i dojazdowych, są przewidziane otwarte szosy strategiczne, których kierunek Rząd zapewne sobie zachowa; dużo paragrafów i zastrzeżeń, wszystkie wyrażone w naszym memoryale. Mam też przygotowaną prośbę do ministeryum. Gdyby udało się otrzymać koncesyę, pozostaje inna strona sprawy, może jeszcze trudniejsza: zebranie kapitałów.

— Tutaj nie mógłbym być pomocny — przerwał książę Janusz — interesa moje...

— Przepraszam księcia; wspominam o stronie finansowej jedynie dla tego, aby zaznaczyć, że ją przewidziałem, że są już zastawione sieci na kapitalistów. Nie mam bynajmniej zamiaru namawiać

księcia do consortium, liczę na jedno tylko: że książę, po zbadaniu przedmiotu, dostanie koncesyę.

— Dlaczego ja?... Skądże ja?... — pytał Janusz stropiony, trzęsąc niewyraźnie głową.

— Dlatego, że książę Zbarazki łatwiej tę koncesyę dostanie, niż kto inny.

— Przypuśćmy... ale cóż ja mam w tem osobiście?... Pan jest inżynierem, więc rozumiem; lecz ja?...

Dołęga spojrzał bystro na Zbarazkiego, ale wkrótce odwrócił oczy i mówił z mniejszem przekonaniem.

— Myślałem, że książę uznaje wartość tego projektu dla dobra ogółu.

— Zapewne, zapewne.

— Bo gdy ludzie, stojący na czele narodu, uznają jakąś pracę społeczną za potrzebną, przewodniczą tej pracy. Od tego są na czele.

— Tak, tak, zapewne... — począł kiwać głową książę Janusz i przymknął jeszcze bardziej oczy. — Niechże mi pan teraz powie, jak panu przyszła ta myśl do głowy?

— Poprostu chcę być czynny, mości książę, czynny w machinie społecznej, której od każdego coś się należy. Ale nie wysuwam się na pierwszy plan; należy to do innych, możniejszych i poważniejszych. Dlatego udałem się do księcia.

— Więc pan mi proponuje wziąć koncesyę na moje imię?

— Może z prawem ustąpienia jej komu innemu.

— Więc trzebaby jechać do Petersburga?

— Koniecznie.

— No... nie mogę od razu panu odpowiedzieć... musiałbym też porozumieć się z panem Karolem.

Chwilę jeszcze trwała ta rozmowa. poczem Dołęga rozstał się z księciem i poszedł szukać po zamku Andrzeja. Spotkał go w pobliżu mieszkania pani Hohensteg. Młody Zbarazki zagadnął wesoło:

— Mówiłeś już z ojcem i panem? Jakże tam?

— Niebardzo.

— A co? mówiłem ci: my śpimy twardo; nas nie łatwo rozruszać.

— Ale mój Andrzeju! Nie można przyznawać się nawet do tego.

— No... — nie głośno. — Cóż ci właściwie ojciec odpowiedział?

— Nie odmówił... weźmie to pod rozwagę i musi porozumieć się z jakimś panem Karolem. Kto to jest?

— Jakto?! Nie znasz pana Karola?! Prawda... ty nas mało znasz.

— Czy to wasz blizki krewny?

— Och. nie.. jakiś tam; ale to nasza wyrocznia; nie tylko nasza, to przecie ma być wielka głowa. Nie mogę tego potwierdzić osobiście, bo nigdy z nim nie gadam, ale od dzieciństwa słyszę: „pan Karol tak sądzi... pan Karol nie pozwala...“, a najczęściej: „coby też pan Karol rzekł na to?“. No, jakże, nie słyszałeś nigdy o Karolu Zbązkim,

o Karolu Wielkim? Nie wiesz, że za młodu był bohaterem i brał udział w bitwie pod Solferino?

— Nie znam go i wiem zaledwie, że istnieje.

— To cię ta przyjemność czeka jeszcze. Tylko gdy go spotkasz, nie zapytaj go. broń Boże, o co. Najprzód niewiadomo, czy wolno go pytać; powtóre: nie odpowie ci nic; po trzecie: jeżeli odpowie, nic nie zrozumiesz, wyraża się bowiem zwięźle i zagadkowo, jak Pitya.

— Ładnie go malujesz, niema co mówić: według twego opisu wygląda na pretensyonalnego głupca.

— Ale gdzież tam! Mój Janku, widzę, że nie jesteś muzykalny; nie chwytasz tonu. Ja lubię się bawić...

Poszli, gawędząc, po zamku, aż trafili do sali, gdzie Halszka, pod opieką starej nauczycielki, panny de Radenac, grała z Jerzym Koryatowiczem w bilard.

— Dobrze, że przychodzisz, Jędrusiu — zawołała Halszka. — Jurek mi tu dowodzi, że gra lepiej od nas wszystkich w tennisa, a pamiętasz przecie, że ja go biłam w „single'u“ jeszcze temu dwa miesiące. Nie pamiętasz?

— Nie pamiętam.

— Cóż ty masz za pamięć?! Sam przecież byłeś sędzią tego matcha.

— Może być. Wiem, że grasz dobrze; mnie nawet pobijesz.

— To znowu nie — odrzekła Halszka. — Ale

ten m i s t r z jest przekonany, że wszystko robi najlepiej... Już go pan Dołęga przestrzelał...

— Tylko pierwszego dnia — odezwał się Koryatowicz, mierząc systematycznie w bilę.

— A jabym chciała mu pokazać, jakby dostał „suchego seta“, grając ze mną w tennisa.

Pobiegła do okna.

— Możeby można zagrać? śnieg nie pada... Trochęby tylko odprzątnąć plac. Mój Jędrku!

— Co za pomysł Halszko! — mróz bierze, śniegu w parku jest na pół łokcia.

— Nic nie szkodzi... Mój Jędrusiu! jest nas właśnie czworo... Pan gra w tennisa, prawda, panie Dołęgo?

— Nie, pani.

— Jakto? Nie gra pan w tennis'a?! To wstyd, panie.

Dołęga na razie poczuł, że to wstyd, i doznał wrażenia człowieka, który przychodzi niewłaściwie ubrany do wystrojonego towarzystwa. Zaczął się tłómaczyć.

— Mieszkam ciągle w mieście, dużo pracuję, ale znam tę grę; wydaje mi się nie bardzo trudną.

— O, panie, to się tak zdaje — rzekł Koryatowicz, odkładając kij bilardowy. — Tennis jest jedną z gier, do których nie tylko potrzeba wielkiej zręczności. ale i przytomności umysłu, inteligencyi... Wygrałem partyę, Halszko!

— Panie Dołęgo! w bilard pan gra, — sama widziałam; niech pan zagra ze mną partyę w ka-

rambole. A ty Jurku wygrałeś tylko dlatego, że się zagadałam. Masz. skoro wygrałeś.

Oderwawszy małą kokardkę od stanika, podała ją Koryatowiczowi z ładnym uśmiechem.

— Cóż on z tem będzie robił? — rzekł Andrzej niby wesoło, ale z pewnem niezadowoleniem w głosie.

— Chciał mieć to „na wenę“. Zresztą graliśmy o to, więc muszę mu dać.

— A gdybyś wygrała, cóżby on ci dał? może guzik od kamizelki?

— O ho, ho, właśnie. Ja grałam o angielską rakietę.

— Ładna równość stawek — rzekł Andrzej. — Chodź, Jurku, pokażę ci nowy mój sztucer.

Wyszedł z Koryatowiczem, zostawiając przy bilardzie Halszkę z Dołęgą.

Halszka mierzyła nadzwyczaj starannie, pochylając się nizko nad zielonem suknem. Dołęga, śledząc niby grę, mógł co chwila podziwiać ten czysty profil, roztulone usta i ciemne oko. dochodzące prawie wypukłością do linii nosa, jak w typie greckim. Halszka, uderzywszy bilę, przeprowadzała ją dramatycznym wzrokiem: kiedy bila dotknęła pomyślnie dwóch drugich, krótki uśmiech błyskał na twarzy dziewczyny, ale po chybionem uderzeniu prostowała gwałtownie kibić, odrzucając głowę w tył z lekkim okrzykiem, niby fizycznego bólu.

Gra w bilard jest zdrowa, kunsztowna i towarzyska, nie wyłącza bowiem, jak wist. rozmowy. To też oboje mówili ciągle, komentując każde ude-

rzenie, odbiegając także do innych przedmiotów. Byli sami, gdyż panna de Radenac siedząca z książką pod oknem, przedstawiała tylko cień towarzystwa.

Naraz, po chwili milczenia, Halszka zapytała:

— Czy pan mówił z papą o szosach?

— Tak, pani.

— A wczorajszy spisek był także o szosach?

— Tak jest. A skądże pani wie o tem wszystkiem?

— Andrzej mi mówił.

Dołęga uśmiechnął się z pewnem politowaniem.

— Cóż to pan myśli, że ja nie mogę zrozumieć rozmowy o głupich szosach?

Przystanęła, oparłszy kij o posadzkę, niby Pallada z kopią.

— Bynajmniej tak nie sądzę — tłómaczył się Dołęga pokorniej, niż komukolwiek — tylko myślałem, że panią takie rzeczy nudzą.

— Dobre rzeczy nie nudzą mnie. Niech mi pan właśnie mówi o szosach

Grała dalej w bilard, a Dołęga, opanowawszy prędko swój podziw, mówił teraz przystępnie, ale poważnie o swym projekcie temu dziewiętnastoletniemu dziecku, które jedyne odpowiedziało mu tak, jak się spodziewał po Zbarazkich Że był zapalczywy, więc po chwili wpadł w zwykłą perorę, ściągał w podkowę energiczne czoło, przedstawiał doniosłość zamiaru, wchodził w szczegóły, tłómaczył, że książę Janusz powinien stanąć na czele tej

inicyatywy, że powinien jechać do Petersburga po koncesyę.

— Czy to bardzo trudno dostać tę... koncesyę? — pytała Halszka, oderwana od gry przez męską wymowę Dołęgi.

— Trudno, ale łatwiej ojcu pani, niż komu innemu.

— Ja panu pomogę.

— Pani? jakim sposobem?

— Ja papę wyprawię do Petersburga po koncesyę.

— Dobrze, — ale czy pani potrafi go przekonać, bo książę mówił mi o uprzedniem porozumieniu z panem Karolem Zbązkim — ciągnął Dołęga, zapominając z kim mówi, czując tylko promieniejące ku sobie ciepło sprzymierzonej duszy.

— Ja mam swoje sposoby na papę.

— Więc doskonale. Niech pani położy nacisk i na to, że War zyska ogromnie przez budowę szos, przerzynających terytoryum...

Mówił głośno, prędko, tłómacząc się krótkim, dobitnym giestem prawej ręki i nie puszczając bilardowego kija z lewej. Halszka, również z kijem w ręku, słuchała z zapałem, patrząc mu prosto w oczy.

Do pokoju weszła pani Hohensteg z Andrzejem.

— Patrz — rzekła głośno — oni się biją na kije.

— Wcale nie — odpowiedziała Halszka podnosząc głowę — mówiliśmy o szosach

Pani Iza parsknęła śmiechem i zwróciła się do Dołęgi:

— Czy pan zwaryował?

Dołęga, jeszcze nieocucony z poprzedniej rozmowy, odpowiedział niewyraźnie, zaledwie grzecznie, patrząc na Halszkę, która zabrała się znowu do przerwanej partyi.

— Przeszkadzamy im, nie jesteśmy dość społecznie nastrojeni — chodźmy sobie — rzekła pani Iza, pociągając za sobą Andrzeja.

Gdy znowu pozostali przy bilardzie sami, w niemem towarzystwie nauczycielki, Halszka zwróciła się do Jana cicho z poufnym uśmiechem:

— Niech mi pan tylko jeszcze powie... co to jest właściwie koncesya?

Dołęga wytłómaczył jej to słowo dokładnie z największą, na jaką się mógł zdobyć, słodyczą.

VII.

Zaledwie świtało w Chwaciejówce, już Pan Norbert, ubrany po myśliwsku, czynił przegląd wszystkich przygotowań na przyjęcie gości, którzy z Waru mieli przyjechać na godzinę dziewiątą. Wyszedł pod kolumny podjazdu i rozejrzał się po niebie. Szary dzień wchodził na niebo leniwie poza brudnemi chmurami. Powietrze nieruchome, przesycone wilgocią i wonią gnijących pod śniegiem liści, zapowiadało deszcz, albo mokry śnieg na polowanie. Trudno; — to się już urządzić nie dało, reszta była w największym porządku.

Nigdy jeszcze Chwaciejówka nie oglądała tak doborowego zgromadzenia gości. Zbarazcy, choć sąsiedzi o dwie mile, przyjeżdżali tu rzadko; pierwszy raz zjawiał się tu dzisiaj Szafraniec, Koryatowicz; nawet przyjazd Kerstena, choć go Zawiejski nie lubił, był mu dzisiaj przyjemny, bo Kersten należał do najlepszego towarzystwa Z pomiędzy osób, które polowały w Warze, nie zaproszono tylko Dołęgi, zapewne przez zapomnienie, i Szydłowskiego, który był rzeczywiście już nazbyt pra-

wdomówny. Za to sprowadził sobie pan Norbert na polowanie dwóch hrabiów z okolicy; ci mieli przeznaczenie ozdabiać po bokach gospodarza fronton pałacu podczas przyjazdu gości z Waru, ale jeszcze spali, bo było zawcześnie. Miał to być jedyny efekt wstępny, gdyż pan Norbert słusznie wystrzegał się okazać, że ten zjazd jest dla Chwaciejówki doniosłą nowością. Nie zawieszono żadnych wieńców, nie zbudowano, broń Boże, łuków tryumfalnych, tylko skromna flaga z herbem Zawiejskich powiewała nad białym pałacem na znak tradycyjnego hasła gościnności. Zebranie miało mieć charakter bardziej przyjacielski, gdyby się dało — familijny.

Pałac, zbudowany przez obecnego właściciela, wyrażał przez architekturę i całe urządzenie prostotę starych, gniazdowych siedzib. Choć wzniesiony odrazu w całości, miał pozór wielkiego dworu, z którego zrobiono pałac, dodając mu fronton na kolumnach i wieżę. Pokoje były wysokie, jasne; meble nowe, mieszane ze staremi, podobno szczątkami dawnej świetności, gdyż pan Norbert opowiadał o różnych majątkach, które posiadał w oddalonych okolicach niegdyś jego dziad, znany ze swej podróży do Rzymu. Chwaciejówkę z kilkunastu folwarkami kupił ojciec pana Norberta od Zbarazkich, po długoletniem zajmowaniu się ich interesami; zmusiły go podobno do tego zajęcia tragiczne losy rodziny Zawiejskich, opisane dostatecznie w różnych złotych księgach szlachty polskiej.

Lustrował tedy pan Norbert salę jadalną, do której mieli wejść zaraz myśliwi na przekąskę, i kazał przysłonić trochę z góry firanki, aby rzucić cień na wiszących pod sufitem antenatów, a oświetlić rozłożone na bufetach familijne srebra. Lustrował salon główny, skąd polecił wynieść zbyt pospolite kwiaty, ustawione tam przez panią Zawiejską. Lustrował bibliotekę, aby na stołach i w pierwszym rzędzie szaf były same dzieła doborowe, pięknie oprawne i w dobrym duchu, co już zresztą uprzednio doprowadził do doskonałości. Zajrzał do pokojów gościnnych i przekonał się, że i tam oko mogło czasem mile spocząć na jakimś szczątku dawnej sławy Zawiejskich I doszedł wreszcie do kulminacyjnego punktu swej lustracyi, do obejrzenia żony, która najbardziej go niepokoiła wobec zbliżania się chwil uroczystych.

Pani Zawiejska, chociaż Wiśniowiecka z domu (o pokrewieństwie jej z królem świadczył tylko portret Michała Korybuta, zawieszony w pokaźnem miejscu w salonie). nie była zupełnie na wysokości społecznych poglądów pana Norberta. Natury biernej i potulnej, bez ambicyi, starała się wyczuwać intencye, ogarniać pomysły swego małżonka, ale przychodziło jej to bardzo trudno. Pan Norbert przestał ją nawet ewangielizować, zniechęcony brakiem w niej talentu, ale były okazye, w których musiał dawać instrukcye, zastosowane do okoliczności. Pani Michalina bała się męża, bała się star-

szego syna, Hektora, już także wielkiego w swoim rodzaju, — wogóle, bała się wszelkich wielkości.

Teraz, ubrana w jedwabną suknię od świtu, czekała z biciem serca na przyjazd myśliwych. Pan Norbert znalazł ją w tym stanie i uznał potrzebę kordyału uśmierzającego, wobec grozy sytuacyi. Usiadł więc w pokoju żony, ziewnął i począł mówić:

— Jakoś nie przyjeżdżają... no, niema jeszcze dziewiątej. Dzień zapowiada się nie dobrze. Wszystko to jest dość nudne...

Pani Zawiejska spojrzała ze zdziwieniem na męża:

— Tak tego pragnąłeś, Norbercie...

Pan Norbert ledwie nie wybuchnął; jednak pohamował się, ująwszy za brodę szeroką dłonią i krzywiąc twarz, jakby od bólu zębów, odsapnął i mówił dalej spokojnie:

— Miło mi zawsze widzieć u siebie przyjaciół, ale myślałem, że dzień będzie piękniejszy na polowanie. Tak Bóg chciał. I polowanie jest pod opieką Boską, nie prawdaż, moja droga?... A czy odmawiałaś już ze służbą ranne pacierze?

Jedyną wspólną cechą ich charakterów była pobożność, wprawdzie inaczej przez wielkiego męża pojmowana, inaczej przez skromną żonę.

— Nie odmawiałam, bo sądziłam, że dzisiaj mogłoby to przeszkadzać.

— Ale gdzież tam! Pana Boga z domu wypędzać dlatego, że goście jadą?! A stare przysłowie:

gość w dom, Bóg w dom? Owszem, niech się służba zbierze, jak zwykle, i śpiewa „Kiedy ranne...“. Tylko już nie wołaj na modlitwę lokajów w liberyi, bo ci nam są niezbędni. Ja sam dopilnuję przyjęcia. Ale... co do przyjęcia chciałem ci powiedzieć, żebyś się niem zanadto nie przejmowała; trzeba wszystkich traktować grzecznie, lecz okazale. Któż to przyjeżdża?... Kilku przyjaciół... Niepotrzebnie naprzykład włożyłaś tę suknię... panie z Waru przyjadą dopiero na obiad... teraz mogłabyś nie pokazać się... Ot, idź lepiej na zwykłe ranne pacierze. Il faut être simple, ma chère.

Zadowolony z przemowy, poszedł do sieni, gdzie dwaj domowi hrabiowie przechadzali się już z Hektorem, wszyscy ubrani po myśliwsku.

— Dzień dobry, drodzy moi! — rzekł pan Norbert, ściskając ręce gości i całując syna w czoło. — Czy piliście kawę? Albo już poczekamy na kompanię z Waru?

Wtem drzwi wchodowe rozwarto na rozścież i z pierwszych sań wysypały się dwie niekształtne, okryte błotem, szuby. Był to Andrzej Zbarazki i Szafraniec.

— Fatalna sanna — rzekł Szafraniec zamiast powitania.

Reszta gości powiedziała mniej więcej to samo. Gdy zrzucili szuby i przeszli do sali jadalnej, rozległ się stłumiony dźwięk ludowego śpiewu.

— Cóż to? Okrężne w zimie? — pytał Andrzej, rozweselony dużym kieliszkiem wódki.

— Nie — odpowiedział pan Norbert — to nasz zwyczaj odmawiania z domownikami rannych i wieczornych pacierzy. Przepraszam panów, że go zachowałem i dzisiaj.

— Ależ naturalnie, aa! aa!... — rozległy się głosy.

Poczem zamknięto parę drzwi i śpiew już nie dochodził do jadalni.

Polowanie poszło lepiej, niż pogoda wróżyła. Hektor je prowadził sam i złożył dowody talentów. bo zwierzyny było dużo; Koryatowicz został królem, Szafraniec i Zbarazki zabili każdy po ogromnym dziku, i polowanie zostało uznane za jedno z najlepszych w kraju. Niektórzy posądzali, że zwierzyna została ad hoc sprowadzona, ale wynik był dla wszystkich zadawalniający. Hektor rozwinął też przy śniadaniu i przy różnych sposobnościach tak gorące działanie na Szafrańca, że ten wynalazł sam konieczność jechania do Petersburga w sprawie dróg bitych. Na to postanowienie wpłynęła też może ranna jazda z Waru po drodze błotnistej i uciążliwej.

Obiad w Chwaciejówce był po staroświecku wspaniały. Pani Zawiejska, posadzona przy obiedzie między księciem Januszem Zbarazkim, a hrabią Szafrańcem, którzy mówili mało i o rzeczach prostych, nie zwracała na siebie uwagi, a o to tylko chodziło. Dwaj młodsi synowie pana Norberta. je-

den w mundurze uniwersytetu katolickiego w Louvain, — wyglądali raczej ozdobnie. Księżnej Hortensyi pan Norbert, nie w ciemię bity, umiał tyle subtelnych rzeczy powiedzieć o jej ogromnem znaczeniu jako pani i autorki polskiej, że księżna czuła się swobodną i niezbyt osamotnioną w Chwaciejówce. Pani Hohensteg miała za sąsiada Andrzeja, Halszka Koryatowicza. Stół był bardzo mądrze nie tylko zastawiony, ale i zasadzony, dał więc wyborny rezultat humoru.

Wśród gwaru rozmów i pośród ogonów własnych bażantów, obnoszonych na pieczyste, powstał pan Norbert i, dając skromny pozór swej apostolskiej postaci, przemówił:

— Nie jestem oratorem, pragnę tylko wznieść zdrowie moich miłych i dostojnych gości, a kiedy ojcowie nasi miewali zwyczaj przy szklance poruszać, ba, nawet decydować najważniejsze sprawy, niech mi wolno będzie chociaż wspomnieć o podobnych sprawach, gdy w gronie gości mam zaszczyt posiadać dwóch mężów, cnotą i przykładem świecących krajowi z których jeden powagą swoją i doświadczeniem, drugi śmiałym pomysłem i zaparciem siebie, jedyni zdolni są poprzeć i przeprowadzić wiadomą nam sprawę. Niech moja chata zyska sobie ten splendor, że tutaj poczęło się jedno z czynnych starań o dobro publiczne, podjęte przez pierwszych w kraju obywateli. Zdrowie moich gości w ręce księcia Janusza Zbarazkiego i hrabiego Szafrańca!

Zimny Szafraniec poczuł nagle przypływ stanowczej energii. Wstał natychmiast i z niezwykłem ożywieniem odpowiedział, wymawiając z cudzoziemska, zwłaszcza literę r.

— Szanowny gospodarz ma racyę: nie trzeba odkładać na jutro pracy dla kraju. Kiedy więc poważni mężowie... to jest, kiedy książę Janusz ma także tę myśl. o której mówił szanowny gospodarz... nie trzeba odkładać na jutro pracy dla kraju... i ja oświadczam, że gotów jestem pojechać do Petersburga, skoro już wymieniono moje nazwisko, a także proszę, aby pan Hektor Zawiejski, jako autor projektu, pojechał z nami. Wnoszę zatem zdrowie gościnnego domu panów Zawiejskich.

Uśmiechnął się, a było to rzadkiem ustępstwem z jego strony; dumna i starannie ułożona twarz przybierała w uśmiechu jakiś wyraz obcy. trochę dziecinny.

Z mowy Szafrańca zrozumiano powszechnie tylko to, że, nieczynny dotychczas, wydziera się obecnie do służby publicznej, powstał więc szmer aprobacyjny. Ale Halszka zapytała Koryatowicza:

— Czy o projekcie szos mowa?

— Zapewne.

— To przecie projekt pana Dołęgi, a nie pana Zawiejskiego.

Mimo wrodzonej śmiałości, nie mogła tutaj przemawiać. Że jednak korciła ją ta pomyłka Szafrańca, więc powtórzyła drugi raz głośniej:

— To jest projekt pana Dołęgi.

Wtem powstał Hektor Zawiejski i rzekł, kłaniając się Szafrańcowi:

— Dziękuję z głębi serca za zaufanie, którem zaszczyca mnie hrabia Szafraniec. Muszę tylko nadmienić, że nie jestem autorem projektu, o którym mowa. Autor pragnie pozostać bezimiennym i oddaje swą pracę w ręce ludzi dobrej woli, na których czele nie można lepszych postawić dowódców, jak dwaj, wymienieni przez mego ojca, mężowie.

— Przecie uczciwy człowiek! — odetchnęła Halszka i, gdy spotkała wzrok Hektora Zawiejskiego, skinęła mu ładnie głową.

Hektor odezwał się półgłosem do Andrzeja:

— A widzisz, mówiłem, że Szafraniec gotów jest służyć krajowi swą osobą.

— I wymową — odrzekł młody Zbarazki.

Więcej nie mówiono już o rzeczach publicznych przy stole. Ale po obiedzie ludzie myślący wrócili instynktowo do sprawy przy kawie i cygarach, w gabinecie pana Norberta.

Szafraniec tak był stanowczy, Zawiejscy tak wymowni, a książę Janusz tak jakoś ochoczo usposobiony, że wszyscy uznali konieczność jazdy do Petersburga. Hektor, zapraszany usilnie, zgodził się wreszcie należeć do tryumwiratu i zaraz rozpoczął działanie, biorąc na siebie redakcyę listu do hrabiego Karola Zbązkiego z zapytaniem o zdanie w tej sprawie. List miał podpisać książę Janusz.

Gdy już ta delegacya została ukonstytuowana,

Szafraniec zapytał, czy obmyślono fundusz na pobyt w Petersburgu.

Nie zrozumiano go na razie, ale wytłómaczył się:

— To tylko u nas sprawy podejmowane bywają tąk lekko. Skoro jest sprawa, powinno być natychmiast otworzone jej conto, chociażby na pierwsze wydatki, podróż, pobyt w stolicy, starania...

— Panie hrabio — odezwał się stary Zawiejski – dopóki niema koncesyi, niema właściwie sprawy. Na preliminaria, doprawdy, że możemy znaleźć pieniądze w naszych prywatnych kieszeniach. Każdy z nas ma przytem swoje interesy w stolicy.

Szafraniec niezupełnie dał się przekonać. Gotów był ponieść wraz z innymi jakąś ofiarę pieniężną, ale upierał się przy otworzeniu conto corrente, z którego wyznaczonoby dyety delegacyi.

Przegłosowano go. Jeżeli Zbązki pochwali zamiar, tryumwirowie mieli po nowym roku wybrać się w podróż.

VIII.

Około północy powracał Dołęga piechotą przez Nowy Świat do swego mieszkania. Mijał oświetlone okna i latarnie restauracyi, niektóre sklepy, jeszcze otwarte, i dużo przechodniów, ciągnących pojedyńczo, albo kupkami. Dorożki zataczały się po ślizkim od gołoledzi bruku; gdzieniegdzie około konia, który upadł, stało na środku ulicy kilkunastu gapiów. Dołęga, choć już dawno powrócił z Zachodu i dobrze znał Warszawę od dziecka, nie mógł się nacieszyć ruchliwością tego miasta. Co za życie! Taka arterya główna, jak Nowy Świat nie jest nigdy pusta: w każdej godzinie dnia i nocy krążą po niej ludzie, a ruch nocny jest może większy, niż w Paryżu. Nawet człowiek spokojny i zajęty rad czuje około siebie ten nieustanny, żywy puls miasta, nie śpiącego prawie nigdy.

Powracał z posiedzenia, na którem mówiono dużo o nieodzownej potrzebie nowego pisma „Zgoda", którego utworzenie było pomysłem Hektora, w porozumieniu z gronem ludzi możnych, stale przebywających w Warszawie. Odłożono rozprawy

do następnej sesyi, gdyż nikt, oprócz przyrodzonych swych zapasów pomysłowości, nie przyniósł dzisiaj wyraźnego programu, ani kosztorysu, ani wzoru. Działo się to w salonie jednego z dawnych właścicieli pisma podobnego zakroju; wymieniono kilkadziesiąt cennych rozmyślań i doświadczeń, ale do żadnego skutku nie doszło.

Dołęgę proszono na to posiedzenie, bo go miano za człowieka ruchliwego i zamożnego, a potrzeba było oczywiście składki pieniężnej. Ale szacowano przesadnie majątek młodego inżyniera. Po rodzicach dostał tylko szczupły, kilkunastotysięczny posag matki; z majątku ojca nic nie pozostało. Matka nie żyła od kilku lat, ojca zaś swego nie znał Dołęga nigdy. Śmierć ojca należała do wspomnień przekazanych, otaczających jego dzieciństwo, do wrażeń tragicznych, powiększonych przez opowieści, pogłębionych przez rozmyślanie. Pozory zamożności zawdzięczał Dołęga dużym dochodom z pracy osobistej i dobrze urządzonemu mieszkaniu. Pracownikiem był silnym i umiejętnym; nie tylko świadectwa naukowe, ale i prace już wykonane zalecały go i zyskały mu wziętość. Przyczyniał się do tego i wdzięk jego energicznej postawy, i dobre szlacheckie nazwisko, które nigdzie jeszcze, nawet w Ameryce, nie straciło swego uroku. To też Dołędze nie brakło zajęć stałych i przygodnych.

Wracając tego wieczora do domu, mało rozmyślał o piśmie „Zgoda", do którego raczej się zniechęcił. Zajmowała go głównie jedna, świeżo po-

znana, osobistość: Karol Zbązki. Kto to jest ten suchy, milczący człowiek, o hieratycznej postaci, o białych, głęboko zapadłych oczach? Gdy zjawił się dzisiaj, późno, wszyscy powstali; jedni go otoczyli, niby wracającego do obozu wodza, drudzy witali go z oznakami wyjątkowego uszanowania, nawet Arnold Helle skłonił nizko hardą głowę. Odstąpiono mu główne miejsce i gospodarz domu, zagajający posiedzenie, począł mówić ciszej i mniej swobodnie. W czasie rozpraw raz tylko Karol Wielki (Dołęga nauczył się tego przezwiska Zbązkiego od Andrzeja) wyraził zdanie, i to nie osobiście: pochylił się do siedzącego przy nim hrabiego Gnińskiego i szepnął mu kilka słów do ucha. Towarzystwo zaraz zostało zaniepokojone i wszystkie oczy zwróciły się na Gnińskiego, który, po uprzedniem cichem zapytaniu i zezwoleniu, ogłosił:

— Szanowni panowie, mówi mi tu pan hrabia Zbązki, że ma pewne informacye o zmianach, zajść mających w zarządzie prasy.

Wiadomość tę, znaną powszechnie, przyjęto z należytem uszanowaniem.

Przypominał sobie Dołęga dużo jeszcze rysów i szczegółów, ale nie mógł z nich złożyć całej postaci Karola Wielkiego. Wiedział o nim skądinąd niewiele: że jest bogaty, bezdzietny, ostatni swego nazwiska, — no i to, co powtarzali wszyscy, że za młodu, jako ochotnik francuski, brał udział w bitwie pod Solferino. To jednak nie mogło ostatecznie uzasadniać jego społecznej przewagi, wido-

cznej, bo wywieranej ogólnie, nawet na różne warstwy.

— Poznam go jeszcze bliżej przy sposobności, — myślał Jan, skręcając w ulicę Chmielną, aby trafić na Marszałkowską, gdzie miał mieszkanie.

— A ten Gniński... paradny ze swą okazałą grzecznością, ze swym wielkim ukłonem, ze swem zdaniem giętkiem, obracającem się za każdym promieniem popularności... Ale zawsze to człowiek czynny, nawet pożyteczny... Wielu jest jeszcze w tej sferze zdolnych, chętnych do pracy publicznej; możnaby ich sprządz i popędzić... ale jak trudno! Ile narowów, ile nawet zwyrodnień i nieuspołecznionych instynktów! Trzeba tu silnej, ogromnej ręki... No, może ten Zbązki?...

Dołęga wszedł do swego mieszkania. Dbał o zewnętrzną ozdobę, a opierał ten swój pociąg na wyrozumowanej teoryi: mieszkanie wesołe, wygodne, pełne rzeczy pożytecznych i przyjemnych, zastępuje poniekąd towarzystwo i zatrzymuje w domu; smutne i ladajako urządzone jest ciągłą pokusą do ucieczki i do szukania rozrywek. — Wprawdzie Dołęga był nadto systematycznie zajęty, aby mógł się nudzić, ale zawsze, jako młody i krewki człowiek, potrzebował rozrywki, lubił ludzi i stosunki z nimi. W celu ograniczenia włóczęgi po restauracyach i cudzych mieszkaniach, swoje ozdobił i uczynił głównem siedliskiem pracy i rozmyślań. Miał po rodzicach dużo starych mebli, pochodzących ze wsi rodzinnej, która przeszła w obce ręce; niektóre

były kunsztowne. Obrazy świadczyły o starszym jeszcze, minionym dobrobycie, a nawet o wybornym smaku nabywców. W obecnym stanie majątku Dołęga powinien był sprzedać te obrazy, w których leżał martwy kapitał, równający się może całemu jego realnemu kapitałowi. Ale on kochał swe obrazy, więc wynalazł teoryę, że mu się opłacają, dając w procentach tę dozę estetycznej przyjemności, której człowiek potrzebuje koniecznie, nawet do technicznej pracy.

Wogóle rodzime usposobienie Dołęgi było tylko pozornie zgodne z zasadami, wyrobionemi przez wychowanie i przez twardą konieczność. Matka, obawiając się w dziecku dziedziczności po ojcu niebezpiecznych i burzliwych porywów, tego wszystkiego, co nazywała społecznym romantyzmem, — dała młodemu Janowi wychowanie ultra-realne, chcąc go przygotować do działania w zakresach wyraźnych, praktycznych. Konieczność pracy na chleb pchnęła też Jana do zawodu, który obrał i do filozofii pozytywnej, którą w sobie mozolnie wyrabiał. Ale przez każdy jego czyn, przez każde rozumowanie, przeciągał powiew tej ujarzmionej natury pierwotnej i, niby ze źle stłumionego ogniska, buchał w nim gorący płomień miłości ogólnego dobra. Tej miłości ani się nie wstydził, ani się zapierał przed samym sobą, pragnął ją tylko pogodzić ze swem określonem działaniem. Ale wstydził się pragnień szczęścia dla siebie, zmysłowego, czy estetycznego, miał je za pokusy, za skłonności zdrożne, bo nie

umiał ich pogodzić ze swym systematem. Kiedy wszystkim źle, dlaczego mnie ma być dobrze? Dążenie do osobistej rozkoszy jest wsteczne w stosunku do troski o publiczne dobro. I te zasady główne nie pozwalały mu myśleć o zabawie, o miękkiem poddaniu się nęcącym falom życia.

Zabrał się był już dzisiaj do napisania paru listów, oczekujących na odpowiedzi, gdy rzucił okiem na starą francuską rycinę, przedstawiającą Dyanę na łowach. Rycina ta stała na biurku bez oprawy, oparta o jakiś przedmiot; znalazł ją przedwczoraj, przeglądając starą tekę, wydobył z ukrycia i postawił na biurku, bo głowa bogini, wypatrującej jelenia bystremi, czarnemi oczyma, była podobna do Halszki.

Pisał nudne listy i zerkał na główkę Dyany, raz nawet uśmiechnął się do niej z upodobaniem i odłożył pióro. Lecz po chwili uderzył niecierpliwie ręką o stół i schował rycinę do szafy.

— Nie wolno mi, nie wolno!

I pisał dalej.

Od miesiąca, od czasu wyjazdu z Waru, bronił się od wspomnień tej Halszki, która go ostatecznie ujęła dziecinnym swym zapałem do sprawy dróg bitych i obietnicą wysłania ojca do Petersburga. Całe to wykwintne życie wiejskie, zamek, i kraj, i lasy, stały się dla Jana symbolem uczuć zakazanych: miękkiej rozkoszy, nadmiernej zabawy, a dni te i krajobrazy, w których było mu dobrze i ciepło, skupiały się w jego wyobraźni około jednego

obrazu księżniczki. Tak Halszka wyglądała w zamku, tak w saniach, tak w altanie myśliwskiej... Niby duch tych wrażeń, kraśniczyna tamtych krain, śniła mu się Halszka i odwoływała go od codziennych zajęć.

Tłumił w sobie tę wizyę, ścinał ostrym rozsądkiem te niewczesne kiełki sentymentalizmu, który potępiał, mając go za nieprzyjaciela czynu. Nawet, aby się wyleczyć, tłómaczył na złe różne rysy charakteru Halszki. Jest zalotna i chciwa przewagi swej nad mężczyzną; z tego ślicznego dziecka wyrośnie taka sama księżna Hortensya, albo nawet pani Hohensteg!... Nie! taką nie będzie — inną ma duszę... tylko czy nie zaśnie jej dusza w tym sybarytycznym gwarze, pośród niebezpiecznych zapachów i kadzideł?... Wreszcie bronił się od wszelkich nad nią rozmyślań, formułując swe postanowienie zimno i prosto:

— Sfera nie dla mnie, życie nie dla mnie i ona nie dla mnie.

Ściągał potem czoło i pracował, pracował, czując, że ma wiele do roboty w życiu, dla siebie i dla innych.

IX.

Był karnawał. Warszawa, pokryta śniegiem, białym tylko na dachach, tętniła życiem zdwojonem. Środkiem głównych ulic migało coraz więcej pięknych powozów wśród ciągłego szeregu podlejszych, a po chodnikach szedł tłum zwarty, niezwykle cichy, jednak nie leniwy wcale, owszem bardzo żwawy; mężczyźni, przeważnie ubrani niedbale, wymijali się z pośpiechem; kobiety, dużo strojniejsze, wydawały się arystokracyą tego tłumu; co kilkadziesiąt kroków spotkać było można matową twarz, śmiałe spojrzenie i zgrabną kibić pięknej Warszawianki, postukującej tryumfalnie po kamieniach sławnie rasową nogą. Nawet w tramwajach, na jednej ze średnich ławek, z brzegu, siedziała zwykle ta sama Warszawianka, ratując swoją osobą wielkomiejski pozór ulicy. Skoro tylko zaświeciło słońce, ruchliwy tłum wylegał na Nowy-Świat, Krakowskie-Przedmieście, Marszałkowską, jakby uważał te ulice za swoje sale balowe, i ciągnął po nich nieprzerwanym korowodem.

Andrzej Zbarazki wyszedł przed południem z ho-

telu Europejskiego i stanął na rogu, przed cukiernią Lursa. Na widok tej strojnej, wysokiej postaci kilka sanek rzuciło się do usług, najeżdżając, spychając się, sprawiając wielki brzęk grzechotek i popłoch między przechodzącą publicznością.

— Ja, proszę jaśnie pana!

— Mateusz, proszę księcia pana! Widzisz go, sałata! konie z psich jatek wynajęte, a lizie w oczy!

— Jestem, proszę księcia pana — zawołał, zajeżdżając przed sam chodnik dorożkarz w czystej, granatowej liberyi, właściciel pary wielkich koni, brzęczących, pióropuszastych, pokrytych jaskrawą siatką.

Andrzej wsiadł, dał adres domu Arnolda Hellego i sanki pomknęły, jak wicher.

— Pan Helle przyjmuje?

— A jak mam zameldować?

Zbarazki oddał kartę wizytową, zrzucił futro i wszedł do dużego, jasnego pokoju, przeznaczonego widocznie na poczekalnię. Był już parę razy u Hellów, ale nie z interesem do pana, więc nie znał biur i gabinetów.

Służący, powierzchowności oficyalnej, niby woźny z ministeryum, powrócił i oświadczył, że pan Helle bardzo zajęty z dwoma panami z Berlina, że prosi, aby książę raczył poczekać; przyjmie go zaraz po wyjściu tych panów.

Andrzej usiadł w fotelu i rzucił okiem po pokoju. Kilka osób siedziało pod ścianami; dwie pa-

nie, zapewne matka z córką, albo teściowa z synową, w żałobie; paru urzędników trzymało na kolanach papiery, oprawne w szarą aktową bibułę; naprzeciwko zaś siedział wynędzniały jegomość we fraku i mętne, błagalne oczy wlepiał w Andrzeja, jakby się decydował, czy, zanim dostanie się do gabinetu Hellego, nie poprosić o protekcyę tego pana, należącego widocznie do ludzi możnych.

Zbarazkiemu nie smakowało zupełnie to koleżeństwo w oczekiwaniu; wstałby nawet i wyszedł, gdyby nie było śmiesznem oznajmić się i zniknąć.

— A to wpadłem! — myślał — gdybym wiedział, że mnie czeka taki obrzęd, napisałbym.

Wtem drzwi od przedpokoju uchyliły się, zaszeleściała suknia i we drzwiach ukazała się Marynia — śliczna Marynia w futrzanej zarzutce na ramionach, z głową odkrytą, jasną, trochę naprzód podaną, co czyniło bardziej jeszcze tęsknem spojrzenie jej błękitnych oczu. Musiała przejść przed Andrzejem, aby trafić do drzwi, prowadzących do pokoju ojca.

Szła śpiesznie, zarumieniona, prosto do krzesła, z którego powstał Andrzej, ocucony wesoło ze swych nieprzyjemnych rozmyślań. Podał jej rękę serdecznie.

— Dzień dobry pani.

— Dzień dobry księciu.

— Pani jeszcze chyba urosła?

— To pewno dlatego, że książę zapomniał, jak wyglądam.

— Właśnie przeciwnie: porównywam moje wspomnienia z wrażeniem obecnem i cieszę się jeszcze bardziej widokiem pani.

W oczach i w nozdrzach Andrzeja zagrało coś pożądliwego. Marynia prędko zwróciła rozmowę:

— Książę czeka... przepraszam za ojca, on taki zajęty. Idę tam właśnie, ale ze strachem, czy nie wypędzą mnie... Do widzenia.

Gdy otworzyła drzwi do gabinetu ojca, Andrzej poznał głos Hellego, mówiącego żywo po niemiecku, doskonałym berlińskim akcentem. Poczuł się jeszcze bardziej pomiędzy obcymi. Wprawdzie już ojciec Hellego był obywatelem warszawskim i zrobił duży majątek na browarach. Arnold potroił ten majątek, założywszy fabryki żelazne, również u nas, ożenił się z Polką, zachował jednak wiele pozorów i zwyczajów starego niemieckiego mieszczaństwa.

Świeży zapach pozostał po Maryni. Zbarazki odróżnił go z rozkoszą od woni bibuły i politury, napełniającej poczekalnię, miał bowiem bardzo wrażliwe powonienie. Domyślał się także, że Marynia musiała go spostrzedz na ulicy, lub inaczej jakoś dowiedzieć się o jego obecności w domu rodziców, bo skądże ten nagły interes jej do ojca?... Nie wątpił zresztą, że się pannie bardzo podoba, ale i Marynia podobała mu się niezwykle. Jej kształtna postać, uśmiech odsłaniający różowe dziąsła, delikatna bardzo skóra, miały w sobie coś zmysłowo obiecującego, coś osobliwego.

Gdy ją Andrzej spotkał po raz pierwszy

w Ostendzie przeszłego lata, wziął ją za cudzoziemkę, ale tego samego dnia dowiedział się, kto ona jest i gdzie mieszka, nazajutrz zaś poznał się z rodziną Hellów, o co u wód nie trudno.

Przyszedł mu na myśl teraz jeden epizod z Ostendy.

Opalowe morze śniło sobie, lekko pomrukując pod nadbrzeżną groblą, rojną przechadzką kąpielowych gości. Łódki rybackie osiadły gładką wodę, bliższe wyraźne, smolne i ciężkie, dalsze zupełnie białe, gorące światłem. Olbrzymi pomost „estakady“, rzucony na słupach w morze, odbijał się odwrotnie w błękitniejszej w tem miejscu fali. Andrzej szedł obok Maryni, która podawała rękę ojcu. Marynia miała suknię białą jak śnieg, białą jedwabną bluzkę, marynarski kapelusz i białą parasolkę; świeża jej twarz wyglądała jak różowy owoc, rzucony w całe to mleko. Mówili o byle czem, spoglądając na morze.

Tymczasem zbliżał się do nich, idąc po grobli wśród tłumu, bardzo wysoki pan o siwej brodzie i czarnych przenikliwych oczach. Choć ubrany był zwyczajnie, ustępowano mu z drogi i kłaniano mu się bardzo często. Był to Leopold, król Belgów.

— Czy trzeba mu się kłaniać? — szepnęła Marynia.

— Naturalnie — odrzekł Zbarazki.

— A po co? — mruknął Helle.

Obie odpowiedzi padły naraz, ale Marynia długą swą szyją i tęsknemi oczyma ukłoniła się tak ła-

dnie, że król Leopold, grzeczny zawsze dla dam, oddał ukłon z okazałą dworskością. Musiał i Helle idąc w tej samej grupie, zdjąć kapelusz.

Nie mówiono o tem więcej, tylko Marynia podniosła ukradkiem oczy na Zbarazkiego, niby zapytując „czy tak dobrze?“, a jemu pochlebił ten błyskawiczny wybór między jego zdaniem i ojca.

. . . .

— Pan Helle prosi księcia pana.

Andrzej wszedł do wielkiej, jasnej pracowni, pełnej sztywnych szaf i papierów; kilka obrazów na ścianach i wygodniejsze meble różniły ją od poczekalni, ale był to ten sam styl zimny, praktyczny. Helle siedział w głębi pokoju, odwrócony do drzwi, przez które wszedł Zbarazki, i notował coś pośpiesznie. Gdy ujrzał Andrzeja, zbliżającego się już do biurka, powstał sprężyście i zwrócił się do niego z tym wyrazem twarzy człowieka bardzo zajętego, który patrzy na osoby, jak na numery spraw, przypadających dzisiaj do załatwienia.

— A! dzień dobry księciu. Słucham.

Twardą, kościstą dłonią ścisnął rękę Andrzeja, potem wskazał mu szybkim ruchem boczny fotel przy biurku.

Andrzej, mimo zwykłej pewności siebie, poczuł się trochę stropionym. Chciał tę sprawę załatwić po przyjacielsku, lekko, po przywitaniu: „Kochany prezesie, powierzono mi tu rzecz tego rodzaju, mam

nadzieję, że pan to ocenia itd". Ale natrafiwszy na ten ministeryalny ton przyjęcia i po półgodzinnem czekaniu na audyencyę, musiał rozpocząć rzecz zimno, zwięźle i dosadnie. Nie bardzo zaś był na to przygotowany.

Wydał jednak, o ile ją pamiętał, lekcyę wziętą od Dołęgi.

Helle słuchał nerwowo: kręcił w palcach ołówek, marszczył i rozmarszczał twarz nadzwyczaj ruchliwą, o muskułach wybitnych, oddzielonych od siebie głębokiemi brózdami; siwiejący czub ruszał się razem z czworokątnem czołem. Przymrużał oczy, ciskające czasem niespokojne, żółte błyski, oczy drapieżne i rozumne, otoczone żółciowemi pęcherzami. Gdy Zbarazki przerwał swój referat, Helle postawił pionowo na stole ołówek i, patrząc w ten ołówek, zapytał:

— Dlaczego pan udajesz się z tem do mnie?

— Myślałem, że pana ta sprawa zajmie, jako bogatego i czynnego obywatela kraju.

— Zająć mnie może w teoryi, ale wcale nie leży w moim interesie. Ja mam, panie, fabryki w mieście, albo blizko od kolei, i do transportów mam nietylko szosy, ale własne szyny i wagony.

— Jednak ułatwienie komunikacyi oddalonym od kolei posiadaczom ziemi jest wielkim krokiem w rozwoju ogólnego dobrobytu i cywilizacyi.

— Jest i wiele innych rzeczy do zrobienia dla ogółu, a każdy działa najprzód w swoim zakresie i zaczyna od siebie i blizkich sobie. Pan, naprzy-

kład, myślisz o szlachcie, posiadającej wielkie obszary ziemi w oddalonych od kolei okolicach.

— Szlachta, czy nie szlachta — odparł Andrzej twardniejącym nieco głosem — więksi właściciele ziemscy są głównymi przedstawicielami narodu, a ich dobrobyt obchodzi całe społeczeństwo.

Helle spojrzał Zbarazkiemu po raz pierwszy prosto w oczy; wydawał się teraz młodszym i gotowym do walki. Rzekł:

— Pogląd pański podlega dyskusyi. Nie wiem dlaczego więksi właściciele ziemscy, a nie miejscy, mają być głównymi przedstawicielami narodu? Nie wiem także, jak pan nazywasz liczebnie przeważną masę drobnych właścicieli i ludność bezziemną, zgromadzoną głównie w miastach? Czy praca tych innych i dla tych innych, czy ich dobrobyt nie obchodzi społeczeństwa?

Andrzej poczuł się odrazu śmiertelnie znudzonym. Mówił już bez najmniejszego przekonania, byle skończyć:

— Wchodzimy, panie... prezesie, na śliskie drogi. Bardzo pragnąłbym nie spierać się z panem. Skoro pan odmawia swego udziału, to misya moja skończona.

— Za pozwoleniem — tłómaczę się. Najprzód kto ten interes będzie prowadził? Kto tu będzie robotnikiem około sprawy?

— Techniczną stronę obmyślił i zaprojektował pan Jan Dołęga.

— Dołęga? — a tak, wiem. To dobrze, ale nie

o to pytam. Dołęga nie ma wpływów. Pytam kto się zajmie przeprowadzeniem sprawy u władz, zorganizowaniem towarzystwa — jednem słowem: kto projekt w czyn wprowadzi?

— Hrabia Szafraniec, panowie Zawiejscy mój ojciec — są już pozyskani...

Powichrzony czub Hellego zaczął falować razem ze skórą czoła, twarz przybrała wyraz pośredni między zakłopotaniem a szyderstwem.

— Szafraniec?... no to macie panowie dosyć pieniędzy.

— Zwracam się do pana, aby zapewnić się o szerszym udziale możnych obywateli kraju.

— A czy wolno wiedzieć — spytał Helle — jaki udział pieniężny obiecał hrabia Szafraniec?

— Dotychczas nie było o tem mowy; tymczasem panowie: Szafraniec, Hektor Zawiejski i mój ojciec wybierają się po koncesyę do Petersburga.

— Teraz rozumiem — rzekł Helle. — Ci panowie dadzą firmę, a mieszczaństwo da pieniądze. Panowie udajecie się do nas zawsze, gdy potrzeba pieniędzy, pod pozorem, że każdy bogatszy obywatel kraju powinien nosić część ciężaru dla publicznego dobra. Bardzo pięknie. Ale przytem mówicie nam, gdy chodzi o jakieś moralne dowództwo, o firmę, żeście wy tymi urodzonymi naczelnikami. Nam zostawiacie robotę, jeżeli jest ciężka i niepokaźna, no i — udział pieniężny.

— Bardzo daleki jestem od tej myśli — rzekł Zbarazki dumnie—a jeżeli pan używa liczby mno-

giej, to i ja pozwolę sobie powiedzieć, że jesteśmy bardzo dalecy od chęci wyzyskiwania możnych obywateli miejskich. Pragniemy dzielić się z nimi równie ciężarami, jak zasługą i moralną nagrodą.

— Gdyby tak było! — mówił Helle coraz goręcej — ale to są pana osobiste złudzenia, albo dobre chęci. Arystokracya tak nie myśli. Przepraszam za szczerość; pan się nie oryentujesz w swojej własnej sferze, tak jak panowie wszyscy nie oryentujecie się w swoich zadaniach. Zadania te u nas trudniejsze są, niż w innych krajach, trudniejsze dla każdej klasy, a cóż dopiero dla arystokracyi, która nie tylko nie umie, ale nie chce się opierać na masie narodu. Poszanowanie, moralna władza - wypływają nie z dziedzictwa dawnych zasług, ale z realnych zasług dla dobra żyjącego pokolenia. Wtedy naród zgadza się na swoją arystokracyę i daje się poniekąd jej kierować. A panowie czy oglądacie się na społeczeństwo? Czy nie pracujecie (jeżeli kto tam u was pracuje) dla waszej wyłącznie kasty? Nie widzicie nawet, że kraj się rozrósł, że przybyły mu nowe siły, z któremi trzeba się liczyć i współdziałać, aby zyskać sobie potwierdzenie swych starych tytułów — panowie nie znacie nawet kraju!

Andrzej patrzył na Hellego ze zgrozą. Jakto? ten Helle, którego ojciec jeszcze był przybyszem z Niemiec, odzywa się do prastarych synów tej ziemi: „nie znacie kraju?!“ Jest to widocznie czło-

wiek dziwnie zarozumiały. Odpowiedział, starając się przybrać ton uśmierzający:

— Szanowny panie, ta krytyka wydaje mi się jednostronną i trochę niewczesną. Oto właśnie zabieramy się do pracy określonej i pożytecznej; przychodzę do pana z zapytaniem, czy nie chce się pan z nami połączyć; odmawia pan, bo ma nadto innych obowiązków. Rozumiem, mocno żałuję i nie nalegam już.

Andrzej wstał, aby się pożegnać. Powstał i Helle, ale mówił jeszcze:

— Nie chcę, abyś mnie książę źle zrozumiał. Nie odmawiam zasadniczo, bo sprawa jest pożyteczna. Jeżeli trzeba będzie pomocy fachowej, ofiaruję swoją pomoc. Co zaś do udziału pieniężnego, dam tyle, ile da hrabia Szafraniec.

Zbarazki zrozumiał, że odpowiedź ta jest tylko nową krytyką osób podejmujących się sprawy, ale poczuł zarazem, że nie starczy mu sił i cierpliwości do dalszego spierania się. Rzekł więc tylko:

— Przełożę pańską odpowiedź głównym inicyatorom.

Helle wyciągnął do Zbarazkiego rękę silnym, prostym ruchem i twarz mu się rozjaśniła.

— Wybacz, książę; interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią. Gdybyś pan chciał sam coś robić, a potrzebował mojego współudziału, służę. Moje uszanowanie.

Andrzej już wychodził, gdy we drzwiach spotkał Marynię, zakłopotaną.

— Mama mi poleciła zapytać, czy książę nie zostałby u nas na śniadaniu?

— A! bardzo proszę, bardzo proszę — wmieszał się do rozmowy Helle i począł tyranicznie namawiać Zbarazkiego na śniadanie, jakby mu chciał nagrodzić nieprzyjemną rozmowę.

Zbarazki odmówiłby z pewnością, gdyby nie spojrzał na twarz Maryni, całą zamienioną w oczekiwanie i prośbę. Zgodził się więc po wahaniu i poszedł za przewodniczką przez długi szereg pokojów i schodów.

Marynia szła posuwiście naprzód, szeleszcząc spódniczkami, aż gdy mieli już wejść do salonu, odwróciła się do Andrzeja, i podnosząc na niego tęskne oczy, podała mu obie ręce.

— Tak się cieszę... — rzekła i urwała.

A on, patrząc na tę świeżą, jak wiosna pannę, powtórzył tylko jej słowa, bo nie mógł powiedzieć tego, co myślał:

— I to milutkie kobieciątko jest córką tego starego żbika!

X.

Skoro tylko znalazł się w towarzystwie kobiet, Andrzej poczuł się swobodnym, wesołym, a nawet energiczniejszym. Pani Hellowa, pochodząca z zaszczytnie znanej rodziny Dekiertów, przyjęła gościa bardzo czule, podnosząc na niego błękitne oczy, trochę zamglone i krótkowidzące, jednak jeszcze wymowne, oczy Maryni, o dwadzieścia lat starsze. Była to osoba słodka i miłosierna, niedoceniana zwykle dlatego, że Helle rzucał zbyt wielki cień na nią. Gdy mówiono o Hellach, myślano zawsze o panu, od niedawna o córce, dla jej piękności i ogromnego posagu — ale nigdy o pani.

— Zapraszam księcia na śniadanie ściśle familijne; nie mamy nikogo z gości, ale sądziłam, że książę jest sam w Warszawie i może nam poświęcić godzinę czasu.

— Tem milej mi będzie — odpowiedział Andrzej — bardzo dziękuję za pamięć o biednym, zgłodniałym interesancie. Rodzice moi wprawdzie przyjechali wczoraj, ale ja mieszkam w hotelu i jadł-

bym tam śniadanie, zamiast tej niespodziewanej przyjemności.

Odzyskał swój głos miękki i ciepły, przymilał śniące, prawie kobiece spojrzenie. Matka i córka patrzyły w niego, jak w tęczę.

Do salonu weszła pani Wadowska, nauczycielka, smutna, wdowia postać. Zbarazki przedstawił się jej i podał rękę tak uprzejmie, że odrazu dobrze dla siebie usposobił biedną kobietę, przywykłą do rozmaitego traktowania przez rozmaitych gości. Gdy podano śniadanie, Andrzej znalazł się przy stole między trzema kobietami, bo na pana nie czekano: miał zwyczaj jadać o różnych godzinach, stosownie do swoich zajęć.

Mieszkanie Hellów było wspaniałe, brakło mu tylko tej patyny, która cechuje wnętrza urządzone oddawna i przez kilka pokoleń. Jednak Andrzej oddychał z przyjemnością zapachem kobierców i kwiatów, zwłaszcza po opuszczeniu sztywnych biur, napełnionych wonią urzędową. Rozejrzał się po sali jadalnej. nieco przeładowanej stylem staroniemieckim. oświetlonej przez okna o drobnych, kolorowych, w ołów oprawnych szybach.

— Jaka przyjemna sala! — rzekł, pomijając inne pochwały.

A trzeba było coś powiedzieć o sali: prosiła się o to koniecznie.

Pomówiono trochę o stylach, przyczem Zbarazki rozwinął wstrzemięźliwie parę estetycznych teoryi, pytając niby nieśmiało o zdanie pań, cho-

ciaż znał dużo lepiej od nich historyę sztuki i smak miał niepospolicie wyrobiony. Podkreślił mimochodem wszystkie ładne szczegóły mieszkania, w którem się znajdował.

— Te dwa krajobrazy w salonie czy są Norblina?

— Tak — odpowiedziała pani Hellowa — Norblin malował je dla mego pradziada.

Andrzej pochylił się, jakby przejęty uszanowaniem.

— Aa — tem są cenniejsze. Mamy podobne w Warze, ale mniej piękne.

— Ten War musi być wspaniały? Słyszałam wiele o nim? Czy prawda, że są tam zwodzone mosty, i baszty ze strzelnicami, i trębacze zamkowi?

— Są tam różne staroświecczyzny, niektóre ładne. Panna Marya powiedziała mi w Ostendzie, że War wyobraża sobie gdzieś na granicy Turcyi. Pewno nie pani Wadowska nauczyła tej geografii, ale jest w tem coś prawdziwego. Ja uciekam z Waru, skoro niema polowań.

Manewrował tak, aby wszystkim i każdej z osobna powiedzieć coś uprzejmego. Wtem drzwi otworzono na rozcież i ukazał się Helle. Nie przyszło mu do głowy przepraszać, że się spóźnił, było to bowiem dla niego normalne.

Nie jadł tego, co wszyscy: podano mu osobną jakąś potrawę i przyniesiono dużą szklankę piwa z beczki. Zaraz rozmowa upadła, bo, mimo uroku, który Andrzej wywierał na panie, wszystkie trzy

zwróciły się do władcy. Helle jadł prędko i niecierpliwie, źle trzymał sztućce, mówił głośno, pełnemi ustami, zdawał się nie spostrzegać, że ma gościa przy stole: wspominał o swoich interesach; siedzącą obok Marynię gładził ręką po twarzy.

Zbarazki był wrażliwy i spostrzegawczy, ale umiał doskonale pokrywać swe wrażenia. Nie zmienił więc uśmiechu, nie zwracał niby na nic uwagi, tylko raz drgnął nieznacznie, gdy twarda dłoń Hellego dotknęła twarzy Maryni.

Śniadanie było długie i wyszukane; znać było, że Hellowie często przyjmują gości, skoro stół codzienny tak był wystawny. Andrzej czekał końca z upragnieniem, bo miał nadzieję, że Helle zniknie znowu po śniadaniu.

Zgadł trafnie, bo Helle przysiadł tylko na chwilę w salonie, zapytał Andrzeja, niby z łaski, czy woli koniak, czy likier do kawy i wkrótce powstał, mówiąc:

— No, czas już na mnie.

Milcząc ścisnął rękę Zbarazkiego i wyszedł.

Pani Hellowa starała się wytłómaczyć męża i przekładała Andrzejowi, że Arnold jest ogromnie czynny; dodała nawet, że nie trzeba się zrażać jego pozorami, gdyż ten szorstki człowiek ma złote serce, niezwykłą prawość charakteru i różne inne przymioty.

Andrzej słuchał bardzo grzecznie i sam pomagał do apologii, odzyskawszy humor po wyjściu Hellego. Nie chodziło mu bowiem wcale o zalety tego człowieka, ale nie cierpiał nudów i wrażeń nieestetycznych.

Było mu znowu dobrze między matką a córką, w atmosferze uprzejmej, przy wybornej kawie; czuł się znowu panującym i kochanym, nawet dobrym i gotowym do poświęceń. Mówił paniom rzeczy słodkie, poufne; nie opuścił żadnej sposobności, aby im powiedzieć, że są ładne i wytworne; zwierzał się przed niemi ze spraw swoich rodzinnych, oględnie, ale dostatecznie, aby dać im poczuć swe do nich zaufanie; przesadził nawet znacznie w opowiadaniu synowskie uwielbienie dla swej matki. A że wdzięk rozmowy z kobietami polega bardziej na muzyce, niż na treści słów, więc oczarował matkę i córkę. Obie ścisnęły mu mocno rękę przy pożegnaniu, a gdy wyszedł, Marynia rzuciła się w objęcia matki bez widocznego powodu. Znaczyło to jednak wyraźnie w osobnem narzeczu kobiet:

— Jaki on miły i piękny! Mamo, czy on będzie kiedy moim?

Andrzej zaś kazał dorożkarzowi jechać w Aleje Ujazdowskie i z rozpędzonych sanek kłaniał się znajomym radośnie — a i znajomi mieli wszyscy dziwnie wesołe twarze.

XI.

Dopiero pod Belwederem przypomniał sobie Zbarazki, że powinien zdać relacyę Dołędze ze swej wizyty u Hellego. Skrzywił się, bo mu to mąciło seryę przyjemnych wrażeń, jednak kazał dorożkarzowi jechać na Marszałkowską.

Andrzej przyjechał przed paru dniami do Warszawy, ale nie był jeszcze u Dołęgi. Wogóle sprawa szos nie postąpiła od owej energicznej sesyi w Chwaciejówce. Dołęga wiedział o niej tylko przez listy. Wmieszanie Hektora Zawiejskiego do wyprawy po koncesyę zadziwiło go nieco, jednak nie zniechęciło: niech sobie Hektor będzie wielki, byleby sprawa na tem zyskała. Oczekiwano dotąd na radę Karola Zbązkiego i na wyruszenie z Waru księcia Janusza, który nie był zbyt pochopny do tak awanturniczej decyzyi. Szafraniec zaś, zdecydowany tym razem, gotów był do jazdy.

Andrzej zastał Jana w domu, i po serdecznem przywitaniu, oświadczył, że właśnie wraca od Hellego.

— No, jakżeż tam poszło? — pytał Jan niespokojnie.

— Klapa, mój drogi—odrzekł Andrzej, nie pozbywając się uśmiechu i szukając napróżno kanapy w pracowni Dołęgi.

Jan ściągnął brwi i zaczął chodzić po pokoju, a Zbarazki, usadowiwszy się najwygodniej na fotelu, oparłszy nogi o krzesło, przemówił śpiewnie, przewlekle:

— Widzisz, Janku, ja nie jestem do takich poselstw. Jak mi zaczął dowodzić, że ten cały prójekt jest zrobiony przez szlachtę i dla szlachty, a potem spierać się o to, kto jest głównym przedstawicielem narodu: szlachcic wiejski, czy właściciel fabryki w mieście, to jest niby, czy ja, czy on — poczułem odrazu ogromny wstręt do tego pana.

— To szkoda, wielka szkoda — wtrącił Dołęga.

— I powątpiewał wogóle o naszych zdolnościach. Wreszcie obiecał dać tyle, ile da Szafraniec... To mu się udało Jednem słowem, ni tak, ni owak, a nagadał mnóstwo nieprzyjemności całej naszej sferze, jak naprzykład, że nie oryentujemy się w swoich zadaniach i nie znamy własnego kraju! Co? miły człowiek?

— Cóż mu odpowiedziałeś?

— Miałem parę dróg do wyboru: albo przekonać go, że znam kraj, albo wyzwać go na pojedynek, albo — zostać u niego na śniadaniu. Wybrałem to ostatnie.

— Zostałeś na śniadaniu? więc w rezultacie?... Mój Andrzeju, nie żartuj, bo to przecie sprawa ważna!

— Zaczekaj... widzę, że cię chwyta gorączka, a ja ci przynoszę, mimo nieudanej wycieczki, napój uśmierzający. Najprzód — Marynia jest cudowna...

— No tak — mruknął Dołęga i począł znowu chodzić.

— Jest cudowna. Ma jakiś Holbeinowski wdzięk nawet w tej barokowej ramie i w tej przeklętej poczekalni. Ach, poczekalnia! Znasz ją?

— Znam.

— Więc pomijam. Za to w salonie są dwa dobre Norbliny, pochodzące od rodziny matki. No i sama matka bardzo przyjemna. Te panie są wychowane dużo lepiej od naszych. Mówię ci, konwersacya po śniadaniu... Aha, łapiesz za zegarek. Zaraz wyniosę się.

— Przepraszam cię, Andrzeju... Tak sobie spojrzałem na zegarek, przez roztargnienie... Nie wiedzie nam się.

— Poczekaj więc, mam coś pomyślniejszego w zapasie.

— No? mów prędko!

— Rodzice moi przyjechali wczoraj do Warszawy na ślub Koryatowicza. Mówiłem z ojcem; otóż, przełamał swą czcigodną inercyę. i obaj, razem ze szlachetnym Hektorem, wybiorą się w drogę zaraz po tym ślubie.

— To co innego! To doskonale! Jakże się książę Janusz zdecydował?

— Najprzód Karol Wielki, zapytany o radę, czy udać się do Petersburga, odpowiedział: „Zawsze“.

— Brawo, Karol Wielki!. Ale co to jest: zawsze?

— On tak się zwykle wyraża. W tym wypadku znaczy to, że pochwala. że sankcyonuje... Wogóle?... Dyabli go tam wiedzą, dość, że znaczyć nie może nic innego. A i w Warze masz sprzymierzeńców.

— Chwała Bogu! — wykrzyknął Dołęga.

Zbarazki zmrużył przenikliwie oczy i ciągnął dalej tonem przyjaźnie szyderczym:

— Naraz i administrator wynalazł mnóstwo pilnych spraw do Petersburga; i Kordysz — wiesz? nasz łowczy — chce koniecznie skończyć z serwitutami; i Marsowicz wyprawia ojca. a głównie... Halszka ma tam jakieś sprawunki. Ha, ha! Więc najprzód była faza taka, że mówiła do ojca: „jeżeliby papa pojechał do Petersburga“ — potem różne spiski z administracyą; następnie druga faza: „Jak papa będzie w Petersburgu“... Wreszcie przyszedł w porę ten ślub Koryatowicza. Wiesz? Żeni się pojutrze z Kostkówną — więc już wsiadało się na ojca z góry: „Papa musi jechać na ślub Jurka“. A skoro przyjechał do Warszawy, pojedzie tym samym rozpędem i dalej. Jest to już ostatecznie postanowione.

Dołęga słuchał rozpromieniony.

— Dziękuję ci serdecznie, Andrzeju.

— Za co? Za nieudany zamach na Hellego?

— Za starania i za wiadomości. Widzisz, Helle nie odczuł potrzeby tej sprawy, ale odczuli ją Zba-

razcy. Gdybym miał tu wino, piłbym zaraz na cześć wszystkich Zbarazkich. Jesteście wielką siłą, powinniście jej używać na dobro.

— Ach, siła i my! — rzekł Andrzej. — My jesteśmy tylko względną wartością ale nie siłą.

— Nie wykręcaj się — jesteście siłą.

— No, kiedy jestem siłą, to cię pociągnę za sobą do „Sportu“. Pozwól sobie bowiem powiedzieć, że zamało starasz się o ludzi, których chcesz obudzić i pchnąć do działania. Jesteś szorstki, jak szczotka.

— Masz słuszność.

— Nie bywasz w naszem towarzystwie, a przynajmniej za rzadko.

— Prawda i to.

— Czy będziesz pojutrze na ślubie Kostkównej?

— Ale gdzie tam!

— A widzisz. Żebyś mi powiedział wcześniej, zaproszonoby cię na śniadanie poślubne i poznałbyś mnóstwo osób, należących do tej „siły“, o której prawisz. Weź przynajmniej moje zaproszenie, za którem wpuszczą cię do kościoła.

— A to mi po co?... Zresztą, daj ten papier, dziękuję ci.

— A teraz chodź ze mną do „Sportu“. I tam pełno ludzi, którzy zdać się na coś mogą.

Dołęga nie poszedł jednak do „Sportu“, bo nie miał dzisiaj czasu. Może kiedy indziej pójdzie.

Zbarazki siadł zatem sam do sanek. Zabrzęczały, pośliznęły szybko i wkrótce Andrzej wcho-

dził już do sali, pełnej uroczystych, przerywanych pomruków.

Siedziały czwórkami naprzeciwko siebie poważne głowy przy czterech bokach kwadratowych, krytych zielonem suknem, stolików, zamyślone nad zagadnieniami winta, które są podobno głębsze, niżby się zdawało świeżym adeptom. Przy czwórkach graczów było jeszcze po paru z „galeryi“, tej najsmutniejszej klasy ludzi. żywiącej się cudzemi wzruszeniami.

Andrzej przeszedł przez salę winta i udał się do dalszych, gdzie gwarnie o czemś rozprawiano. Panowały nad innemi podniesione głosy Hektora Zawiejskiego, Włoska i Kerstena, spierających się o to, kto komu robi łaskę: czy książę Koryatowicz, żeniąc się z Kostkówną, czy ta ostatnia, wychodząc za Koryatowicza. Żaden z rozprawiających nie był krewnym ani jednej, ani drugiej strony, ale ślub ten roznamiętniał wszystkich z powodu okazałego zjazdu i zaproszeń do pałacu Karola Zbązkiego, który, jako wuj panny młodej, wyprawiał u siebie wesele.

— Bądź co bądź — wołał Hektor Zawiejski — Koryatowiczowie są ze starego książęcego szczepu i mają prawo być traktowani na równi z pierwszą arystokracyą europejską. A przytem Jerzy jest bardzo miłym chłopcem i mógłby się ożenić tak samo z księżniczką krwi, jak z Kostkówną.

— Pozwól pan, panie Zawiejski — mitygował mówcę Kersten, składając ozdobnie dwa palce. —

Nie mnie uczyć historyi szlachty, więc wiem, jakie jest pochodzenie Koryatowiczów. Ale przypomnę panu, że są u nas rodziny książęce, specyalnie u nas, które przez cały okres naszych dziejów były nieznaczną, prowincyonalną szlachtą. Tacy książęta jeżeli drew sami nie rąbali, trzymali się klamki panów, i nie jestem pewny, czy który Koryatowicz nie był marszałkiem dworu u wojewody Kostki?

— Ale co pan mówi? Gdzież to podobna! — oburzał się Hektor. — Przecież są krewnymi Zbarazkich!

— Ach, jutro zostaną krewnymi Kostków i spadkobiercami Zbązkich. Cóż to dowodzi o ich przeszłości?

Wmieszał się do rozmowy pan Włosek, ruchliwy człowieczek, o długim, myszkującym nosie, gładki, starannie ubrany i bardzo popularny w „Sporcie“. Małe jego oczy błyszczały żywym ogniem, a nos zdawał się wietrzyć. Jak skąpiec spoziera na złoto, jak antykwaryusz przegląda skarb z ciekawej epoki, tak Włosek traktował z zamiłowaniem każdą nowinę, obchodzącą wysokie sfery towarzyskie, do których przyjęto go osobiście, bez żony i potomstwa.

— Nie ma co mówić — prawił — c'est une mésalliance.

— Dla kogo?

— Pour les Kostka!

— Niech pan uważa – trącił go ktoś, ukazu-

jąc na Andrzeja Zbarazkiego, który wszedł właśnie do sali.

Zbarazki był kuzynem jutrzejszego nowożeńca. Włosek nie stracił głowy i przyskoczył do Andrzeja.

— No, niech książę ten spór rozstrzygnie! Są przecie u nas wielkie i małe rodziny książęce. No co?

— A, dajcież mi pokój! — rzekł Andrzej, podnosząc ręce do uszu. Ja się nie znam nic na tem.

— On ma prawo na tem się nie znać — odskoczył znowu Włosek od Zbarazkiego, pokazując go zebranym. — Ale to książę będzie wiedział, czy pan Zbązki nie ma innych spadkobierców, oprócz panny Kostkównej?

— Ta jest najbliższa; jest córką jego rodzonej siostry, a Zbązkich niema już żadnych, oprócz wuja Karola.

— Prawda! — wykrzyknął Włosek — hrabia Zbązki jest także wujem księcia! Więc to księciu obojętne, pour qui la mésalliance?

— Zupełnie obojętne — rzekł Andrzej, podając rękę cichemu jakiemuś panu, nie biorącemu udziału w rozmowie.

Był to młody hrabia Reckheim, Niemiec, sekretarz ambasady w Petersburgu. Nosił na całej swej postaci piętno międzynarodowej elegancyi. Pierwszy raz zatrzymał się w Warszawie w przejeździe do Berlina. Zapraszany na wszystkie zabawy karnawałowe tego roku, zaczynał już oryentować

się w warszawskiem wyższem towarzystwie, przyglądał mu się pilnie i spokojnie.

— O co tu chodzi? — zapytał, odprowadzając na bok Andrzeja.

Zbarazki wytłomaczył mu niedbale tę rozmowę.

— Więc u was może być wątpliwe, kto należy do jakiej sfery? — zapytał Reckheim poważnie.

— Ach, nie! Taka dyskusya może powstać tylko w kompanii, która zebrała się tutaj dzisiaj. Ce sont des types...

Andrzej wymówił ostatnie słowa z pogardliwem skrzywieniem.

W tej chwili Kersten, spostrzegłszy Reckheima ze Zbarazkim, zbliżył się do nich rytmicznym krokiem i zwierzył się im pocichu:

— Uff! Jak to ciężko mówić z ludźmi na pół tylko cywilizowanymi! Zresztą to przypadek w naszem kółku. Zebrała się dzisiaj taka gromada. Ce sont des types!

Niemiecki dyplomata przysłonił oczy powiekami.

XII.

Kościół PP. Wizytek był przystrojony na uroczystość familijną pierwszej klasy. Chociaż ślub miał się odbyć o południu, zasłonięto okna i zapalono mnóstwo świec jarzących; oranżeryjne rośliny, kadzidła i perfumy wystrojonych gości weselnych napełniały wnętrze kościoła świąteczną wonią. Od drzwi wchodowych do ołtarza stał podwójny szpaler mężczyzn we frakach, odgradzając puste przejście, zasłane karmazynowym kobiercem, od fali widzów napierającej z boków na ten korytarz środkowy.

Dołęga wszedł już dość dawno, boczną nawą dostał się do pilastru stojącego na granicy presbyterium i, nie wmieszany w dalszą publiczność, patrzył. Rzędy krzeseł przed ołtarzem zaczynały się napełniać, a ławki główne we środku kościoła były już szczelnie ubrane twarzami, przeważnie starych kobiet. Skąd on znał te twarze sterane, wysuszone, te ostre profile, te namiętne i zgasłe oczy, te fałdy około ust? Gdzie widział te ciemne stroje, starożytne kapelusze? Jakieś mętne, gdzieś widziane obrazy,

powstawały w nim i twarze te, nieodłączne od kościołów, układały się niby we fryzy otaczające tajemnicze wzruszenia pobożnego dzieciństwa.

Do krzeseł przybywało wiele bogatych futer i strojnych postaci, które witały się z sobą, gawędziły. Weszło i kilka pięknych pań. Ale między tem kołem wybranem, stanowiącem bliższe grono krewnych i znajomych, było kilka osób, aż strasznych od zwyrodnienia i starości: parę szczęk i czaszek nieprawdopodobnych, paru trzęsących się starców, zapatrzonych w ziemię, już prawie nieżywych. Wszystkie numizmaty familijne, wszyscy krewni do czwartego pokolenia zeszli się tutaj dla ozdoby uroczystości.

Ogólną uwagę zwróciło wejście jednej starej damy. Ta już całą postacią nie należała wcale do dziewiętnastego wieku: wsparta jedną ręką na kuli, a drugą na ramieniu młodej dziewczyny, szła majestatycznie, postukując miarowo po posadzce, ukazując wspaniały, pogodny profil z pod zakonnego stroju głowy, okrytej czarną chustą z białym koronkowym rąbkiem na czole. Rzekłbyś — Anna Jagiellonka z Matejkowego „Kazania Skargi“. Dołęga poznał ją z opisów, których nasłuchał się w Warze. Była to panna Temira Ostykówna, ulubiona ciotka Halszki, praciotka jakaś, ale, mimo ułomności i wieku, przyjaciółka młodych i całego świata.

Gdy napełniło się presbyteryum, szmer urósł do natężenia głośnej rozmowy.

Nagle ucichł. Wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom kościelnym, a z góry, od organów, buchnął naraz w tę ciszę hymn potężny, ciepła kaskada dźwięków spadła na silnie wzruszone zgromadzenie. Orszak ślubny szedł śpiesznie po szkarłatach do ołtarza.

Panna młoda ze spuszczonemi oczyma postępowała między Andrzejem Zbarazkim i drugim młodzieńcem, którego Dołęga nie znał, w drugiej zaś trójce zobaczył jedną tylko postać Halszki. Ta szła prosta, lekka i uśmiechnięta; chód jej nie był wahającem się posuwaniem postaci, ale silnym, zdrowym ruchem naprzód; z rozchylonej futrzanej rotundy różowy stanik wyzierał niby dziewiczy pancerzyk i sunął płynnie do ołtarza. Oczy mężczyzn zapalały się przy jej drodze.

Rodzice panny, krewni, Zbarazcy, Kostkowie, Przemscy szli parami, odbijała od orszaku wykwintna siwa głowa Karola Zbązkiego, pełna namaszczenia i błogosławieństwa, jego postać jeszcze okazała, sztywna, we fraku z orderową wstęgą.

Ale szpaler rozszerzył się i odepchnął trochę bardziej na boki publiczność. Dołęga musiał także odsunąć się i stracił z oczu główne osoby. Do presbyteryum weszło dużo mężczyzn i, stojąc, zasłoniło ołtarz.

Nie przenosząc wzrostem otoczenia swego, Jan nie widział już nic, mignęły mu tylko nad tłumem dwie infuły, posłyszał kilka słów cichej i krótkiej przemowy — więc cofnął się ku drzwiom i ku

środkowemu szpalerowi, czekając na powrót orszaku.

Tymczasem śpiewy, rytualne szepty, zapachy i światła rozkołysały mózg Dołęgi i dwoje młodych, biorących tam ślub przed ołtarzem, stało się tylko zapomnianym szczegółem w tej harmonii otaczającej jedną tylko dla Jana postać kobiecą Jakby też on wyglądał obok niej, na klęczkach przed złocistemi aparatami kapłanów? Czy bardziej dumą, czy niemem szczęściem miałby napełnione serce? Czy mogłaby taka piękna, ale zapewne pusta dziewczyna, zrozumieć, że w tem zgromadzeniu on, Jan Dołęga, ma także dzielne serce i ramię, na którem można się oprzeć. On, inżynier, stojący na uboczu poza szeregami zaproszonych na gody. on — prawie sługa i najemnik tych panów. — Sługa?! — nie. Sługa wszystkich ale niczyj, sługa sprawy, nie osób. A gdyby taka kobieta miała trochę samodzielności w sobie, trochę bohaterstwa?

Był upojony, nie bronił się od zakazanych marzeń.

Obrzęd był krótki; już orszak w zmienionym składzie par, powiększony przez całą gromadę osób z presbyteryum, zdążał ku wyjściu. Dołęga lustrował i pomijał przechodzące pary: nie było Halszki między pierwszemi. Nareszcie ujrzał ją, opartą na ramieniu tego nieznajomego drużby, który uprzednio prowadził pannę młodą. Rozbawiona raczej, niż przejęta uroczystością, zatrzymywana przez powolniejszy teraz pochód, szła, rozglądając się, od-

dając ukłony znajomym — aż spostrzegła zapamiętałe oczy Dołęgi i otworzyła trochę usta z podziwu. Wkrótce skinęła mu wesoło głową.

Jan stał prosto, nie śmiejąc jeszcze brać do siebie tego skinienia, aż Halszka, mijając go, rzuciła mu powitanie:

— Dzień dobry panu!

Wtedy skłonił się głęboko, a gdy podniósł głowę, zmrużył nieco oczy, bo czuł, że mu krew nabiega do twarzy.

Halszka przeszła, a Jan podążył ku wyjściu i szedł potem wolno, w rozpiętem mimo zimna futrze, ku domowi.

XIII.

Tego samego ranka Kersten obudził się w swem wykwintnem mieszkaniu, które zajmował sam, gdyż był wdowcem bezdzietnym. Wczoraj wieczorem skarżył się wszystkim na ból głowy; dzisiaj jeszcze, gdy wszedł do sypialni służący, pan baron trzymał się za czoło i mówił:

— Trzeba mi przynieść z apteki kefalginy... taki mam ból nerwowy, jak wtedy w Wiesbaden, pamiętasz?... co to chwyci i ustanie, znów chwyci i znów ustanie...

— Pan baron za mało używa ruchu.

— Może masz słuszność. Pójdź po kefalginę, a ja jeszcze trochę pozostanę w łóżku. Zasłoń okno.

— A czy pan baron włoży frak dzisiaj rano?

— Poczekaj... nie wiem, z tym bólem... Czy nie było jakich listów z miasta?

— Jest jakiś na biurku.

— Daj go tutaj — rzekł żywo Kersten, odejmując ręce od czoła.

Służący podał list bez marki, Kersten otworzył go pośpiesznie.

Był to kosztorys rytownika na guziki liberyjne.

Pan baron cisnął papier z widocznem rozczarowaniem, obrócił się do ściany i powtórzył rozkaz:

— Zasłoń okno, daj mi jeszcze spać.

Wypadkiem, czy umyślnie. pominięto Kerstena przy zaproszeniach na ślub Koryatowicza z Kostkówną. Było to uchybienie, bo, chociaż Kersten nie był krewnym, należało się to jego pozycyi. Otrzymawszy tylko zawiadomienie o ślubie bez zaproszenia na śniadanie, Kersten przebąknął nawet coś o tem bliskim Karola Zbązkiego osobom, ale. mimo to, zaproszenia nie było dotychczas, czyli do ostatniej chwili. A śniadanie ślubne miało być liczne i należało do rzędu tych, o udziale w których mówi się parę dni naprzód, i kilka dni potem, a nawet wspomnieć można w pamiętnikach. Oprócz familii i koligatów proszone były i osoby, należące do warszawskiego towarzystwa dlatego tylko, że de facto do niego należą.

— Jeżeli wolą ode mnie takiego Włoska, albo Szydłowskiego, to im winszuję — mruczał Kersten, obrócony do ściany.

W istocie zaproszono Włoska, choć bez żony; pytał nawet rozgłośnie w „Sporcie“, jaką kamizelkę włożyć należy na ślub: białą, czy czarną?... Quel est le mot d'ordre?

Szydłowski nie pytał o kamizelkę, ale narzekał zawczasu, że ciasno będzie u Zbązkiego, i odgrażał się, że tam nie pójdzie. Pójdzie jednak niechybnie.

Te rozmyślania wprawiały Kerstena w najgorszy humor, nie miał bowiem innego zadania, ani zajęcia w życiu, jak pielęgnowanie swej pozycyi i godności. Ponieważ był wybornie wychowany, (przydomek „ortograf“ miał w sobie dużo prawdy, nietylko ironii), ponieważ dobrze strzelał z pistoletu, wyrażał się wytwornie i miał zawsze o wszystkiem coś do powiedzenia — słusznie rościł sobie prawo do poszanowania, do sympatyi, do tej „pozycyi“ towarzyskiej, której dzisiaj poniekąd uchybiono. Było to zapewne tylko zapomnienie?... Nikt nie wątpił, że Kersten jest ozdobą warszawskich salonów.

Tymczasem jednak brak zaproszenia pozostawał dotkliwym faktem.

Ktoś zadzwonił. Kersten, zapominając zupełnie o bólu głowy, zerwał się z łóżka, a nie słysząc otwierania drzwi, włożył szlafrok i pośpieszył do przedpokoju.

Uchylił drzwi wchodowych:

— Kto tam?

— To ja, proszę kolegi... proszę pana barona...

Był to mizerak chudy i źle ubrany, który, pod pozorem jakiegoś dawnego koleżeństwa w jakichś szkołach, wyłudzał czasem od Kerstena rubla, lub stare ubranie.

— Idź pan do dyabła! — rzekł baron, trzasnąwszy drzwiami, ale opamiętał się nawet w tak drażliwych okolicznościach i, uchylając drzwi powtórnie, dodał:

— Proszę mi wybaczyć, jestem dzisiaj bardzo niezdrów.

Poczem zamknął drzwi na dobre.

Nie warto już było nawet spodziewać się: godzina jedenasta biła na zegarze. Już zaproszeni zbierają się do kościoła. Kersten zaczął się ubierać, gdyż czuł, że dłużej w łóżku nie wytrzyma. Służący ponowił pytanie o fraku, ale Kersten obrał już plan postępowania i rzekł stanowczo:

— Nie, istotnie dzisiaj nie mogę się pokazywać... Daj mi ranne ubranie, to w kratki ciemne... spróbuję przejść się po mieście. Jaka pogoda?

Pogoda była właśnie fatalna: śnieżna kaszka z wiatrem.

— Nic nie szkodzi, czuję potrzebę przechadzki.

I po doprowadzeniu swej zewnętrznej postaci do możliwej doskonałości, po ułożeniu wąsów, przyczernieniu faworyzów itd., Kersten zwrócił uwagę służącego, że spodnie źle są prasowane, włożył inne i wyszedł na miasto.

Nie chciał iść na śniadanie do „Sportu“, gdzie zwykle jadał, bo by okazał publicznie swój względnie dobry stan zdrowia i nieobecność na śniadaniu u Zbązkiego. Namyślał się, do jakiejby pójść restauracyi, gdzie go nie znano.

— Gdzie mnie nie znają?...

Przypomniał sobie, że oddawna nie był u Stępkowskiego na placu Teatralnym, ale nie chciał przechodzić przez dzielnice, w których mógłby spotkać dużo znajomych, albo nawet orszak weselny.

Więc obrał drogę przez Graniczną, Żabią, plac Bankowy i Senatorską. Najłatwiej było uskutecznić tajemnie tę wędrówkę w zamkniętej karecie, ale właśnie odesłał był karetę, zamówioną na wszelki wypadek; kazał, aby służący powiedział woźnicy:

— „Pan baron jest niezdrów i nie pojedzie“. Tak powiedz, jak ci mówię.

Jak na złość nie było żadnej porządnej dorożki na poblizkiej stacyi, a Kersten nie siadał nigdy do podejrzanych „jednokonek“ z obawy, jak mawiał, aby nie odziedziczyć czego po uprzednich pasażerach. Zapiął więc wysoko futrzany kołnierz, wsunął laskę pod ramię, a ręce do kieszeni i poszedł ku ulicy Granicznej.

Póki jeszcze szedł Królewską, miał znośne wrażenia. Ale już gmach giełdy zaczął go oburzać:

— To jest giełda miasta, które ma 700.000 mieszkańców! Przerobiona z ujeżdżalni! A te chałaty na schodach! Przypomina to raczej jakąś synagogę wschodnią, niż giełdę paryską, albo berlińską. Dieu de miséricorde!

Drobny, twardy śnieg zacinał go po twarzy. No! taki śnieg pada czasem i w Paryżu...

Ale od ulicy Granicznej czekało pana barona przejście prawie nie do zniesienia. Domy tutaj, brudno-kolorowe pudła, podziurawione oknami, wyrzucały przez czarne paszcze sklepów woń skór, ryb, cebuli, i wystawiały na widownię marne towary, rozsypujące się na ślizkie błoto chodników. Środkiem ulicy ciągnęły długie wozy, ładowne rdza-

wem żelazem, dudniąc, jak fałszywe grzmoty; krzyk odzianych w łachmany woźniców, gwałtowne wykręty mijających się dorożek, szwargot żydów—walczyły o lepsze w tej wrzawie, a na dobitkę silny prąd powietrza, wpadłszy w wązką ulicę, smagał śniegiem, jak biczem.

Kersten założył wyperfumowaną chustkę pod brodę, wcisnął w nią nos i szedł, potrącany przez przechodniów, nie zważając już na swą godność osobistą. Mówił do siebie przez zaciśnięte zęby:

— I ja to mam kochać?! Boże! za czyje winy jam się tutaj urodził?!

Ujrzał przed sobą plac. Czy to plac Bankowy? Nie, to dopiero rynek za Żelazną Bramą, a razem odurzająca woń targu i zgiełk jeszcze większy.

Teraz ulica Żabia do przebycia.

Przyśpieszył kroku, ujął laskę w rękę i przebojem, wściekle, dążył naprzód, aż wydostał się z gardła ciasnych ulic i odetchnął głęboko przy rogu Błękitnego pałacu. Tu jednak, na Senatorskiej, łatwo było spotkać znajomych, ale o godzinie dwunastej wszyscy prawie znajomi zgromadzeni byli na ślubie u Wizytek. Biła właśnie dwunasta na ratuszu.

— Więc oni są tam teraz, a ja z ich winy walam się po tych obmierzłych ulicach! — pomyślał i krew mu zawrzała nienawiścią na przechodniów, na znajomych, na ten kraj cały przeklęty.

Tak doszedł do restauracyi Stępkowskiego, gdzie

go przyjęto jak prostego śmiertelnika, gdyż służba była nowa. Kerstenowi było to dzisiaj po myśli.

Jedząc śniadanie, nie omieszkał głośno i cicho oburzać się na kuchnię krajową, fukał służących, dawał im kwaśne rady co do sposobu gotowania, podawania potraw i urządzenia restauracyi. Te wymówki, zamiast wzbudzić skruchę w sercach, a poprawę w kuchni, wywołały tylko zbiorową uwagę służących po wyjściu gościa:

— A to ci słodki pasażer!

Kersten powrócił do domu karetą, umyślnie sprowadzoną, tak bowiem łatwiej było przejechać niepostrzeżony; gdyby zaś kto go poznał, zamknięty powóz był znowu potwierdzeniem owego bajecznego bólu głowy. Gdy zasiadł już u siebie, poczuł się tak osamotnionym i gorzkim, że z rozpaczy otworzył nową polską powieść, o której dużo mówiono. Wziął tę książkę od znajomego, aby raz jeszcze przekonać się, że u nas nic porządnego nie piszą. Z tem uprzedzeniem nicował już od paru godzin biednego autora, już nawet mimowolnie zaczął się zajmować treścią książki, gdy dzwonek przedpokojowy oderwał go od czytania. Posłyszał otwieranie drzwi i znajomy głos Szydłowskiego.

Rzucił się natychmiast do sypialni, obwiązał głowę ręcznikiem i wszedł z bolesną twarzą do salonu, gdzie znajdował się już dawny znajomy, nie można rzec: przyjaciel, bo Kersten przyjaciół nie miał, lecz znajomy, spotykany stale, bez przy-

jemności, bez celu, na zwykłych drogach wyższego towarzystwa, od lat przynajmniej dwudziestu.

— Pozwolisz, że tu usiądę? — rzekł Kersten, zajmując miejsce na kanapie za stołem i opierając głowę na poduszkach.

— A siadaj sobie, gdzie chcesz. — Cóż to? migrena?

Zaledwie zamienili parę słów, nowy dzwonek oznajmił przybycie Hektora Zawiejskiego i Włoska, którzy, zauważywszy nieobecność Kerstena na weselu i w Sporcie, przychodzili zbadać powód. Szczególniej Włosek uważał to sobie za obowiązek.

Wszyscy trzej nowo przybyli mieli na sobie fraki i powracali ze śniadania weselnego. Usiedli przy stole: Szydłowski naprzeciw Kerstena, Włosek naprzeciw Zawiejskiego.

Po ubolewaniach nad migreną i kilku na nią receptach, prędko rozmowa przeszła do wrażeń z przyjęcia u Karola Zbązkiego. Włosek był zachwycony:

— Co za recepcya! Jaki zjazd arystokracyi!

— Phi! — odparł Szydłowski — spędzono dużo ludzi na kupę, zawalono cały pałac stołami i knajpowemi krzesłami... służba najęta.. zwyczajnie jak przy uroczystych obżeraniach się.

— Nie można jednak zaprzeczyć — rzekł zimno Hektor — że uczta miała swój charakter, swą cechę odrębnej elegancyi.

Oparta głowa Kerstena, przewiązana ręcznikiem, wyrażała spokój, potrzebny choremu, a twarz krzy-

wiła się ironicznie. Milczał, lecz zdawał się tłumić w sobie wiele wyższych poglądów, a przedewszystkiem tę uwagę:

— Nie na takich ja już ucztach bywałem...

I ta czwórka ludzi, siedząc na krzyż przy jednym stole, wyglądała jak partya wista. Dwaj młodsi grali przeciwko dwóm starszym.

Włosek rzekł do Szydłowskiego:

— Nie powie pan przynajmniej nic złego o paniach. Co za tualety! jakie brylanty! Same diamants de famille. A pani Kostkowa, czy nie dobrze wyglądała? A ta stara ciotka, Ostykówna?—jak Anna Jagiellonka, parole d'honneur. A między młodemi pani Przemska, pani Hohensteg?... No, a księżniczka Zbarazka? co?

— Halszka zawsze ładna, to nie nowina; tylko nie wiadomo, po co posadzili przy niej tego Reckheima, który skubie ciągle brodę i zaostrza ją dwoma palcami, jakby ją chciał zastosować do swego dowcipu; tymczasem broda ostra, a dowcip tępy.

— Trudno panu dogodzić; Reckheim jest europejską partyą i ja tam go wolę od wielu naszych elegantów. To wszystko jednak nic w porównaniu z mową Zbązkiego. To była mowa!

— Co? przemówiła wyrocznia? Ciekawym jak? — odezwał się Kersten, zapominając o migrenie. Pewno nikt nie zrozumiał, a wszyscy się rozrzewnili.

— Trudno całą powtórzyć, ale to była mowa doniosła, d'un effet monstre.

— No powiedz mi pan — rzekł Szydłowski, krzyżując ręce i jeżąc wąsy wyzywająco—powiedz mi pan choć mniej więcej, co znaczyła ta mowa?

— Co znaczyła? Bardzo wiele. Najprzód, naturalnie, coś o dniu uroczystym, o przeszłości, o domu Kostków...

— Przepraszam cię — przerwał Zawiejski — najprzód scharakteryzował przeszłą epokę, a potem dał program obecnej.

— No właśnie Więc kiedy przeszedł do rad, które dawał niby na drogę młodej parze, powiedział: „My, szermierze już zużyci, zachodzimy w cień“...

— Nie powiedział: „zużyci“, powiedział: „My szermierze już znużeni — poprawił Hektor.

— Owszem. słyszałem wyraźnie: zużyci.

— Nie; ja także uważnie słuchałem.

— No, to mów sobie, kiedy lepiej pamiętasz.

— Powtarzać nie będę, ale pamiętam doskonale.

Teraz partnerowie pokłócili się między sobą.

— Jakże tam dalej, panie Włosek? — pytał Kersten rozbawiony.

— Dalej?... Kiedy więc skończył o przeszłości, zatrzymał się. Pamiętasz, Hektorze? — zatrzymał się.

— No pamiętam.

Tu Włosek powstał, wyciągnął rękę i przybrał postawę mówcy.

— ...i powiedział tak, aż nas ciarki przeszły:

„Ale wara od wskrzeszania form zamarłych, które, rzucone w prąd wypadków koniecznych, roznoszą gangrenę na niedojrzałe jeszcze plony“...

— Ha, ha, ha! — śmiał się Kersten — wybornie, ma pan wielki talent, panie Włosek.

— A co? czy to nie pięknie powiedziane: „Wara!“?

— Zapewne — rzekł Szydłowski. — Są i inne piękne polskie wyrażenia, naprzykład: „Zaiste!“ albo: „proszę siadać!“ Jeżeli jednak chodziło o przestraszenie nas, to lepiej było wyskoczyć raptem z za węgła i huknąć: hu!—wtedyby ktoś się może i zląkł. Ale samo „wara“?...

— Przecie „wara“ stosowało się do całego zdania!

— No, do czego się stosowało? powiedz pan.

— „Wara od wskrzeszania form zamarłych“...

— A co to formy zamarłe?

— To nasza niesforność, nieuległość wobec władzy i moralnych przewodników, nasze stare błędy... Przecie mówił też: „nie słuchaliśmy naszych kapłanów, duchownych i świeckich“...

— Co za kapłani? jakie stare błędy?! Po co to wszystko wyjechało w toaście weselnym? Właśnie, że ani przypiął, ani przyłatał.

— Są jednak rzeczy, z których śmiać się nie można — odrzekł Włosek zgorszony.

— Co tam sprzeczać się o wyrazy — odezwał się Hektor—w całości mowa była programem naszej sfery, testamentem dla młodego pokolenia.

Szydłowski znał oddawna Zawiejskich, a Hektora od dziecka; nazywał go po imieniu i mniej niż komukolwiek oszczędzał mu słów prawdy. Zapytał:

— Jak to rozumiesz?

— Rozumiem, że chodziło mu o nas wszystkich, o nasze hasła, o nasze istnienie...

— To jest niby czyje? Zbązkich i Kostków, czy twoje?

— Stawia pan zawsze kwestyę dziwacznie — żżymnął się Hektor — nie mówię o osobach, tylko o sferze.

— A ba!

Szydłowski porozumiał się przez ten wykrzyknik z rogatą duszą, którą nosił w sobie.

XIV.

Po ślubie siostrzenicy, pan Karol Zbązki wyjechał do Petersburga, a z nim razem i trzej delegowani po koncesyę na budowę dróg bitych. Karol Wielki nietylko pochwalił zasadniczo zamiar, ale osobiście objął dowództwo wyprawy; wróżono sobie stąd pomyślność, i sprawa zyskała jeszcze na powadze.

Zbązki pozostawił swój pałac na wyłączny użytek Zbarazkich. więc sale, dotąd głuche i zamieszkane przez samotnego starca, stały się niebawem ogniskiem ruchu towarzyskiego w wyższych sferach. Księżna Hortensya spędziła tu parę miesięcy i urządzała liczne przyjęcia, choć nie potrzebowała opłacać się towarzystwu, mając na wydaniu taką córkę, jak Halszka. Pragnąc jednak zabawić Halszkę i sama dobrze czas spędzić, dawała wieczory w ściśle dobranem kółku, przyjmowała bliższych znajomych codziennie od czwartej do szóstej, a dla szerszego koła miała dzień przyjęcia we czwartki. Kiedy czasem poszła z córką na wieczór do cudzego domu, lub zjawiła się w teatrze, były to wy-

padki wielkiej wagi, powszechnie komentowane. Szczególniej zaś zaproszenia do Zbarazkich uważano za wyjątkowo zaszczytne; ci, którzy tam bywali, nosili niby honorowe odznaki jakiegoś wysokiego orderu. Order ten rozdawała księżna Hortensya głównie krewnym, bardzo licznym, a także ludziom bogatym i ogładzonym; cnota obywatelska nie grała tu wielkiej roli przy wyborze, ani nawet wyższa kultura. Jeżeli na większych zebraniach spotkać było można jakiego głośnego literata, lub malarza, kogoś z nazwiskiem nowem, a dobrze zasłużonem, było to poprostu oznaką że bal jest większy tym razem, nie zaś przyswojeniem nowego członka towarzystwa. Ulubioną formą towarzyską było dla księżnej ścisłe kółko, złożone z ludzi, których układ, nawyknienia i pojęcia przypadały jej do smaku. W tem kółku panowała atmosfera przyjazna i swobodna, bo nietylko Halszka, ale i księżna Zbarazka nie lubiła się nudzić. Jednak na czwartkowych przyjęciach, i wobec mało znajomych osób, księżna umiała przybierać ton grzecznie urzędowy, uprawiała tę sztukę konfundowania bierniejszych umysłów, która określa stosunki między ludźmi różnych sfer. Dla tej „idei“ poświęcała często nawet osobistą przyjemność. Szydłowski, przyjaciel księcia Janusza, dużo prostszego od żony, tak formułował w swem rubasznem narzeczu towarzyskie wymagania księżnej:

— Chciałoby się Hortensyi jagódek, lecz księżna nie z byle kim może pójść do lasu.

Księżna Zbarazka miała też więcej przyjaciół swej pozycyi, niż szczerych i własnych. Do tych ostatnich należał naprzykład Kersten.

Pewnej środy po południu, w połowie marca, w mniejszym salonie pałacu siedziała księżna z kilku znajomymi. Był Kersten, był Reckheim, była hrabina Gnińska z córkami i paru dobrze ubranych młodzieńców, tancerzy Halszki z minionych balów, obecnie dyskretnych aspirantów do możliwości starania się o księżniczkę, wśród spokojniejszych uciech wielkiego postu, na rautach i wizytach Amon wałęsał się po salonie, jak artystyczny lunatyk. Gdy rozmowa cichła, on siadał do fortepianu i uderzał w klawisze: czasem co zagrał, czasem rzępolił tylko zcicha, strzelając oczyma po suficie; nikomu nie przeszkadzał i nikt na niego nie zwracał uwagi. Halszka nalewała gościom herbatę; na stole były ciastka i postne „tartynki“. Z powodu tych ostatnich wszczęto właśnie rozmowę o poście co do ilości i co do jakości.

Księżna Hortensya była zdania, że właściwie nie wolno w wielkim poście przyjmować pokarmów niepłynnych między śniadaniem a obiadem (entre deux repas), ale uspakajała obecnych tem, że ma dyspensę dla całego swego domu i dla swoich gości.

Hrabina Gnińska zapewniała, że ostatnie instrukcye z Rzymu rozluźniły bardzo formę postów, i przytaczała na poparcie zdanie znanego ze świątobliwości księdza.

Hrabia Reckheim, chociaż protestant, miał wielu krewnych katolików, więc był także obeznany z tą kwestyą: skłaniał się bardziej do zdania księżnej Hortensyi, starając się przytem odgadnąć pogląd Halszki, – ale ta nie dawała znaku żadnego osobistego poglądu w tym względzie.

Baron Kersten przeciąłby zapewne dyskusyę swoją nieomylnością, gdyby do salonu nie wszedł nowy gość i nie zasiał ogólnego milczenia.

Był to Jan Dołęga.

Zbliżył się do księżnej, jako dobry znajomy z Waru, i pocałował ją w rękę; potem, ponieważ w salonie nikogo nie było z mężczyzn domowych, poprosił, aby go księżna zechciała przedstawić paniom Gnińskim. Następnie, widząc, że zwraca na siebie uwagę i czując chłód naokoło siebie, rzekł:

— Andrzej mi powiedział, że księżna przyjmuje po południu i służba mi to potwierdziła, gdym się oznajmił, – więc pozwoliłem sobie wejść, aby podziękować raz jeszcze za łaskawą gościnność, której doznałem w Warze.

— A tak — skinęła głową księżna — wspominamy pana.

Halszka, wskazując Janowi krzesło przy sobie, rzekła wesoło:

— Dam panu herbaty.

Dołęga przywitał Kerstena i zapoznał się z Reckheimem.

Z powodu obecności cudzoziemca rozmowa toczyła się wyłącznie po francusku. Jan znał dobrze

ten język, ale nie miał go w codziennem użyciu, mówił zatem powoli i z akcentem nie zupełnie poprawnym Zwracało to nieprzyjemnie uwagę towarzystwa, podczas gdy go nie raziła dużo gorsza niemiecka wymowa Reckheima.

— Czy pan dużo pracuje? — spytała księżna Hortensya.

Jan odpowiedział krótko i na tem skończyła się jego rozmowa z panią domu, która zajęła się znowu swymi dostojniejszymi gośćmi.

Wtedy Halszka odezwała się do Jana po polsku:

— Od czasu, jak jestem w Warszawie, widzę pana dopiero czwarty raz.

Zaczęła liczyć na palcach, uśmiechnięta.

— Na ślubie Jurka... na tym balu... raz u papy...

— Wtedy ja pani nie widziałem.

— Ale ja pana widziałam — to trzy. A dzisiaj czwarty raz — to wszystko.

— Ja panią za to widziałem dwa razy w teatrze.

— A dlaczego pan nie przyszedł do loży? Dlaczego pan jest pierwszy raz u mamy? Czy pan jest dziki w Warszawie?

— Nie, pani, ale pracuję i nie mieszam się do ruchu towarzyskiego, bo to zabiera wiele czasu, pociąga za sobą obowiązki, którym nie mógłbym nastarczyć... Cieszę się niezmiernie, że mam sposobność podziękowania pani, nie mogłem wtedy na balu.

— Za co mi pan dziękuje?

— Andrzej mi mówił, że w Warze przyczyniła się pani głównie do namówienia ojca na tę podróż. Nawet wspominał o taktyce: „jeżeli papa pojedzie... kiedy papa tam będzie... papa musi jechać“.

— Ha, ha! ten Jędrek! Wszystko widział, a nic mi nie mówił. Ale dobrze zrobiłam? Prawda? Pan mi mówił, że to dobra i potrzebna rzecz.

Dołęga odpowiedział cichym, gorącym głosem:

— Nie tyle jeszcze dziękuję, bo nie biorę tego dla siebie, ile winszuję serdecznie. Postąpiła pani ślicznie i mądrze, jak prawdziwa obywatelka, jak prawdziwa księżniczka Zbarazka.

Halszka zarumieniła się z zadowolenia.

Tymczasem uboczna ta rozmowa zwracała już uwagę; szczególniej Reckheim rzucał ciekawem okiem w stronę Dołęgi. Wszyscy zdali już sobie sprawę, że pomiędzy księżniczką a tym jasnowłosym, tęgim chłopcem istnieje jakaś sympatya, ale udawali obojętność i ciągnęli dalej senne rozmowy. Dopiero gdy księżna Hortensya zawołała ze szczególną intonacyą:

— Halszko, nie mamy herbaty!

Zrozumieli wszyscy, nawet Halszka i Dołęga, że przedłużenie tej pogadanki choćby o chwilę byłoby skrajną nieprzyzwoitością.

Jan powstał, zbliżył się do księżnej, aby się pożegnać. Otrzymał białą, nieruchomą rękę do pocałowania i proste dwa słowa:

— Żegnam pana.

Skłonił się dość hardo reszcie towarzystwa,

z Halszką zaś pożegnał się na ostatku, bo ta odsunęła się pod jakimś pozorem od grona gości. Podając rękę Janowi, rzuciła oczyma w stronę matki i otworzyła usta, jakby miała jeszcze coś pilnego, coś najważniejszego do powiedzenia. Ale było to zupełnem niepodobieństwem pośród milczenia, otaczającego wyjście Dołęgi. Błysnęła więc tylko ku niemu nawpół rozpaczliwym uśmiechem i ścisnęła mu rękę wymownie. Jeżeli jest domyślny, zrozumie.

Skoro drzwi zamknęły się za wychodzącym, Kersten rzekł, oddychając głęboko:

— Aaa! Jest jakaś ulga w powietrzu...

I zaśmiał się sam ze swego dowcipu.

— Jak się nazywa ten pan? Kto to taki?—pytał grzecznie Reckheim księżnej.

— To jest pan Dołęga... Do-len-ga... Trudne są czasem polskie nazwiska. Bardzo dobry inżynier, pracował u nas w Warze.

Halszka, zaciąwszy usta, patrzyła nienawistnie na Kerstena i mełła między ząbkami straszne groźby:

— Ja ci tu dam, stary ośle...

Gdy się goście rozeszli po szóstej, księżna Hortensya zawołała starszego służącego.

— Dlaczego Dominik wpuścił pana Dołęgę bez anosnowania?

— A nie wiedziałem, proszę księżnej pani — przychodzi we środę, pyta, czy księżna pani w domu...

myślałem, że, tak jak w Warze, pan Dołęga jest na codzień...

— Niechże Dominik odtąd wszystkich anonsuje, oprócz we czwartki.

— Słucham księżnej pani.

XV.

Dołęga wychodził od Zbarazkich z podwójnem wrażeniem: przyjęcie ogólne owiało go chłodem, a uśmiech Halszki zostawił mu jakiś ciepły dreszcz w piersi. Pierwszy to raz rozmawiał z nią naprawdę od wyjazdu z Waru, spotkał ją przelotnie zaledwie parę razy.

— Nadzwyczajny ma wdzięk ta panna... A jednak ona jest z nich i z nimi pozostanie — inaczej być nie może. Jej szlachetne porywy — to młodość; później sama będzie z nich drwiła pod wpływem swej atmosfery, tak jak drwi z nich już Andrzej, który także jest przecie z gruntu szlachetny... Ale siostra ma więcej charakteru, dużo więcej od brata. Niema co mówić, ta panna—to serce Zbarazkich. Ha! Gdyby ją kto wyprowadził z jej świata?...

Na myśl o prawdopodobnem małżeństwie Halszki krew w nim zawrzała, a gdy stwierdził, o czem myśli, uderzył się w czoło i zaczął szydzić sam z siebie:

— Co? Możeby się o nią starać?... Myśl prak-

tyczna! Ponieważ księżna nie wydaje mi się zachęcającą, starać się o córkę będzie trudno. Ha, ha! Za wysokie progi, panie Dołęgo!... Otóż właśnie za nizkie, a raczej szkoda, że się ta Halszka za innemi progami nie znajduje, bo jednak — to jest towarzyszka!

Aby sprawdzić swe spostrzeżenia, próbował je krytykować odwrotnie: Halszka dlatego idealna, że mu się podoba i że się zapaliła przypadkiem do dobrej sprawy, jak się zapala do tennisa, do konnej jazdy. Jej otoczenie dlatego nic nie warte, że księżna kwaśna, a książę trochę leniwy. Poczekajmy, może ci ludzie umieją działać i używać potęgi swego bogactwa, uroku swego nazwiska, subtelności, którą wyrabia długa, dziedziczna kultura?

Z tych rozmyślań wypadło, że trzeba być cierpliwym i oczekiwać, aż zabiegi w Petersburgu dadzą jakiś wynik, aż działanie przybierze charakter określony.

Tymczasem brakło zupełnie wiadomości z Petersburga o stanie sprawy, która zaprowadziła tam trzech delegatów pod przewodnictwem Zbązkiego. Mówiono, że w Petersburgu panują jeszcze mrozy, podczas gdy u nas zaczęły się już wiosenne roztopy; mówiono, że tam karnawał był świetny i długi, że będą zmiany w ministeryach, że przymierze z Francyą się utrwala; przychodziły codzień różne wiadomości, — tylko o sprawie koncesyi na drogi bite głucho było w druku i w powieści. Dołęga czekał, a chociaż życie, pełne obowiązkowych

zajęć, nie zostawiało mu wiele czasu na marzenia, czuł z nadchodzącą wiosną przypływ jakiegoś optymizmu, wzrost pragnień i ambicyi. Obecność Halszki w Warszawie miała w tych pragnieniach duży, choć nieprzyznany udział. Pod wpływem uwag Andrzeja, począł się trochę mieszać do ruchu towarzyskiego i obcować z ludźmi, na których liczył w przyszłości; doraźnym z tego pożytkiem była sposobność spotkania Halszki, naprzykład u Gnińskich.

Gnińscy, mając na wydaniu dwie córki, nie odznaczające się ani posagiem, ani pięknością, dużo mniej wybredni byli od Zbarazkich w zaproszeniach, zwłaszcza młodzieży męskiej. Dołęga ze swą powierzchownością przyjemną, z dobrem szlacheckiem nazwiskiem, z reputacyą człowieka pracującego owocnie, był bardzo możliwym kandydatem na zięcia; to też Gnińscy dobrze go przyjęli, szczególniej ojciec, uprzejmy z natury, równie jak z wyrachowania. Hrabina i obie jej córki należały do rzędu istot, niezadowolonych ze swego udziału piękności i znaczenia w świecie; uprzejme z potrzeby, nieco zazdrośne z okoliczności, lubiły utyskiwać nad naszemi czasami, w których pozory zewnętrzne i pieniądze tak wielką grają rolę. Cała rodzina utrzymywała się jednak na poziomie wysokich sfer z powodu historycznego nazwiska i świetnych koligacyi. Ta dążność do równouprawnienia ze Zbarazkimi, lub Kostkami, przyczyniała Gnińskim trochę kłopotów pieniężnych i trochę kwasów we-

wnętrznych, ale reprezentacya domu na zewnątrz była pokaźna.

Dołęga nie miał wcale zamiaru starać się o jedną z panien; do tego domu zaprowadziła go najprzód pewna sympatya dla hrabiego Gnińskiego, który odznaczał się ruchliwością społeczną, znał różne sprawy publiczne, a w niektórych był czynny. W jego salonie mógł też Jan spotkać Halszkę. I rzeczywiście ujrzał ją na wieczorze u Gnińskich.

Otaczały ją hołdy mężczyzn i uśmiechy kobiet. W tych warunkach Halszka przybierała inny pozór, może jeszcze piękniejszy, ale mniej poczciwy. Oczy jej błyszczały tryumfalnie, nagradzały, albo karciły wymownie; dla Jana, choć były zawsze łaskawe, jednak roztargnione jakiemś obcem zadowoleniem. O ile w spokojnych rozmowach, zbyt rzadkich, Jan czuł w Halszce istotę sprzymierzoną, pochopną do zwierzeń, do kochania rzeczy pięknych, o tyle trwożyła go postać Halszki rozbawionej.

— W tej gorączce zabawy jest jakiś pierwiastek zakaźny...

Jak wówczas na wizycie u jej matki, widział ją i teraz otoczoną przez wytworną młodzież, która łasiła się do jej względów; pochlebstwa, uśmiechy poddańcze spotykała ciągle około siebie, a w gronie dworzan jeden wyglądał na wielkiego szambelana: hrabia Reckheim, poważniejszy od innych, bardziej pewny siebie, trzymał się jej ostentacyjnie; gładząc jasną brodę, patrzył uparcie w oczy księżniczki, gotów na rozkazy. Ona zaś traktowała

go specyalnie: jakby chcąc dać poznać, że jej nie imponuje ani jego medyatyzowana rodzina, ani pozycya w dyplomacyi, przemawiała do niego drwiąco. mniej grzecznie, niż do innych; dawała mu jednak ciągłe zlecenia, niby uznając jego tytuł oficyalnego konkurenta.

Dołęga nie miał talentu ani do salonowych pochlebstw, ani do lekkiej, żartobliwej rozmowy, więc i na tym wieczorze nie czuł się swobodnym, i mało rozmawiał z Halszką. W dalszych pokojach, gdzie mężczyźni palili papierosy, natrafił za to na wiadomości, blizko go obchodzące. Jak wszędzie, tak i tam, krzątał się gospodarz domu, zajmując się prawie każdym po kolei ze swych gości. Zwrócił się do Dołęgi:

— Może cygaro?... Jakże stoi nasza sprawa szos?

— Nic nowego nie słyszałem oddawna.

— Ci panowie nie pisali?

— W każdym razie nie do mnie.

— Zbązki ich zaprowadzi wszędzie, gdzie potrzeba — rzekł Gniński — a stosunki z grafem Zellerem dokonają reszty.

— A więc udali się do Zellera?

— Jakto? I tego pan nie wie? — dziwił się Gniński. — Cieszę się zatem, że mogę pana poinformować. Mam bezpośrednie wiadomości, że rozszerzyli pierwotny projekt, że starają się w paru ministeryach. Zajmie im to jeszcze dużo czasu, a potem graf Zeller ma osobiście zjechać do Waru.

— Zeller do Waru?...

— Tak, tak. Dużo sobie obiecują po tej wizycie: nie tylko koncesyi, ale i załatwienia wielu spraw naszych. No, zobaczymy.

Gniński przeszedł do innych swych gości, zostawiając Dołęgę zamyślonego. Jan obejrzał się dokoła, szukając wrażenia wieści, ogłoszonej przez Gnińskiego. Grono mężczyzn żywo o czemś rozprawiało; gdy się Jan przysłuchał, stwierdził, że chodziło tym panom o proces Dreyfusa. Powrócił więc do salonu, gdyż czuł wstręt do polityki zagranicznej, zwłaszcza opartej na depeszach gazet, i dziwił się, jak mogą rozprawiać godzinami o sprawach francuskich ci sami, dla których każda wewnętrzna sprawa krajowa jest tak zwaną „piłą“.

W parę dni po tym wieczorze Dołęga otrzymał drukowaną kartę z zaproszeniem na niedzielę do Zbarazkich, ostatnią przed Wielkąnocą. Domyślił się, że zawdzięcza ten zaszczyt protekcyi młodego pokolenia: Andrzeja, może Halszki?...

XVI.

Już po skwerach warszawskich krzaki bzów wypuściły pierwsze listki i kasztany roztwierały swe lepkie pąki, już świeża zieloność trawy ogłaszała wiosnę i promienie kwietniowego słońca, odbite od murów, prażyły rozkosznie w kark i w głowę miejskiego mieszkańca, który, zdjąwszy kapelusz, szedł wolno ulicą, rozpromieniony, udając, że mu za gorąco.

W Łazienkach wyższe konary drzew, jeszcze czarne, rysowały się jednak wiosennie na przezroczystym błękicie, a niżej czeremchy już się przesłoniły zieloną gazą, i łozina ubrała się w świeże szare kiście, i coraz gęstsza zieloność spadała na krzaki, okalające klomby, aż rozpływała się szeroką powodzią na trawniki, gdzie w mokrych cieniach mnożyły się błękitne plamki sasanek, białe pierwiosnki i żółte płomyki kaczyńców.

Andrzej i Marynia szli wilgotną dróżką w pobliżu Pomarańczarni i rozmawiali o febrze.

— O, widzi pan — mówiła Marynia — siedzi tam w głębi klombu, na czarnej ziemi i czyha na

nas; siedzi i tu, pod kwiatami — i wieje do nas z całej łąki... tak przyjemnie! Czuje pan?

— Czuję tylko mnóstwo zapachów i rozróżniam z nich wiele; czuję nawet zapach sukni pani.

— Ale febrę? tę niezdrową, tę nieprzyjazną, o której mówi pani Wadowska?... Ach, trzeba do niej wracać, bo ona się doprawdy zaziębi na tej ławce.

— Jeszcze trochę, jeszcze chwilkę, moja Maryniu!

— Panie Andrzeju, proszę mnie tak nie nazywać...

Andrzej wziął ją za rękę i, pochylony ku niej, szedł obok, mówiąc:

— Przecie to pani nie ubliża, że jej daję najsłodsze, jakie znam, imię?

Marynia szła ze spuszczonemi oczyma, słuchając tej muzyki.

— Niech przecie raz będzie wolno, kiedy jesteśmy sami, otrząść się z tej konwencyi, z form, które mnie dławią. Gdyby nie te więzy, dawnobym już podążył do moich pragnień, do mojego własnego szczęścia.

Marynia teraz rzeczywiście drżała jak w febrze, zważając do czego zmierzała mowa Andrzeja. Ale Zbarazki puścił rękę dziewczęcia i ciągnął dalej, smutniej:

— Tak mi obrzydło moje koło zajęć, czyli system mojego lenistwa! Muszę to wszystko przeła-

mać—i przełamię—a wtedy przyjdę do pani i powiem ci to, Maryniu...

— Czy tak będzie?—spytała, podnosząc na Andrzeja oczy badawcze, ale słodkie i zaufane.

— Musi tak być — rzekł Zbarazki, całując obie ręce dziewczęcia bezbronne, drżące.

Był już wielki czas wracać do zostawionej opodal nauczycielki. Poczciwa pani Wadowska, oszołomiona przez urok i wytworną delikatność Andrzeja, dała się namówić do wspólnictwa tej niebezpiecznej wycieczki. Chodzić piechotą do Łazienek z Marynią—było zwyczajem, ale spotkawszy, niby przypadkiem, Zbarazkiego, pozwolić na samotną przechadzkę dwojga młodych — to już było zupełnie świadomą ślepotą — i biedna, uczciwa kobieta, pierwszy raz w życiu grając tę rolę, przechodziła na swej ławce przez najdramatyczniejsze wyrzuty sumienia. Żeby wyratować swą powagę, próbowała upominać powracającą Marynię, ale ta rzuciła się jej na szyję:

— Moja pani Zofio! przepraszam! już będziemy chodzili razem.

Andrzej ukłonił się nizko:

— Moja wina; poddaję się odtąd pod absolutny rygor i rozkazy pani.

Chwyciła ich nagle dziecinna wesołość.

— Czy pan umie kosić trawę? — spytała Marynia.

— Umiem wybornie.

— To niech pan nakosi kaczyńców.

— Ale czem?

— Tą laską.

Andrzej miał laskę z zakrzywioną rączką. Odrzucił w tył kapelusz, zakasał niby rękawy, stanął do kosy i machnąwszy kilka razy, ściął czubki trawy i trochę kaczyńców.

— Teraz będzie zbiór! — zawołała Marynia.

Przyklękła i z użętych kwiatów i ziela zrobiła maleńki stożek. Andrzej rzucił się do pomocy i znaleźli się obok siebie na klęczkach. Ona zanosiła się od śmiechu, a on patrzył wesoło na jej śliczne zęby, odsłonięte dziąsła i skórę tak delikatną, że krew pod nią krążyła prawie widocznie.

— Ależ moi państwo! — zwracała uwagę pani Wadowska.

— Zaraz, zaraz — teraz będzie podział — ma pan! — zawołała Marynia i cisnęła całym snopkiem na Andrzeja, który znowu odrzucił na nią, tak, że powstali oboje okryci zielenią.

— Doprawdy dosyć już tego, Maryniu! — rzekła nauczycielka — możemy kogo spotkać.

Zbarazki wybrał dwa kaczyńce i ofiarował po jednym obu paniom; więc Marynia podała mu także kwiatek i tak szli udekorowani złotemi gwiazdkami.

— Będzie to order Łazienek — rzekła Marynia.

Gdy się zbliżali do szerokiej drogi kołowej, ujrzeli powóz szybko jadący, a w nim strojną kobietę. Andrzej rzucił okiem i obrócił się w przeciwną stronę, mówiąc:

— Możebyśmy wrócili pod Pomarańczarnię?

— Nie, już niepodobna — protestowała pani Wadowska — trzeba koniecznie wracać do domu.

— W takim razie muszę pożegnać panie.

Marynia spojrzała niespokojnie na Andrzeja i na oddalający się powóz.

— Czy to pana znajoma?

— Nie poznałem zdaleka, ale może być. Lepiej na wielkich drogach nie pokazywać się razem. Pani Wadowska zapewne jest tego zdania?

— Tak, tak, do widzenia księciu.

Zbarazki pożegnał się ze szczerem westchnieniem i poszedł najkrótszą drogą ku Belwederowi, podczas gdy panie dążyły ku mostowi Sobieskiego. Wydłużał krok i zmykał bocznemi uliczkami, jak leśny kłusownik, gdy dostrzeże gajowego, poznał bowiem w przejeżdżającym powozie panią Hohensteg.

— Albo to mój pech — myślał — albo, co gorsza, jej węch... Bylem dopadł do mojej dorożki pod Belwederem, pojadę przez Bagatelę i dalej naokoło...

Tymczasem jednak wspominał Marynię, jej śliczne oczy, jej obiecujące usta, a nawet uczuwał w sobie zupełnie nowe porywy do walki o tę kobietę, do bronienia jej, do złamania przesądów swojej sfery.

— Śliczne i dobre dziecko... a jakie wytworne, jakie słodkie i wdzięczne! Wszystko z niej zrobić można, nawet wielką panią... Żeby nie ten ojciec tylko... Wolałbym doprawdy, żeby jej matka miała

tę córkę z kim innym... Ale to tylko wyobraźnia— przecie stary Helle jest niepospolitym człowiekiem. Brr!... ojciec!... A gdyby poczekać, aż Marynia wyjdzie za mąż, za przyzwoitego niedołęgę?... Nie — świństwo.

Potem myślał, że zabrnął daleko i pytał się sumienia, czy się nie zobowiązał. Sumienie odpowiedziało potwierdzająco. Nareszcie począł sam sobie przyglądać się:

— Gdyby mnie tak kto podsłuchał i podpatrzył na tej sielance? ktoś ze Sportu? A jednak nie udawałem, nie kłamałem... Dziwna dziewczyna... Coby to jednak było, gdybym oznajmił rodzicom, że się żenię z panną Helle? Bo co do samej zasady szanowania swej krwi, cóż to za zasada? Zbarazcy urodzeni z Hellównej mogą być bardzo piękni, ogromnie bogaci, a w kursie społecznym pozostaną tem samem czem są. Nie jest to żadna moralna hańba, nawet nie fizyologiczna—ta panna jest nadzwyczaj rasowa. Więc to tylko hańba konwencyonalna. Ale to właśnie! Znosić ciągle wyrzuty wszystkich swoich i czuć. że są niesłuszne—i milczeć. Na to trzeba mieć dużo siły...

Dochodził do Belwederu i siadał już do swej dorożki, gdy powóz pani Hohensteg zatrzymał się tuż obok.

— O tej zapomniałem! — pomyślał Andrzej z rozpaczą, i zbliżył się, uśmiechnięty, do stopnia powozu pani Izy.

— Brawo, mój chłopcze! — rzekła pani Iza po

francusku — urządziłeś sobie wiosenne uczucie, idyllę, mieszczański poemacik. O masz jeszcze kwiatek w butonierce, skromny polny kwiatek — daj mi go.

— Służę ci — odpowiedział Andrzej, oddając bez wahania kaczyniec Maryni — widzisz, do jakich ja dla ciebie zdolny jestem poświęceń.

— Fe! jakiś lepki chwast! nie chcę go. Czy to kwiat z dziewiczego wianka panny Helle?

— Nie — z łąki. Szkoda, że nie wysiadłaś tam na dole. Pyszne powietrze.

— Jakto? miałam wysiąść i przerwać wasze rozczulenia?

— Naturalnie! Rozczulałbym się znowu z tobą, pożegnawszy pannę Helle. Gdy się spotyka znajomą w ogrodzie, zwykle się do niej choć kilka słów przemawia. Chyba żebyś nie chciała ze mną gadać?

— Przecież mówię z tobą.

— To mnie właśnie pociesza; inaczej myślałbym, że się na mnie gniewasz, coby mnie serdecznie bolało.

Pani Hohensteg spojrzała z niedowierzaniem na uśmiechniętą zupełnie spokojną twarz Zbarazkiego.

— Mój drogi! nie oszukujmy się wzajemnie.

— Czy mnie oszukujesz? — zawołał Andrzej patetycznie.

— Porzuć tę retorykę! — rzekła niecierpliwie pani Iza. — Mówmy poprostu. Romansujesz z tą małą?

— Właśnie dzisiaj zacząłem.

— Albo od paru miesięcy; przecie wszyscy wiedzą, że siedzisz ciągle u tych Hellów.

— Skoro się podjąłem poselstwa do Hellego w pewnej sprawie i mam z nim interesy, trudno, żebym u niego nie bywał. Wolałbym wołać go do siebie, ale by nie przyszedł.

— Masz tobie! teraz on prowadzi interesy! To właśnie podobne do ciebie.

— Ha, skoro nie podobne, to musi być inaczej, na rozkazy pani hrabiny.

— Andrzeju! nie drwij ze mnie!

— Kochana Izo! pierwszy raz spostrzegam, że chcesz być nudna. Ale ci się to nie udaje. Jesteś zawsze najpiękniejsza i najmilsza z kobiet. Dokąd teraz jedziesz?

— Do siebie. Przyjdź do mnie na herbatę.

— Z największą przyjemnością.

— Więc za pół godziny?

— Za pół godziny. Do widzenia, Izo.

Gdy już powóz oddalił się ku miastu, Andrzej rzekł przez zęby:

— Żeby cię wszyscy dyabli!

XVII.

Wesołe bóstwa przyrody mają swą porę taneczną na wiosnę. Oto właśnie na mokrej łące, gdzie rzeczka płynie przez lilie wodne i tataraki, pod bukietami kapiącej rosą olszyny, zawiodły Mgiełki o świcie swój korowód powolny, słaniający się nizko nad łąką. Gdy potrąci tancerka o wychylony z wody łeb Wodnika, słychać mruczenie rozkoszne pośród rzeczki; wypluśnie czasem który, otworzy objęcia mszyste jak konary, zaśmieje się szerokim, żabim pyskiem i złowić usiłuje Powiewną. Ale Mgiełka ślizga mu się w objęciu i podąża, płynna, za tańczącemi siostrami.

Idzie taniec mglisty aż do wyższego lasu jednak nie wchodzi do wnętrza, zawraca, bo tam inna dziedzina: tam hukają leśne bóstwa, udając pytania kukułki, śmiechy synogarlic i poświsty drozdów. Kozieł sarni, idący ostrożnie przez las do rzeczki, przeląkł się gwarów, rzucił się w bok i stanął na pagórku wśród świeżej, majowej pszenicy. Podniósł głowę na wschód, a w łzawem oku odbił mu się pierwszy różowy promień.

Idzie już, idzie! — poszły silniejsze wołania po lesie, a powiewne szaty Mgiełek zakrzątały się szybciej po łące, aby zarządzić na spotkanie Różanopalcej swe chóry żab pod kierunkiem takt bijących derkaczów. Na polu maleńkie bóstwa, mieszkające w kolankach pszenicy, rozbudziły skowronki.

I weszła wiecznie młoda Jutrzenka, witana przez wszystkie bóstwa wesołe, uśmiechnięta do świata, niepomna twardego panowania nowobogów.

A jednak przez ten kraj szeroki i rozweselony porankiem ciągnął się prosty, żółty nasyp, po którym ziejący żarem Wulkan II zwykł prowadzić swe grzmiące wozy. Właśnie z ogniska Jutrzenki wykwitł ciemny, buchający obłok i splamił brudnym fioletem różaną szatę bogini. Zbliżała się lokomotywa, potwornie dysząc i prując niemiłosiernie żelazną piersią korowód Mgiełek. Łoskot rwanych naprzód łańcuchów, głuchy stuk drewnianych wagonów, jęk szyn, napełniły powietrze groźną atmosferą rozpędzonego pociągu.

Przeleciał. Dwie pierzchające boginki miały czas zajrzeć do okna wagonu i uśmiechnąć się do dwóch patrzących przez to okno młodych twarzy.

W pociągu tym znajdowała się cała rodzina Zbarazkich. Wracali wszyscy na wieś razem z panną Temirą Ostykówną, która miała zwyczaj przepędzać lato w Warze. Z powodu ilości państwa i służby najęto wagon salonowy i rozlokowano się w nim na noc wygodnie.

Skoro świt, Halszka zerwała się ze swej kanapy. Ujrzawszy śliczny świat przez uchyloną firankę, wyniosła się cicho z głównego przedziału i poszła obudzić Andrzeja, który spał osobno. Wkrótce siedzieli oboje przy oknie z zapuchniętemi jeszcze od snu oczyma, ale radośnie, majowo usposobieni.

— Patrz, patrz, Jędrek, jak tu ładnie! — zawołała Halszka, pokazując rzeczkę wśród olszyny; zaczęła hustać się na kanapie i aż pokrzykiwać z radości.

Nie wiedziała, że właśnie wtedy zajrzały do okna uciekające dwie boginki źródeł.

— Jaka ja głodna!...

— Wiesz co, że ja także — odpowiedział Andrzej.

— Przyniosę kosz z prowiantami... Tylko właśnie wpakowali go w siatkę nad łóżkiem mamy. Zaczekaj — przyniosę.

Wkradła się cicho do salonu, gdzie w półcieniu spoczywało parę niepozornych postaci, wdrapała się zręcznie i z wielkim wysiłkiem wyważyła kosz z siatki. Potem poszła do Andrzeja ze swą zdobyczą.

— Jaka bestya ciężka! — buch!

Przewróciwszy cały wewnętrzny układ kosza, wynaleźli kurę pieczoną i poczęli ją rozdzierać palcami i zębami. Halszka przerwała jedzenie i, oglądając lśniące od tłuszczu swe łapki, rzekła:

— Podróżujemy jak młode małżeństwo. Czy

tak się zachowuje młode małżeństwo w wagonie? No — i ty tego nie możesz wiedzieć.

— Aha, prawda!—rzekł Andrzej, nie odpowiadając na pytanie — mam do ciebie interes. Kokietujesz Reckheima, a potem jesteś dla niego niegrzeczna.

— A daj mi z nim pokój.

— Poczekaj — mówię, że mam interes, o którym bym nawet zapomniał. Był u mnie przedwczoraj Reckheim, i skarżył się na ciebie.

— Jak on śmie?!

— Halutka! cicho siedzieć! — Źle mówię, że się skarżył; owszem prosił o wytłómaczenie. Najprzód miał długą przemowę o twoich wielkich zaletach, przy której ja siedziałem, jak głupi...

— Dlaczego? mogłeś mnie także chwalić.

— No dobrze... ale potem zaczął mi opowiadać o jakiejś scenie na przyjęciu u Kostków, na tem ostatniem. Cóżeś ty mu tam powiedziała?

— Nic mu nadzwyczajnego nie powiedziałam.

— On mówi, że nie zrozumiał, boś się zwróciła do Zosi Kostkównej po polsku.

Halszka parsknęła nagle śmiechem:

— Aha, już wiem!

— Więc ponieważ nie zrozumiał — ciągnął Andrzej — zapytuje, jak to ma wziąć, boś mu się wydała gniewną potem.

— A to paradne!—zawołała Halszka, zanosząc się od śmiechu, który już się udzielał Andrzejowi.

— Cóż mu więc powiedziałaś?

— Bo widzisz... zaczął mi gadać, że on już naprawdę kocha Polskę, ale tylko.. dlatego, że ja w niej jestem. Więc odwróciłam się do Zosi i powiedziałam prędko: „świnia Niemiec“.

— Tak powiedziałaś? ha, ha, ha... ale dlaczego?

— Tak sobie... a potem bałam się, że usłyszał i zrozumiał, więc zrobiłam minę poważną i nie chciałam już z nim gadać.

— Nie zrozumiał widocznie—mówił Andrzej—bo prosił mnie, abym cię przebłagał.

— Przebaczam mu.

— Ale widzisz, moja mała...

— Już raz ci mówiłam, żebyś mnie tak nie nazywał.

— Moja Halutko, nie można tak się zachowywać, kiedy się jest dorosłą panną. Mogłabyś być powodem jakiego zajścia...

— Zajścia?.. No dobrze.—A ty, moralisto, jak się zachowujesz z tą panną Helle?

— Jakto: jak się zachowuję? Znam ją, bywam czasem u jej rodziców.

— Kiedy ona się w tobie kocha.

— Skądże ta wiadomość?

— Wszyscy mówią. Nawet Iza powiedziała mi, że to niedobra dziewczyna. Ja tam nie bardzo wierzę Izie, ale przecież ty się z panną Helle nie ożenisz?

— A dlaczego nie?

— Bo to jakaś Niemka i mieszczanka.

— Nie masz o tem wszystkiem pojęcia, moja

Halszko. Powtarzasz po tej... ekscentrycznej Izie, albo nawet po mamie, która ma dawne idee.

— Ja mam te same. Nie możesz się z nią żenić. Zresztą—wiesz co?.. zróbmy taki układ: ja nie wyjdę za Reckheima, a ty...

— Ładna zamiana! O swego Reckheima dbasz ogromnie — dałaś tego dowody. Ja co innego ci zaproponuję.

— No co? co? mów prędko, co takiego?

Andrzej przeniknął siostrę wzrokiem, pod którym ta się zarumieniła.

— Ja wyrzeknę się panny Helle, a ty kogo innego... nie Reckheima... Ty także dobra sobie jesteś: zawracasz wszystkim głowy, a bratu nie pozwalasz.

Halszka uśmiechnęła się mniej wesoło:

— Nie, wszystkim nie zawróciłam w głowie.

Zaczęła patrzyć przez okno, zerkając z ukosa na brata, którego już gniew wszelki opuścił, a bawił go śliczny profil siostry i główka, wychylona tęsknie ku migającym przy pociągu drzewom. Po kilku spojrzeniach i pół-uśmiechach Halszka doszła do wniosku, że nie potrzebne dalsze porozumienie i zapytała gorąco, ciszej, z niepokojem w oczach:

— A czy on przyjedzie?

— Mówił, że przyjedzie. Musi przecie skończyć roboty w łąkach.

— Teraz ci mówił?

— Nie zupełnie teraz — ale możnaby do niego napisać.

— Mój Jędrku, mój jedyny, napisz!

I rzuciła mu się na szyję tak gwałtownie, że Andrzej spoważniał, zauważywszy w tym uścisku coś więcej niż dziecinną prośbę.

XVIII.

W sypialniach dorastających panien jest coś tkliwego, coś zapowiadającego już zmysłowość i wyzwolenie z lekkiej niewoli, którą jest zawsze wiek dziecięcy, zwłaszcza kobiet. Atmosferę dziecinnego pokoju, zapach perkalu i prostego mydła przenika nieśmiała woń irysu, a nawet miesza się czasem do niej silniejsze pachnidło, zawarte w małej buteleczce, schowanej za lustrem, na gotowalni. Święty obrazek nad wązkiem łóżkiem nie sam już panuje na ścianach; naprzeciwko widać parę krajobrazów, zwykle malowanych akwarelą, najczęściej z Wenecyi; obok sprzętów użytkowych mnożą się fatałaszki zbytkowe i świeckie: saskie figurki, książka w żółtej okładce.

Pokój Maryni miał te cechy niezbędne, ale był trochę ładniejszy i bogatszy od innych. Angielski muślin w wielkie, stylizowane kwiaty dobrze się kojarzył z lakierowanem, blado-zielonem drzewem mebli; okno półotwarte na mały ogródek podwórzowy dawało przystęp świeżości poranka, a całe

wnętrze pachniało pięknym, majowym kwiatem — samą Marynią.

Marynia była trochę leniwa, nie opieszała wcale albo ciężka, ale rozkosznie leniwa w ruchach, w giętkości szyi, w tęsknym uśmiechu oczu; lubiła też marzyć, a zwłaszcza gdy usiadła rano w szlafroczku, przed źwierciadłem.

Marzy i dzisiaj; oczy szkliste jeszcze rosą od przebudzenia, zwraca to na lustro, to na gałęzie ogródka, na których świegocą wróble w migotliwych, zielonych cieniach. Ciepła, rumiana jej twarz śmieje się do poranka.

Zwróciła głowę ku drzwiom, bo zaszeleścił tam krok pokojówki Andzi i ukazał się biały czepek i biały fartuszek. Jedno spojrzenie między dwiema młodemi kobietami wywołało odrazu elektryczność i prędką rozmowę:

— Czy jest co Andziu?

— Jest, proszę panienki.

I pokojówka, wyjąwszy z pod fartuszka list, podała go Maryni, sama zaś wyszła.

Marynia rzuciła okiem na krótki adres, poznała go i, zanim rozdarła kopertę, przycisnęła rękę do piersi, tłumiąc bicie serca; pozostała tak przez chwilę, patrząc radośnie, namiętnie na wróble poza oknem. Otworzyła list, ale ujrzawszy dziwne pismo. naśladujące drukowane litery, pobladła. Sprawdziła jeszcze raz adres na kopercie: wydał jej się tym samym, co zwykle. Zaczęła jednak drżeć od prze-

czucia jakiegoś nieszczęścia i wahała się, czy rozpocząć czytanie.

Przeczytała nareszcie:

„Moja mieszczaneczko! Nie sięgaj po mitrę, której nie dostaniesz. Pilnuj się lepiej, aby nie powiedziano więcej o twych obyczajach, o których już dużo mówią. Panna dobrze wychowana nie urządza schadzek, choćby pozornie niewinnych, i nie odbiera listów od mężczyzn. Życzliwy“.

Zanim jeszcze skończyła czytać te brudne i okrutne słowa, łzy jej popłynęły; nie krzyknęła, tylko, zakrywszy twarz rękoma, długo i cicho szlochała. Następnie, odkrywając biedną twarz, jeszcze raz przez łzy spojrzała na list, wstała i schowała go w szafie, pod bielizną. Usiadła znowu i zaczęła myśleć, oparłszy oba łokcie na kolanach, popłakując jeszcze. Oczy, zwrócone w kąt pokoju, roztwierały się coraz szerzej: wchodziła w nie zaduma nowa, dojrzałość, olśnienie bolesnej prawdy.

Zdawała sobie sprawę już dawniej, że parę spotkań z Andrzejem, kilka zamienionych listów, uczciwych, ale gorących, — są drogą ślizką; ale wiedziała o tem niebezpieczeństwie niby przez sen, opanowana przez świeże, silne uczucie; kochała nawet tę tajemniczość, to pół-porozumienie, bo dodawało poezyi i dramatyczności pospolitej historyi starania się młodzieńca o rękę panny. Ale nigdy zimno nie zastanowiła się nad pytaniem: co to wszystko znaczy? Dlaczego tajemnica? Ten szkaradny list otworzył jej oczy — i dlatego patrzyły

dziś, takie wielkie i biedne, w brudną rzeczywistość życia.

— Jestem dość piękna, dość bogata—myślała— a jednak starać się o mnie jawnie jest dla Zbarazkiego jakimś występkiem... może wstydem? Jakto? Czy i on tak myśli?!... Widocznie, skoro się kryje i mówi o walce z przesądami, o porzuceniu nawet swojej sfery...

Przypomniała sobie jedno jego zdanie:

— „Porzucimy nasze światki i pójdziemy razem w świat“...

Ale zaraz ufność w szlachetne zamiary ukochanego nasunęła jej inne tłómaczenie:

— On tak myśleć nie może, tylko przygotowuje swoją rodzinę, dumną i nie idącą z wiekiem; przygotowuje skrycie swe jawne oświadczyny, dla pewności. On przecie nie lekkoduch, nie bałamut... i, skoro nazywa się Zbarazki, musi być rycerzem...

Znowu przypuszczenie, że on także w głębi serca, czuje wstręt do jej mieszczańskiego pochodzenia, a pociąg tylko do jej piękności, zaparło dziewczynie oddech w piersi. Nie płakała już, zerwała się z krzesła i przeszła parę razy przez pokój, potrząsając głową:

— Nie, to być nie może, ja w niego wierzę.

Błąkały jej się potem po głowie uwagi społeczne niejasne, ale tem dziwniejsze, że pierwszy raz przychodziły jej na myśl. Słyszała przecie, że pochodzenie od rycerzy, czy kupców — nie jest miarą ludzi; że istniały niegdyś takie przesądy, ale nie

istnieją już dzisiaj; że ludzi wywyższa za naszych czasów rozum, nauka, zasługi dla społeczeństwa... Mocno była przekonana, że ojciec jej posiada wszystkie te zalety; wiedziała także o pochodzeniu swem przez matkę od Jana Dekierta, historycznej postaci... Mimo to czuła instynktowo, że ma wroga nie w jednej jakiejś osobie, ale w całej koalicyi osób, w całej koteryi, że wróg to nie osobisty, lecz zasadniczy. Nagle poczuła niby ukłócie w piersi.

— Kto napisał ten list? Pewno kobieta.

Prędko doszła do wniosku, że tylko kobieta mogła śledzić jej stosunki z Andrzejem, bo mężczyzna nie miałby w tem tak namiętnego celu; tylko kobieta mogła podpatrzyć adres, używany przez Andrzeja, i tak podstępnie zadać raz tak bolesny. Ta kobieta pewno go kocha, a może Andrzej?!...

Przestała płakać, przemyła nawet oczy wodą i pierwszy zły płomyk zaświecił w jej łagodnem zwykle spojrzeniu. Poczuła w sobie gorączkową energię i stanowczy zamiar: pokazać matce list bezimienny, a co za tem idzie — przyznać się do uprzedniej swej korespondencyi ze Zbarazkim. Zadzwoniła na pokojówkę, ubrała się i poszła szukać matki po dużem mieszkaniu, wiedząc, że ją zastanie przy rozmieszczaniu kwiatów, lub przy rachunkach gospodarskich.

Stosunek córki do matki był najlepszy, pełen słodyczy i wzajemnego zaufania. To też Marynia, idąc teraz z tak poważnem wyznaniem, nie czuła strachu, tylko wyrzut sumienia, że długo trzymała

tę najlepszą przyjaciółkę w niewiadomości o swoich knowaniach. Przystąpiła więc do niej odrazu ze szczerą skruchą. Serdecznie całując ją po rękach i po twarzy, uczyniła najprzód generalną spowiedź.

— Mamo moja! Najdroższa mamo! Ukrywam coś przed mamą od paru tygodni i tak mi z tem źle, że muszę powiedzieć...

I opowiedziała, że otrzymała pięć listów od Andrzeja, przyniosła te listy i położyła na kolanach matki.

Pani Hellowa patrzyła na córkę z bolesną słodyczą i, gładząc ją po włosach. rzekła:

— To źle, moje dziecko; to najprzód bardzo niebezpiecznie, a potem... gdybyś mi powiedziała pierwej, wytłómaczyłabym dlaczego takich rzeczy robić nie należy. Choć wiem, że w listach tych niema nic nieuczciwego, ani w twoich odpowiedziach... Czy odpowiadałaś mu?

— Trzy razy, mamo droga.

— To jeszcze gorzej. Trzeba znać świat, dziecko moje. Te dokumenta najszlachetniejszych uczuć ludzie mogą pochwycić, sponiewierać i ciebie obmówić.

— Ach, mamo, już się to stało!

I Marynia wybuchła głośnym płaczem, a pani Hellowa przysunęła do niej swe krótkowidzące, zaniepokojone oczy:

— Co ty mówisz, Maryniu? Zmiłuj się...

Dziewczyna, zanosząc się od płaczu, wydobyła z kieszeni otrzymany rano list i podała go matce.

— To dziś... dziś... przeczytaj!

Hellowa chwyciła śpiesznie lornetkę i, zbliżywszy się do okna, przeczytała nikczemne pismo. Pobladła, wyprostowała się z pewną dumą i, spoglądając z góry na córkę, zaczęła mówić:

— Widzisz, to są skutki...

Ale zaraz uprzytomniła sobie, że tej biedaczce zgnębionej, łkającej na kanapie z zakrytą twarzą—czynić wyrzuty jest co najmniej niewczesne—i widziała już tylko nieszczęście, spadające na jej najukochańszą istotę, wspólne nieszczęście. Siadła więc obok córki i przygarnęła ją do siebie:

— Uspokój się, dziecko... uspokójmy się obie... zaraz o tem pomówimy... No, nie płacz Marynko!

Ale sama płakała i pozostały tak dość długo, tuląc się do siebie i zamieniając urywane wyrazy.

Nareszcie Hellowa odezwała się stanowczo:

— Trzeba to pokazać ojcu.

— Mamo co to będzie? — zawołała Marynia, cofając się z widocznym dreszczem.

— Ja to zrobię sama, bez ciebie — odrzekła matka — nie mów nawet zupełnie o tem ojcu... a on ci zapewne także nie wspomni.

Zapadła w głęboką, niespokojną zadumę.

XIX.

Arnold Helle bywał niebezpieczny w wybuchach gwałtownego humoru, ale te zdarzały mu się głównie wtedy, gdy nie widział innego sposobu wyjścia z zawikłania. W przeciwnym razie przyjmował złe wiadomości zimno i w pięć minut miał już gotowy plan obrony przeciw losowi. Czasem plan ten zmieniał po namyśle, choć pierwsze rzuty były zwykle najtrafniejsze. Miał też pewne względy dla żony, którą dawniej bardzo kochał zmysłowo, a obecnie szanował, jako zaufaną i rozumną sojuszniczkę.

Skoro dowiedział się od żony o całej prawdzie, zmarszczył się i parę razy przeszedł wzdłuż pokoju. Rzekł nareszcie, wcale niespodziewanie, z błyskiem uśmiechu w oczach:

— Ha! Krew burzliwa... moja córka...

Potem zażądał wszystkich listów Zbarazkiego, przeliczył je i schował do pugilaresu; osobno umieścił w kieszeni list bezimienny. Przyrzekł następnie, że z Marynią nic do czasu mówić nie będzie ani o tych listach, ani o Zbarazkim. O uczuciu zaś córki

był już dawno i dobrze powiadomiony. Pocałował żonę w czoło i rzekł:

— Postaramy się to urządzić. Jaka szelma pisała ten ostatni list, to rzecz ciekawa, ale drugorzędna. Ważniejsze są listy Zbarazkiego. Mam nadzieję, że to porządny człowiek.

Rozstając się z żoną, wiedział już, co uczyni.

Rozmówić się osobiście ze Zbarazkim, pokazać mu jego listy i zapytać, co mają oznaczać — był to sposób zbyt prosty i niezgrabny. Wiedział zresztą, że Andrzej, parę dni temu, wyjechał z rodziną do Waru. Trzeba było znaleźć do porozumienia się ze Zbarazkim uczciwego pośrednika; przyszedł mu na myśl Jan Dołęga. Helle wiedział o przyjacielskich stosunkach tych dwóch kolegów; wiedział, że Dołęga jest autorem projektu sieci dróg bitych; że pojedzie zapewne temi dniami do Waru. Wiedział i pamiętał wszystko, co mogłoby mu się kiedyś przydać, a samego Dołęgę znał nieźle, bo go spotykał na posiedzeniach i w towarzystwach kolejowych.

Napisał wnet do dyrektora biur kolejowych, w których pracował Dołęga, prosząc, aby mu przysłał, jeżeli może, pana Jana z pewnemi aktami i objaśnieniami do nich; a że z dyrektorem był w zażyłych stosunkach, uprzedził go, że nie tylko prosi o te akta, ale i o tego posła, bo ma do niego inny interes, związany ze sprawą dróg bitych.

Skoro więc zjawił się Dołęga, niby urzędownie,

z powierzonemi mu ważnemi dokumentami, które tę misyę usprawiedliwiały, Helle przyjął go z dobroduszną uprzejmością. Po odłożeniu papierów na bok, rzekł:

— Przyznam się, że pragnąłem z panem pomówić jeszcze o czemś innem, i dlatego prosiłem waszego dyrektora, aby panu, a nie komu innemu, powierzył te akta. Chodzi mianowicie o szosy, któremi pan się zajmujesz. Jest to sprawa istotnie ważna. Znam też pański memoryał i projekt, oba są znakomicie ułożone.

— Jednak pan prezes nie dowierzał tej sprawie wówczas, gdy rozmawiał o niej z Andrzejem Zbarazkim — rzekł Dołęga — więc sądziłem...

— Widzisz pan... wtedy nie mogliśmy się porozumieć: wpadliśmy w dyskusyę zasadniczą. Wogóle wyznać panu muszę, że... nie zupełnie wierzę w robotę tych panów. Szkoda, że pan sam nie udałeś się wtedy do mnie. My, technicy, inaczejbyśmy to między sobą rozwinęli.

Helle powtarzał często: „my technicy“, był to jedyny tytuł, którego lubił używać.

— Nie wiem — ciągnął dalej — co ci panowie z Peterburga przywiozą... gdyby jednak otrzymali koncesyę, służę moim udziałem pieniężnym.

— Spodziewałem się tego i wówczas — rzekł Dołęga uradowany — znając pańską ofiarność i obywatelskie uczucia; dlatego sam namówiłem Andrzeja Zbarazkiego, aby się do pana udał.

— A czemuż pan sam nie przyszedłeś, panie

Janie? Widzisz pan: dzisiaj w dwóch słowach dochodzimy do zgody. Wprawdzie przeczytałem pana operaty, których przed rozmową ze Zbarazkim jeszcze nie znałem.

— Pochlebia mi to i bardzo mnie cieszy—rzekł Dołęga. — Mając zapewnione pańskie poparcie, jesteśmy już dużo silniejsi. A jest to sprawa...

— Do sprawy już mnie pan piśmiennie przekonałeś — przerwał Helle — ale jeżelibyś pan chciał technicznie rozmówić się o tem, będę miał w przyszłym tygodniu u siebie dwóch inżynierów z Petersburga, z których jeden mógłby nawet wiele nam pomódz. Może pan pozwolisz do nas na obiad, a wtedy pogadamy fachowo.

— Niezmiernie żałuję, panie prezesie; zobowiązałem się pojutrze jechać do Waru, na roboty, które tam rozpocząłem.

— Do Waru? do Zbarazkich?.. Może i Zbarazcy już wyjechali?

— Tak jest.

Ruchliwe muskuły twarzy Hellego ułożyły się w maskę zasępioną, czub nasunął się na czoło. Milczał przez chwilę, potem rzekł wolno, cicho, jakby do siebie.

— To szkoda. Mam do nich ważny interes.

Dołęga, wybornie usposobiony poprzedzającą rozmową, ofiarował natychmiast swoje usługi. Wtedy Helle wlepił w niego swe żółte oczy, dobrodusznie i smutnie migocące pośród żółciowych pęcherzy.

— Ha, panie Janie, skoro się tak składają okoliczności, to i ja mogę mieć do pana prośbę. Ot, jak się to w życiu zdarza: dziś ty mnie, jutro ja ciebie potrzebuję... Miałem pana zawsze za wyjątkowo zacnego i poważnego człowieka, a jeżeli nie mam prawa do pana przyjaźni, to proszę w każdym razie liczyć na moją.

Przechylił się nerwowo na fotelu i wyciągnął kościstą rękę do Jana, który uścisnął ją z sympatyą, choć przeczuwał, że się posuwa do delikatnych i kłopotliwych wynurzeń.

— Skoro Andrzej Zbarazki jest pana przyjacielem... wszak tak?

Dołęga potwierdził.

— Skoro więc jesteście w przyjaźni, musiał on tam zwierzać się panu z uczuć i zamiarów.

— Panie prezesie, nikt mnie nie upoważnił...

— Nie, nie, panie Janie, nie żądam wcale zdrady zaufania, owszem, proszę o dyskrecyę. Domyślasz się pan, że chodzi tu o moją córkę. Otóż — uprzejmości i zabiegi księcia Zbarazkiego każą mi przypuszczać, że jest moją córką zajęty. Ponieważ jednak książę Zbarazki dotychczas nie mówił nic w tym sensie ani ze mną, ani z moją żoną, — trzeba tę rzecz wyjaśnić — i tutaj liczę na pana.

— Podejmę się chętnie pańskich zleceń — odrzekł Jan, kręcąc się trochę na krześle — ale proszę o zlecenia zupełnie określone.

— Najzupełniej określone. Zanadto mnie pan znasz, aby sądzić, że pragnę tego związku dla ja-

kiegoś zaszczytu. Nie w takich już czasach żyjemy. Gdybym chciał, tobym córkę, która po mnie dziedziczy cały majątek, wydał za jeszcze większego księcia, bo każda wielkość jest względna. Ale, z drugiej strony, nic nie mam przeciw Zbarazkiemu, skoro jest porządnym człowiekiem i podoba się moim kobietom. Tylko o moją córkę starać się trzeba jawnie, albo wcale się o nią nie starać.

Dobroduszność ustąpiła zupełnie z oczu i z postawy Hellego.

— Oględne jakieś zaloty, znikanie, ukazywanie się znowu — to sposoby dobre dla bab-kokietek, ale nie dla mężczyzny. Daje to powód do głupich komentarzy i do intryg.

— Cóż się takiego stało? — spytał zdziwiony Dołęga.

— Oto co się stało — rzekł Helle — dobywając bezimienny list z kieszeni i rzucając go gwałtownie na stół — moja żona znalazła dzisiaj ten gałgan, zaadresowany do mojej córki. Na szczęście nie doszło to do rąk Maryni. Przeczytaj pan.

Dołęga przeczytał i rzekł:

— Jakiś nikczemnik...

— To wiem, że nikczemnik i to mnie nie dziwi. W mojej pozycyi ma się wielu nieprzyjaciół i nieraz odbieram anonimy. Rzucam je do pieca. Ale ten dowodzi czego innego. Dowodzi, że już imię mojej córki dostało się na psie języki z powodu niewyraznego zachowania się księcia Zbarazkiego... czy nie mam racyi?

— Ma pan słuszność — odpowiedział Dołęga po pewnem wahaniu.

— Chodzi więc o to, aby list ten pokazać Zbarazkiemu i zapytać, co o nim sądzi. Czy pan to zrobisz?

Dołęga spuścił oczy, załamał nerwowo ręce i milczał przez chwilę. Rzekł nareszcie:

— Panie prezesie! Usługa, o którą mnie pan prosi, jest pozornie mała i przynosi mi zaszczyt ze względu na zaufanie, jakie pan we mnie pokłada. Ale materya tak jest drażliwa, że może narazić na szwank moje stosunki ze Zbarazkimi, o które dbam nie tylko dla osobistych widoków.

— Dbasz pan o nich ze względu na swoje ogólniejsze zamiary? Wybornie. Z tych samych względów dbać pan mógłbyś i o mnie. A więc: donnant-donnant — masz pan mój współudział w sprawie szos, a mnie pan daj swoją pomoc tutaj. Zgoda?

— Ano — rzekł Jan — jedna i druga sprawa dobra... więc przyjmuję zamianę.

— Oto właśnie — zaśmiał się głośno Helle, wyciągając rękę do Jana — to jest realna podstawa! To po kupiecku, no i po przyjacielsku. A skorośmy już w porozumieniu... co pan sądzisz o młodym Zbarazkim? Czy to człowiek seryo?

— Człowiek bardzo zdolny.

— Nie to, ale czy liczyć na niego można?

— Ja mu ufam — odpowiedział Dołęga głosem nie dosyć stanowczym.

— Więc pan myślisz, że i w danym wypadku postąpi, jak przystoi...

— Mam nadzieję...

Helle spojrzał na Dołęgę tak przenikliwie, że Jan poczuł niby fizyczne dotknięcie tego spojrzenia.

— Starzy Zbarazcy będą przeciwni?

— Za tych mniej jeszcze mogę odpowiadać, niż za Andrzeja.

— A więc przekonamy się, kto to taki pan Andrzej Zbarazki — rzekł Helle prawie groźnie.

Rozmowa falowała tak między spokojem a burzą, ale Dołęga miał tę przewagę, że był tylko ubocznie interesowany. Rozstali się w dobrej komitywie. Przy pożegnaniu Helle odzyskał swą dobroduszność i mówił do Jana:

— Jabym tam nie dbał o to, ale moje kobiety, amory, księstwo... Rozumiesz pan?

XX

Zezylia, słowiańska Venus. tęskna, przeciągała wieczorem w początku czerwca nad okolicą Waru. Szatę miała jasną, sfałdowaną z muślinowych chmurek, wiszących na bladem niebie o zachodzie i tylko kilka wstążek ognistych od strony słońca, które już znikło za górą zamkową. Płynęła ze spuszczoną głową, długie złote włosy ciągnąc od jasnego kraju widnokręgu w przestwór ciemniejący; i oczy jej były pełne tęsknego błękitu. a nad głową coraz to gęstsze zapalały się pyły iskierek. Trącała bzy rozkwitłe całym kobiercem pod stopy kochanej bogini — i wzdychała często od szczęścia wiosennego, od młodych pragnień, a kiedy westchnęła, bzy posyłały wonie i górne gałązki drzew gwarzyły:

— Zakochałaż się nasza Pani, zakochała!...

Minęła już ogród, ciągnie nad ciemną łąką i pod ciemniejszym jeszcze borem legła do snu długą mgławicą.

Po parku warskim, spływającym ogromną kaskadą zieleni od tarasu zamkowego do rzeki, zaczęły się mnożyć cienie. Świeciły tylko drogi wy-

sypane piaskiem. W gąszczach rozległy się stłumione śmiechy, jakieś pościgi i ucieczki. Może fauny i dryady? może tylko służba dworska dokazuje po krzakach w tę noc do rozkoszy stworzoną?... Ale śmiechy umilkły, bo na tarasie ukazały się dwie panie: jedna smukła, świecąca młodością, druga zgarbiona, okryta niby zakonnym habitem Halszka sprowadzała ostrożnie ciotkę Temirę po schodach do parku „na konwersacyę". Staruszka macała każdy schód kulą, nie przestawała jednak mówić żywo, z młodzieńczą niemal intonacyą, której tylko brak zębów psuł trochę harmonię. Gderała, śmiejąc się:

— Nie wiedzieć co. wyprowadzać taką, jak ja, niedołęgę po nocy do parku... trzeba mieć wróble w głowie!

— Ja ciocię trzymam mocno — odpowiedziała Halszka — żeby się nawet kula pośliznęła, tobym utrzymała. Co tam! jabym ciocię wzięła i zniosła ze schodów.

— Tylko nie probuj, proszę cię.

Znalazły się wkrótce na równej powierzchni między tarasem a częścią parku spadającą ku rzece i poszły jedna obok drugiej, trzymając się pod ręce.

— Czy ciocia widzi to morze tam?

Z góry zamkowej widać było za rzeką rozległe łąki zalane teraz jedną ławą mgły, nad którą księżyc już się rozsrebrzył i czynił ją podobną do wielkiej, sennej wody.

— Nie widzę, moje dziecko, ale pamiętam ten widok; jest bardzo piękny.

— Jaka noc, ciociu! — rzekła Halszka, wietrząc głośno bogate zapachy parku i łąk — takbym chciała z kimś pochodzić po parku dzisiaj...

Panna Ostykówna nie obraziła się bynajmniej, rozumiała bowiem, że w taką noc przywołuje się „kogoś“ młodego, a jeżeli ten ktoś nie istnieje, jako osoba, to musi dziewczyna kochać się choćby w urojonym bohaterze. Aby wpaść w ton odpowiedny, Temira zaczęła wywoływać jedno ze swych romantycznych wspomnień.

— Chodziłam tak niegdyś z twoim ojcem tutaj, kiedy był jeszcze w szkołach — i tak samo mi powiedział: „czy widzisz to morze tam?... A kochał się podówczas w swojej kuzynce, Joannie, która już biedaczka nie żyje.

— Ciociu! i ja się kocham.

— Co ty mówisz, Halutko?!

Staruszka pochyliła się żywo ku dziewczynie, ruchem ciekawym i zadowolonym, wiedząc, że należy jej się to zwierzenie, jeszcze jedno, może tysiączne. Panna Temira, niegdyś bardzo piękna, włożyła strój zakonny po jakichś odwiecznych zawodach sercowych, których już nikt nie pamiętał, ale zawsze uczuciowa strona życia zajmowała ją gorąco, to też znała wszystkie historye miłości i miłostek cudzych od pół wieku, odczuwała je, była powiernicą i doradczynią paru pokoleń, zawsze po-

wabną jakimś cichym wdziękiem starości, i żywą i wesołą przyjaciółką młodych.

— Co ty mówisz, Halutko?! No, wyznaj mi wszystko. Wiesz, że ze mną mówić możesz, jak ze spowiednikiem.

— Już powiedziałam.

— Jakto? Nie powiedziałaś nawet w kim. Może i domyślam się, ale od ciebie nic jeszcze nie wiem moje dziecko. No, mów!

— Cóż cioci powiem? zdaje mi się, że się kocham.

— Ale w kim? w cudzoziemcu, czy w rodaku?

— W cudzoziemcu?... E! ciocia myśli pewnie o Reckheimie, który mi tam głowę zawracał?

— Jak ty się wyrażasz, dziecko!

— A co? czy nie dobrze?

— Nie dość... stosownie. Mniejsza z tem. Więc w rodaku. Tutaj moje domysły trochę błądzą. Wiem, że w Warszawie miałaś całą młodzież u swych nóżek. Nic dziwnego. Ale słyszałam o tylu zajętych tobą, że chybabym zgadywała przez kwadrans.

— Ciociu! Ten, o którym myślę, nie starał się o mnie, nie widywał mnie prawie w mieście, a i dzisiaj, choć mógłby być w parku z nami, siedzi w swoim pokoju.

— Jest tutaj? To już nie wiem zupełnie, kto taki...

— Przyjechał właśnie przed godziną i zamiast się pokazać, siedzi tam — o! w tych dwóch oknach, co się świecą na piętrze, przy rogu baszty.

— Kto taki?

— Pan Dołęga.

Panna Ostykówna nie spodziewała się tego nazwiska, ale, będąc przebiegła, jak wszystkie osoby bardzo delikatne, nie dała poznać po sobie, że ją ten wybór zadziwia. Podniosła zamglone oczy na okna, wskazane przez Halszkę i z sennym uśmiechem rzekła:

— Przyjechał? Nie wiedziałam. Bardzo miły młodzieniec — przedstawiono mi go w Warszawie.

— Ale jaki dzikus, ciociu! Coby mu szkodziło przebrać się i zejść do salonów?

— Moje dziecko, to świadczy o jego takcie i dobrem wychowaniu. Przyjechał tutaj na roboty, nie chce się narzucać.

— Ciociu? czy to dobre nazwisko: Dołęga?

— Bardzo dobre. Było ich dwa domy za moich młodych czasów. Nawet jedna Dołężanka jest waszą krewną, bo...

— Ale ten ma pańską minę? prawda?

— O ile moje biedne oczy mogły to osądzić — ładny chłopiec.

— I dobrze się ubiera — prawda ciociu?

— Tego już ja, moje dziecko...

— Bo co też to za pomysł — przerwała znowu niecierpliwie Halszka — żeby być inżynierem i babrać się w tych łąkach? O, czy tak lepiej nie wyglądają, zalane wilgocią? Albo pracować przy kanalizacyi Warszawy, jak mi sam mówił... Mógłby

przecie żyć, jak inni, a zajmować się tylko takiemi... dużemi rzeczami.

— Moja Halutko, on zapewne musi pracować na życie...

Dziewczyna przystanęła i utopiła czarne spojrzenie w ciemnym gąszczu parku. Ale podniosła znowu oczy na okna pokoju Dołęgi, w których dostrzedz było można cień, przechodzący przez spuszczone zasłony. Wskazując na te okna, rzekła:

— A ja tam już byłam dzisiaj.

— Gdzie, moje dziecko?

— W pokoju pana Dołęgi.

— Co ty bredzisz?

— Tylko przed jego przyjazdem. Zobaczyłam, czy wszystko w porządku, i żeby mu było wesoło, położyłam parę kwiatów na poduszce... Czy on się domyśli kto położył?

— Kochające serce przeczuje taki zamiar.

— Ale on mnie wcale nie kocha, ciociu! Nic mi nawet podobnego nie powiedział.

— O czemże zwykle rozmawiacie?

— Tak mało mówiliśmy z sobą — i nawet nie zabawnie. Tylko, kiedy z nim mówię, wydaję się sama sobie lepszą.

— Tak, moje dziecko. Musi to być człowiek szlachetny i rozumny; musi wiedzieć, czego chce, i dlatego wzbudza w tobie zaufanie.

— A także — ciągnęła dalej Halszka — kiedy mówi o czemś, czego bardzo pragnie, to mu trzeba koniecznie patrzyć w oczy, tak spoglądają jasno

jakoś i głęboko. Andrzej też jest zdania, że to jeden z najdzielniejszych ludzi, jakich zna między nami. Andrzej go ma zupełnie za równego z nami. Prawda ciociu, że on jest nam równy?

— Moja Halutko, ludzie są równi wobec Boga, ale wobec świata jest tyle różnic, że chyba dwóch równych rodzin, ani nawet dwóch osób nie znaleźlibyśmy.

— Ale on jest przecie z naszej sfery?

— Zapewne.

— Mama jednak go tak przyjmuje, jak kogoś niższego... a on więcej wart od wszystkich razem.

— Widzisz, moje dziecko, mama jest osobą bardzo wyłączną i lubi tylko dawnych znajomych.

— Tak się to mówi; mama umie dobrze przyjmować i nowych... Ale żeby naprzykład pan Dołęga oświadczył się o mnie...

— Oj, oj, Halutko! — przerwała Temira — mówisz sama, że ci jeszcze nic takiego nie powiedział, coby znamionowało uczucie, a myślisz już o odpowiedzi mamy. Wolno, spokojnie, moje dziecko; nasza rola jest zawsze bierna; musimy czekać na pierwsze kroki mężczyzn.

— Ach, to takie nudne, ciociu!

Chodząc po równej przestrzeni parku przed zamkiem, tam i napowrot, minęły już kilka razy dwa oświetlone okna pokoju Dołęgi. Nagle Halszka wyrwała rękę z pod ramienia Temiry.

— Ja w to okno czemś cisnę... może dorzucę.

I wzięła już garść piasku, ale ją ciotka żywo zatrzymała.

— Jeżeli mnie choć trochę lubisz, nie rób tego, Halszko! Nie można zapominać o swojej godności kobiecej, ani o tem, że jesteś księżniczką Zbarazką.

Halszka upuściła piasek, strzepnęła ręce, ale zerkała jeszcze ku oknom i nie wiedzieć, co ją bardziej nęciło, czy chęć zawołania Dołęgi, czy ten figiel. Wychowana w towarzystwie starszego brata i dwóch stryjecznych, rówieśników swoich, którzy byli teraz po uniwersytetach, nabrała tego zamiłowania do tężyzny i tych męskich pozorów, kojarzących się jednak wdzięcznie z jej dziewiczą pięknością.

Długo jeszcze staruszka z dziewczyną chodziły po parku, przy księżycu, ciągnąc rozmowę o Janie — i coraz bardziej buchało serce Halszki jasnym płomieniem, coraz bardziej rozgrzewało się przy tem ognisku wrażliwe serce Temiry.

Uroczystość nocy zaległa nad Warem, szmer wolnych kroków po piasku był najtęższym tonem dalekiej ledwie dosłyszalnej orkiestry, granej jednak przez tysiące lutni na wierzchołkach drzew, i gdzieś na łące, i gdzieś od lasu. Wtedy Zezylia, przebrawszy się w błękitną szatę księżycową, wstała z pod boru, a ujrzawszy dwie nowe poddane w swem sennem królestwie, zbudziła powiew i kazała bzom parkowym i młodym liściom i macierzankom łącznym owiewać te dwie kobiety aż do upojenia.

XXI.

Dołęga przyjechał do Waru, wezwany jednocześnie z paru stron; zobowiązał się już w zimie do powrotu na wiosnę i do ukończenia robót w łąkach; powtóre — Andrzej pisał do niego z przypomnienieniem; wreszcie otrzymał z Petersburga telegram od księcia Janusza, który go zdecydował ostatecznie. Depesza tak brzmiała:

„Sprawa na dobrej drodze. Rozszerzyliśmy projekt do znaczenia ogólniejszego. Będziemy w Warze z grafem Zellerem w czerwcu. Spodziewamy się tam pana zastać“.

Ta wiadomość przyszła jednocześnie z dobrowolnem oświadczeniem Arnolda Hellego, że da pieniędzy, skoro koncesya będzie uzyskana. Dołęga wnosił zatem, że Helle musiał mieć także korzystne wiadomości o sprawie szos — i był pełen otuchy. Że go do Waru ciągnęła nadzieja zobaczenia znowu Halszki w jej przyrodzonej, wspaniałej ramie, stokroć pyszniejszej jeszcze przez rozkwit lata — nie potrzeba dodawać. Ale tej ponęty zakazywał sobie tak dalece, że w jego rozumowaniu

był to jedyny powód zaniechania podróży do Waru. Wziąwszy jednak pod rozwagę wszystkie pobudki, które go tam wyprawiały, doszedł do wniosku, że jechać powinien, że nie jest dzieckiem sentymentalnem, ale człowiekiem, panującym nad sobą, a czyniącym to, co mu praktyczny rozum każe.

W zamku zastał same tylko kobiety. Andrzej wymknął się na jakieś polowania do Galicyi, czy dalej, choć nie wiadomo, na coby w tym czasie mógł polować. Ciężki sprawunek Hellego, powierzony Dołędze, musiał być zatem odłożony. Jan starał się urządzić swój pobyt w Warze w ten sposób, aby nie zanadto mieszać się do życia pałacowego, pomny, że poprzednim razem to stanowisko pośrednie między gościem a urzędnikiem miało wiele stron niesmacznych. Obecnie czuł też, że nie posiada żadnego oparcia w zamku z powodu braku mężczyzn. Ponieważ w lecie jadano w Warze obiad o pierwszej po południu, a kolacyę o ósmej, Dołęga prosił, aby mu wolno było nie przychodzić na obiad, bo by mu to czyniło znaczną przerwę w robotach, tylko wieczorem.

Na pierwszą więc wieczerzę ubrał się we frak i przyszedł. Księżna Hortensya przyjęła go nadspodziewanie łaskawie; nie domyślając się miejsca, które młody inżynier zajął w sercu córki, rada była widzieć przyjemną twarz męską, frak i biały krawat, jednem słowem — coś „ze świata“. Zdziwiła i ujęła Jana dobroć i wdzięk w obejściu się z nim panny Temiry, którejnie dawno był się przed-

stawił i nigdy z nią dotąd dwóch słów nie zamienił. Gdy teraz przypomniał się jej pamięci, odpowiedziała, przyglądając mu się zblizka:

— Zapewne wnuk pana Michała Dołęgi z Krosnowa?

— Tak jest, proszę pani.

— Wszyscy Dołęgowie mieli jasne włosy. Znałam niegdyś dobrze dziada pańskiego i jego stryjecznego brata, Ksawerego. Wszak był stryjecznym?

— Tak jest.

I opowiedziała parę zamierzchłych wspomnień, mało znaczących, ale które wywarły najkorzystniejsze wrażenie, zwłaszcza na księżną. Pierwszy raz rozmawiano w zamku o przodkach Jana, wobec patrzących ze ścian dynastów na Zbarażu i Warze, którzy słuchali tego spokojnie.

Halszka najgorzej przyjęła Dołęgę: siedziała nadąsana przy stole, patrząc tylko wtedy na niego, gdy on rozmawiał z innymi. Ale Jan czuł może przez skórę, że nadąsanie to nie jest groźne, a ogólna atmosfera przyjemna, wspaniałość i dobre wspomnienie tej sali, strojna uroczystość tej nielicznej zamkowej wieczerzy, usposobiła go dobrze; był nawet wesół, wynalazł parę nowin warszawskich, zastosowanych do gustu księżnej, perorował ciągle, będąc jedynym mężczyzną przy stole, bo stary Marsowicz, siedzący obok panny de Radenac, nie odezwał się ani razu.

W kwadrans po wieczerzy, pożegnał panie. Te-

mira prosiła go, aby, skoro będzie wolniejszy, przeczytał coś dla niej.

— Jest to zwykła jałmużna dla moich starych oczu; wszyscy tu składają się na mnie. Mam nadzieję że i pan mi nie odmówi?

Dołęga przyrzekł pośpiesznie. Gdy się żegnał, Halszka nagle rozweseliła swój surowy wyraz twarzy najpromienniejszym uśmiechem, roztulając usta, prawie jak do pocałunku. Jan zrozumiał mniej więcej:

— No, już dobrze, już się nie gniewam... te kwiaty — to odemnie. Dobranoc.

Po wyjściu Dołęgi księżna Hortensya rzekła do panny Ostykównej.

— Ce garçon est tout-à-fait bien tourné. Dans notre solitude c'est presque une ressource. Wy teraz pewno pójdziecie sobie na gawędkę, a ja do moich zajęć. Mam cztery listy na dzisiaj.

Nazajutrz Dołęga zjadłszy bardzo rano śniadanie, a obiad w polu, stał około szóstej po południu na nowo usypanej grobli. Z powodu upału włożył na głowę afrykański kapelusz, rodzaj lekkiego hełmu, który nadawał coś rycerskiego jego energicznej twarzy. Otoczony sztabem pomocników z łańcuchami, czerwonemi proporczykami i długiemi tykami, stał pochylony nad instrumentem mierniczym, gdy usłyszał za sobą galop konia, wstrząsający całą groblą. Odwrócił się i zobaczył, że Halszka, cała czarna, na czarnym koniu, patrząc groźnie z pod czarnego kapelusza, pędziła cwałem

wprost na niego. Za nią masztalerz. Dołęga podniósł obie ręce i zwrócony do szarżującej amazonki, krzyknął całem gardłem:

— Halt!

Halszka osadziła z łatwością konia.

— Czy pan się boi, żebym pana nie przejechała, albo tego pająka na długich nogach? — rzekła, wskazując szpicrutą instrument mierniczy.

— Nie o to chodzi, ale pani mogła ugrząźć w błocie, — o, proszę zobaczyć ślady konia... groblę tylko co usypaliśmy.

— Nic się nie stało... proszę mi pomódz zsiąść z konia. — Hop! A teraz dzień dobry — rzekła, rzucając śliczną swą kibić naprzód i podając rękę Dołędze. — Przyszłam obejrzeć, jak pan nam psuje łąki. Tak ślicznie wyglądały dotąd, i w dzień ze swemi kwiatami, i w nocy pod mgłą... a teraz co? będą suche?

— Nie. Właśnie tutaj urządzamy szereg stawów. Będzie je widać od zamku, będzie i mgła, i jeszcze wspanialszy widok. A po groblach, gdy się uleżą, można wyprawiać konne harce.

— A to doskonale, żem przyjechała, bo już się zaczynałam martwić. Niech mi pan to pokaże szczegółowo.

— Zaraz — rzekł Jan, a zwracając się do robotników, którzy stanęli i przyglądali się księżniczce, zawołał donośnym głosem:

— Ciągnąć łańcuch aż do drugiej chorągwi!

ściąć ten krzak na drodze przy samej ziemi — marsz! — Służę pani.

— Pan w tym ubiorze wygląda, jak afrykański kapitan, a i komenderuje pan ostro — rzekła Halszka, patrząc z zadowoleniem na Jana — byłby z pana dobry dowódca.

— Ha, żeby mi dali porządną komendę?...

Szli groblą nowo usypaną, za nimi masztalerz prowadził zziajane konie. A w około ciągnęły się ogromne łąki, haftowane w przedziwne wzory. Osnowę tego kobierca składała zieleń trawy i blady karmazyn kwiatów smółki, której urodzaj był tego roku nadzwyczajny. Na tej przędzy o barwach łagodnych występowały kapryśne wątki, pokręcone ze złotych jaskrów-płomiennych, ze srebrnych puchów wełnianki i bladolicych niezapominajek. Wyższemi miejscami szły rude szlaki szczawiów, przetkane liliowemi dzwonkami. Wpatrzeć się tylko w jedno miejsce, a widać było wszystkie barwy tęczy ukryte w zielono-bronzowej mietlicy i mannie, w jasnym tataraku i ciemniejszym skrzypie błotnym. Pstrokate groszki, niebieskie storczyki, koniczyna szkarłatna, czerwona i biała — kojarzyły się subtelnie, niespodziewanie, czyniąc zdaleka wrażenie barwne, stonowane po mistrzowsku w całość. Jakby dla uwydatnienia wartości tego Bożego malowania, gdzieniegdzie dyabeł posiał szary krzak łoziny, albo wielki niezgrabny chaber łąkowy i te plamy widniały żałośnie, jak dziury w drogocennej makacie. Zapach mokrej, kwiecistej przestrzeni, od-

dychającej po dniu upalnym, był mocny, jak wino.

Gdy Dołęga objaśnił plan irrygacyi i stawów, Halszka uczyniła uwagę:

— Wcale przyjemne to pańskie zajęcie.

— Zwłaszcza na takich łąkach i z blizką perspektywą powrotu do Waru — odpowiedział Dołęga bez namysłu.

— To pan War lubi?... i nas?

— Nie może pani wątpić.

— A dlaczego pan nie przywitał się z nami zaraz po przyjeździe? Chodziłyśmy z ciocią po parku — trzeba było przyjść.

— Nie przyjechałem tu w gościnę, ale dla umówionych zajęć.

— E! niech pan da pokój! Dobrze mówi Andrzej, że moralista z pana. Nie można zawsze być doskonałym.

Jan zaśmiał się wesoło.

— Ma pani słuszność — jestem trochę pedantem i to mi nawet przeszkadza w życiu. Nietylko doskonałym, ale i nudnym być nie wolno.

— Pan mnie nigdy nie nudzi.

— Serdecznie mnie to cieszy.

— Będziemy masami gadali z sobą — chce pan?

— Bardzo, bardzo proszę.

— Więc do widzenia — za dwie godziny kolacya.

Jan poczuł tak silny pęd sympatyi do tej miłej, pięknej, jedynej Halszki, że, nie myśląc wiele, po-

całował ją w rękę, a gdy siadła na konia i odjechała, długo patrzył za nią. Potem wciągnął wielki haust upajającego zapachu łąki, doszedł prędko do swoich robotników i zawołał wesoło:

— No chłopcy, jak mi skończycie tę groblę do wieczora, — po dwa kieliszki wódki... za zdrowie księżniczki!

XXII.

Na parterze zamkowym, wewnątrz podwórza, tuż przy głównej bramie, były niewielkie drzwi, nad któremi widniał wypłowiały napis: Urząd Burgrabiego. Było to od pięćdziesięciu lat mieszkanie pana Franciszka Salezego Marsowicza. Niegdyś zarządzał zamkiem i miał liczne zajęcia, obecnie dożywał wieku swego w ciepłym kącie, urządzonym według jego upodobań, i było mu tak dobrze prawie, jak za dawnych czasów, bo otoczony był wygodą i sympatyą ogólną, widział rozkwit książęcego domu, który kochał religijnie. Cała jego duma istniała tylko przez Zbarazkich, wszystko, czem był, pochodziło od Zbarazkich — i to mu wystarczało.

Mieszkanie jego wewnątrz miało pozór szlacheckiego dworku; trzy pokoje, jeden za drugim, z których pierwszy nazywał się kancelaryą, drugi salonem, trzeci w głębi sypialnią, były zastawione jesionowemi meblami, na których dużo włóczkowych serwet, a na ścianach, obok „landszaftów“, wisiały blade dagerotypy i nowsze fotografie — same portrety Zbarazkich. W sypialni, nad łóżkiem, na ko-

bierczyku, przedstawiającym tygrysa, wisiała szabla, symbol rycerskiego pochodzenia.

Pan Franciszek siedział po obiedzie w kancelaryi, paląc fajkę i oczekując na interesantów, którzy już prawie nigdy się nie zjawiali. Ale dzisiaj właśnie przyszedł pan łowczy, Kordysz, stary przyjaciel.

Był to nizki, krępy człowiek, lat sześćdziesięciu kilku, czerstwy, bo od wieków oddychający sosnową wonią, w mundurze łowieckim ze szlifami kapitana. Głowę okrągłą, bujnie zarośniętą, pokrywał twardy włos siwy, z którego wyglądał tylko ogolony środek podbródka, nos o skórze popękanej, różnobarwnej, i poczciwe oczy starego psa myśliwskiego. Kordysz był także od wieków na służbie u Zbarazkich, i chociaż miał obecnie zastępcę, podłowczego Szrapla, sam jeszcze był czynny, mieszkał pośród głównych kniei, prowadził polowania na grubego zwierza, na czem znał się kapitalnie. O ile był zażarty na „farbę“ zwierzyny podczas wielkich batalii, któremi dowodził, o tyle w czasie pokoju lubił ze swym ludkiem płowym i szarym obcować, dbając o jego dobrobyt, schlebiając jego apetytom, upodobaniom, nawet uczuciom. Jak dobry władca, wznosił na polach śpichlerze dla kuropatw i stawiał po lesie obfite żłoby dla sarn, rozpowszechniał pożyteczne zioła i krzewy. Robił też popisy ludności i znał nawet niektóre wybitne indywidua: takiegoto olbrzymiego odyńca,

takiego tam jelenia dwudziestaka, lub kozła o odmiennych rogach. Był naprzemian znakomitym hodowcą i pogromcą zwierzyny.

— Dobry wieczór panu burgrabiemu.

— Witam pana łowczego dobrodzieja. Walenty! chodźno tutaj.

— A na co Walenty? — spytał Kordysz.

— No, buteleczkę jedną z zielonym lakiem?

— Kiedy już tak koniecznie...

Gdy zasiedli z kieliszkami naprzeciw siebie, odezwał się Kordysz:

— Cóż, panie Franciszku, nowe czasy?

— To jest, mówisz niby, panie Benedykcie, o tych wieściach.

— A o czemże by innem? Administrator czytał mi list samego księcia pana. Ho, ho! Co się tam gotuje! Najprzód, już nie tylko szosa ma iść przez trakt Warski aż do miasta, ale kolej przetnie nasze lasy przez Czarnogórę, Jeleni grunt, aż dojdzie do granicy naszej w Ważynie Wielkim. Gdzie dalej pójdzie — niewiadomo. To wszystko jest pewne, bo stoi w liście księcia pana. Ale znów u Dzierkowskich byłem wczoraj na obiedzie i tam mi powiadali, że ten graf Zeller, który tu przyjeżdża, może nam urządzić, co zechce: i serwituty zamienić, i chłopstwo poskromić. Bóg wie, czego się tam w okolicy nie spodziewają, może aż zanadto. Czy wiesz, panie burgrabio, że od czasu, jak nasz książę wyjechał, to tak ci po okolicy gazety zaczęli prenumerować, że u każdego dzierżawcy, u każdego

ekonoma, nie mówię już u sąsiadów księstwa — na stole po kilka gazet. Muszą się tam redaktory cieszyć w Warszawie, choć ja, przyznam się, nic nie wyczytałem co do nas. Było najprzód, że nasz książę, hrabia Szafraniec i młody Zawiejski wyjechali do Petersburga, a potem — głucho.

— O Zellerze z księżną panią mówiłem — rzekł Marsowicz.

— No, ciekawym. Któż to jest graf Zeller?

— To jest ten Zeller z Petersburga, po którym spodziewamy się wszyscy przeprowadzenia naszych interesów, połączonych ściśle z interesami ogółu.

— Ale któż on taki? Jaki ma urząd?

— Tego dokładnie nie wiem, bo mi księżna nie mówiła, ale to jest ten sam, ekscellencya, ten, co i po gazetach często się go spotyka.

— No, byle nam pomógł. A musi to być istotnie wielka figura, skoro nakazano dla niego polowanie w czerwcu. Kto słyszał polować na dziki w czerwcu? Jak żyję, nie słyszałem. Więc widać to wielki pan, może i większy od naszych, co?

— Eh, co znowu! Graf Zeller swoim porządkiem, a księstwo Zbarazcy swoim. To są panowie u siebie, na swoich odwiecznych dziedzictwach, a tamto — zawsze na służbie. Co znowu!

— Kiedy widzisz, panie burgrabio, ze wszystkiego, co słychać o tym Zellerze, wygląda, jakby się go nasi panowie bali.

— Opowiadanie, panie łowczy, opowiadanie! To

jest możny przyjaciel, dla którego wypada trochę się postarać.

— Ale! — przypomniał sobie Kordysz. — Przysłali nam temi dniami nowego komisarza włościańskiego. Bardzo elegancki człowiek, po polsku mówi doskonale, zna obu naszych książąt: i starszego, i młodszego, nawet zna i grafa Zellera. Bywały i elegancki człowiek. Mieliśmy mały spór z chłopstwem o serwituty w okolicy głównego Łowiectwa: przyjechał zaraz do mnie, spór rozsądził sprawiedliwie, był na obiedzie, ano i potem trochę się gawędziło o ważnych sprawach. On wiele mówić nie może, bo wiadomo — urzędnik, ale gadał mniej więcej to samo o szosach, o kolei i Zellerze. Tylko, kiedyśmy przejeżdżali temi drogami, gdzie to wszystko mają urządzić, oglądał słupy okręgowe i rewirowe, i tablice z napisami po staremu. Więc tedy prosił, czy nie możnaby zmienić tych napisów, że to niby grzeczniej byłoby i dla grafa, który drogi oglądać będzie. Nie nakazał, — prosił. Jak myślisz, panie burgrabio... zrobić to dla nich? Bo nawet już i tablice nasze bardzo stare i niewyraźne.

— Cóż administrator na to powiada? — zapytał Marsowicz.

— Et, mówi: wszystko jedno, można.

— Jabym jednak bez wyraźnej woli księcia pana tego nie zrobił.

— A ja sobie tak spekulowałem — rzekł Kor-

dysz — kiedy nam dobrze chcą zrobić, i my im ustąpmy w tem i owem.

Marsowicz począł przeżuwać niby coś gorzkiego i chwiać wątpliwie głową. Kordysz. który go znał, wiedział, że ten wyraz był protestem nieubłaganego konserwatyzmu. Zmienił rozmowę, czyniąc w duchu spostrzeżenie, że stary rezydent jest jednak ciemięgą i pessymistą. Łowczy czuł się młodszym i lepiej pojmującym ducha czasu.

Wieści o wielkich powodzeniach tryumwirów nie ustawały. Dołęga. odrzucając oczywiście bajki. rozsiewane przez mniej oświeconych, otrzymywał jednak wiadomości, które potwierdzały jego nadzieje i wzmagały otuchę. Administrator odebrał list od księcia Janusza. donoszący. że plan pana inżyniera Dołęgi będzie prawdopodobnie zatwierdzony w całości z małemi zmianami. spowodowanemi przez budowę kolei, przecinającej długą linią terytoryum Waru, która to kolej jest już także w zasadzie przyjęta przez władze. Następowały liczne instrukcye co do polowania i przygotowań na przyjęcie grafa Zellera. Książę polecał zakomunikować ten list panu inżynierowi Dołędze. jeżeli jest już w Warze, przepraszając go, że nie pisze osobno z powodu nawału codziennych zatrudnień.

— Ha. rozruszałem ich. rozruszałem — cieszył się Jan i zacierał ręce.

Połączenie jego projektu z budową kolei mniej

mu się na razie podobało, był jednak przygotowany na przeróbki, na nowe studya, byle duża przestrzeń kraju naokoło Waru otrzymała dobre drogi komunikacyjne, których wielka i pilna była potrzeba.

XXIII.

Od czasu rozmowy na łąkach, zaszła duża zmiana w porozumieniu się Jana z Halszką. Jan już nie zakazywał sobie myśleć o niej, ani jej unikał. Obiecujące wieści publiczne, uprzejme przyjęcie w Warze i rosnące z dniem każdym przyzwyczajenie się do atmosfery, której osią i sercem była dla niego Halszka, wywołało w tym człowieku, złożonym z dwóch natur: pozytywnej i romantycznej, — rozumowanie pośrednie.

— Każdy ma w życiu — myślał — okres najwyższego powodzenia, niby rozkwit tego szczęścia, które mu jest przeznaczone. Może ten okres zaczął się dla mnie? Dzieciństwo miałem smutne, przygnębione tragiczną śmiercią ojca; młodość twardą, pełną niezadowolonych aspiracyi i ciężkiej pracy, może mi się teraz i należy trochę owoców za trudy i trochę szczęścia dla siebie. Gdyby Haszka była właśnie tą przyszłą słodyczą mego życia?

Zdawał sobie jednak sprawę z przegród, dzielących jego, inżyniera Dołęgę, od sfery, do której należała księżniczka. Wiedział, bo znał świat, że

wyższość ludzi i rodzin powstaje często z ich własnego przekonania o tej wyższości. To przekonanie udziela się powoli, opornie, lecz coraz wyraźniej, ludziom otaczającym — i staje się faktem. Jakieś zasługi społeczne, jakaś wielmożność materyalna, muszą leżeć na dnie tej wyższości, lecz prędko zacierają się te powody do uszanowania, a pozostaje, rzec można, samo tylko uszanowanie. Dlaczego Zbarazcy należą do wyższej sfery, niż Dołęgowie? Zasługi obu rodzin w ubiegłych wiekach dają się porównać bez uszczerbku dla Dołęgów; ostatnie pokolenia Dołęgów dużo więcej poświęciły, dużo usilniej pracowały dla społeczeństwa. Różnica majątków stanowi oczywiście przedział, ale przypadkowy tylko, bo gdyby był zasadniczy, wtedy Hellowie, bogatsi od Zbarazkich, należeliby przynajmniej do tej samej sfery.

Jan Dołęga odczuwał, bo rozumiał ją głęboko, wadliwość naszych stosunków towarzyskich, opartych nie na zasadach społecznych, lecz na starych, pozbawionych treści, modach; przyglądał się tej maskaradzie, uchodzącej za hierarchię, a jednak czuł, niby magnetycznie, przewagę Zbarazkich, i przewidywał, w jaki sposób cała ich rodzina przyjęłaby jego otwarte staranie się o rękę Halszki. Sama tylko księżniczka wydawała mu się inną, niezależną i szczerze przychylną A także — czuł już niepohamowane pragnienie przeniknięcia jej duszy i patrzenia w jej czarne oczy, jedyne.

Widywał ją codzień wieczorem, ale sposobno-

ści do rozmowy z nią były rzadkie. Przy stole mówiła najwięcej panna Temira, skłonna wogóle aż nazbyt do konwersacyi; księżnej Hortensyi trzeba się było, bądź co bądź, zasługiwać; Halszka, jeżeli się odzywała przy wieczerzy, to o rzeczach prostych, o zajęciach tego, lub przyszłego dnia; mówiła swobodnie, bez cienia nieśmiałości, ale do rozmowy poważniejszej nie mieszała się przez ambicyę, czuła się bowiem niedostatecznie wykształconą w naukach i w myśleniu.

Ten brak poczuła niedawno, już pod wpływem Dołęgi, a że miała do niego zaufanie, prosiła go zaraz, aby jej wskazał książki do czytania. Jana zaskoczyło trochę to pytanie i, zanim coś doradził, wziął Halszkę na mały egzamin.

— Czy pani jest mocna w historyi?

— Nie, panie.

— Ale pani zna przynajmniej dobrze historyę własnego kraju?

— Kurs jej przebywałam, ale bardzo dawno.

— A nauki przyrodnicze lubi pani?

— Bardzo lubię, ale tych, to już nie uczyłam się nigdy... tam trochę, w dziecinnych książkach.

— Zapewne uczono panią głównie języków, historyi literatury, historyi sztuki?

— Tak... dużo bardzo francuskiego, angielskiego, trochę niemieckiego, historyi literatury francuskiej... no, naturalnie, religii, rachunków... historyi sztuki wcale nie... Widzi pan, jaka ja głupia! O co

pan się zapyta, tego nie umiem... Możeby pan mnie nauczył geometryi?

— To zupełnie na nic. A co do innych rzeczy ma pani jeszcze tyle czasu, że, byle ochota była, nauczyć się łatwo. Jutro przyniosę spis książek, które postaram się przypomnieć, ale uprzedzam, że i ja nie tęgi jestem w wielu kierunkach. Naprzykład o belletrystyce mam ledwo słabe pojęcie: powieści prawie nie czytuję, poezyi zabraniano mi czytać w dzieciństwie; potem nie wiele miałem na nie czasu.

— Powieści znam dość dużo — rzekła Halszka. — Dlaczego panu zabronili czytać wiersze?

— Innym razem pani powiem.

Ten urywek rozmowy mieli pewnego dnia przed wieczerzą, znalazłszy się sami w salonie.

W następującą niedzielę, że robót w łąkach nie było, panna Temira przypomniała Dołędze obietnicę czytania. Halszka trzymała się ciągle z ciotką, a więc znalazła się i przy czytaniu. Usiedli w małym salonie pierwszego piętra i wzięli artykuł z jakiegoś przeglądu, pierwszy lepszy. Zdarzyło się przytem, że staruszka usnęła. Zaraz Halszka przerwała Janowi czytanie, wpadając znakomicie w ton lektora, żeby wybuchem, albo przyciszeniem głosu nie obudzić śpiącej:

— ... i tak dalej, etcetera, jak się później okazało... A teraz porozmawiajmy, tylko niech pan prędko coś mówi tym samym głosem, bo się ciocia obudzi.

— Nie wiem od czego zacząć, mam pani za wiele do powiedzenia — ciągnął Dołęga monotonnie i w braku pomysłu, chwycił znowu zdanie artykułu... — „Oto drugie dzieło prawdziwie swojskie, które mamy do zaznaczenia w dorobku lat ostatnich“... niech pani coś zacznie mówić, bo ja nie mam wyobraźni...

— Oto trzecie dzieło — ciągnęła dalej Halszka — którego dobytek mamy do oznaczenia na polu swojskiem... tak nie można rozmawiać, ale możemy bardzo cicho wynieść się na taras.

I przekręcając bez ładu i składu pochwycone zdanie artykułu, ostrożnie, na palcach, doszli do niedalekich drzwi, prowadzących na taras, dusząc się od śmiechu. Halszka błyskała wyrazistemi oczyma, to z obawą ku ciotce, to groźnie ku Janowi, a Jan śmiał się serdecznie, jak dziecko. Na tarasie odsapnęli, usiedli na żelaznych fotelach.

— I pan, widać, lubi się bawić?

— Któżby nie lubił? Tylko mało mam do śmiechu sposobności. Ale z panią bawię się zawsze.

— Doprawdy?

— Bo nietylko wesołość pani udziela mi się odrazu, ale wogóle ma pani w sobie jakieś ciepło, czy prąd, który zniewala być w równem z panią usposobieniu. Chciałoby się dziękować pani, że jest piękniej na świecie.

— Niech pan dziękuje — rzekła Halszka, wyciągając rękę, którą Dołęga uścisnął.

Poczem odrzucił głowę w tył, jakby walcząc sam z sobą, i po chwili rozpoczął inną materyę:

— Wkrótce doczekamy się zapewne naszych panów z Petersburga.

— Pan ciągle myśli o tem samem? — spytała Halszka z pewnem niezadowoleniem.

— Nie ciągle myślę o tem, ale powinienbym myśleć. Człowiek tyle jest wart, ile myśli o pożytku ogółu. To nie jest frazes, proszę pani. Wszystko, co czynimy dla siebie, jest wypływem naszej zwierzęcej natury; nasze człowieczeństwo polega tylko na altruiźmie.

— Nie dobrze pana rozumiem. Widzi pan! Ja nawet rozmawiać z panem nie mogę... Pan by powinien uczyć mnie wszystkiego od początku.

— Nie tylko pani dość jest rozumna, aby dobrze pojąć życie i jego zadania, ale ma pani serce, ten dar największy, ten instynkt, który każe być altruistą, czyli kochać cudze dobro. Uczyć panią? Nie wiem, czy potrafiłbym. Jabym ludzi dorastających uczył przedewszystkiem myśleć o prostych na pozór, a najważniejszych pytaniach. Niech się pani nie śmieje z moich pytań. Najprzód: — czem pani jest?

— Cóż to za pytanie? Znaczy wszystko, albo nic.

— Wybornie, ale niech pani odpowie jak najprościej.

— No, czem jestem? Kobietą, Halszką Zbarazką...

— Właśnie. Więc najprzód: człowiekiem; przed

chwilą mówiłem, co go różni od zwierzęcia. Potem — człowiekiem żeńskiego rodzaju; dajmy na to, że odłożymy na później prelekcyę o zadaniu kobiet. Następnie — przewrócę porządek odpowiedzi — jest pani Zbarazką. To coś znaczy; trzeba znać historyę dawną, żeby wiedzieć, z czego to powstało i co znaczyło; trzeba znać i śledzić historyę współczesną, żeby dojść do wniosku, co to znaczy i znaczyć może. Wreszcie, jest pani Halszką, czyli nie którąkolwiek ze Zbarazkich, ale indywidualną częścią rodziny i samą sobą.

— To rozumiem, ale cóż tu jest do objaśnienia? Powiedział pan dłużej to, com powiedziała krócej.

— Tak jest, ale wynikło z tego zastanowienia się już parę rzeczy, choćby to, że trzeba znać swoje dzieje.

— Prawda — rzekła Halszka

— I jeszcze co innego. Powiedziała pani: jestem kobietą, Halszką Zbarazką. Żeby to znaczyło naprawdę to, co znaczy, trzeba istotnie być kobietą, i Zbarazką, trzeba mieć prawo to powiedzieć. Gdyby pani nie dbała o to, mogłaby taką dać odpowiedź: „jestem niby kobietą, przypadkiem urodziłam się Zbarazką, ale wszystko mi jedno“. Tak pani nie myśli?

— Nie, ale niech pan dalej pyta.

— Na co pani myśli użyć życie?

Halszka zamyśliła się głęboko:

— Takie trudne, ogromne pytanie.

— Ma pani słuszłość: te zagadnienia najprost-

sze, najczęściej powtarzane, są największe, bo zawierają w sobie wszystko. Gdyby jednak pani chciała z kilku odpowiedzi. które się nasuwają, wybrać jedną i powiadomić mnie, — na co pani chce użyć życie?

Halszka odpowiedziała nieśmielej, niż kiedykolwiek:

— Może... na kochanie?...

Dołęga zerwał się z krzesła i mówił z zapałem:

— Pani! wymówiła pani słowo najmądrzejsze, jedyne. Tak jest — na kochanie. Jako kobieta — na kochanie mężczyzny, na danie mu szczęścia i siły, na pójście z nim razem przez życie, jakie będzie, dobre, czy złe, wyrozumiała na jego upadki, ale wymagająca przy jego podniesieniach się i wzlotach. Jako Zbarazka — na kochanie ziemi, która was wydała, was i waszą wielkość. Bo cóż to jest wielkość imienia? Zasoby, to jest to, co ta ziemia wam dała; zasługi, to jest pamięć tego, co wy oddaliście tej ziemi. Ale nie oddaliście jej dosyć: wy zawsze będziecie więcej dłużni krajowi, niż on wam. I nie tylko zbierać owoce zasług przodków, ale nowe zaszczyty zyskiwać powinniście przez nowe zasługi, przez ciągłe kochanie. Więc na waszej chorągwi trzeba wypisać hasło: czynnie kochaj kraj! Wtedy tylko będzie powiewała z tej baszty dumnie i — słusznie.

— Pan dba o naszą chorągiew? — spytała z pałającemi oczyma.

— Dbam, jak o swoją, bom także wasz krewny

w wielkiej rodzinie i serce mi rośnie, kiedy widzę, że książę Zbarazki podejmuje pracę dla sprawy ogólnej, a księżniczka wie, na co ma użyć życie.

Od paru minut panna Temira słuchała z wewnątrz pokoju ognistej mowy Jana; ukazała się we drzwiach, postukując swą kulą.

— Panie Janie Dołęgo — rzekła — proszę być moim przyjacielem.

I wyciągnęła do Jana suchą, drżącą rękę, nad którą płowa jego czupryna pochyliła się gwałtownym ruchem. Odszedł, bo czuł, że cokolwiek powie w tej chwili, będzie zbyt gorące.

— Cóż? Podoba się cioci? — spytała Halszka z dziecinną dumą.

Temira wzięła ją pod rękę, aby długo jeszcze i romantycznie rozbierać poszczególe wdzięk i wartość Dołęgi. Halszka bardzo cierpliwie słuchała.

XXIV.

Ubiegała już druga połowa czerwca i nadzwyczajny sezon w Warze miał się rozpocząć. Na przyjazd dostojnego gościa sproszono dużo osób, wszyscy zaś wybierali się skwapliwie dla przyjemności pobytu i przez ciekawość. Bo z przyjazdu Zellera zrobiono już nietylko w okolicy Waru, ale i w Warszawie — wypadek niemal historyczny; zapowiadano, że rozpocznie się szereg ważnych reform, że wschodzi jutrzenka nowych czasów. Raz jeszcze potwierdzał to Janusz w liście do żony, który księżna pokazała Dołędze.

„Dobrze udaliśmy się do hrabiego Zellera — pisał książę — i miał racyę pan Karol, gdy zapytany o radę, czy Zeller podejmie się nas popierać, odpowiedział: Niezawodny. — Jesteśmy obecnie w przyjaźni i paktujemy zupełnie otwarcie nietylko o drobnych interesach, od których się zaczęło, ale o wielu, bardzo wielu i bardzo ważnych. Nie będę ci opisywał moich wrażeń ze stolicy, nie mam na to czasu, ale ci powiem, że czuć tu bijące tętno ogromnego i młodego organizmu, który ma wielką

przyszłość. I teraźniejszość wspaniała, nietylko bogactwo i siła widoczne zaraz na wstępie, ale i powodzenia wszechstronne w polityce i cywilizacyi.

Przyjmowano nas tutaj bardzo dobrze, często nawet serdecznie. On nous connait ici et notre rang nous y est accordé sans discussion. Opowiem ci osobiście przyjęcia oficyalne, ale mieliśmy i dużo przyjacielskich zebrań. Niektórzy dawni i wielu nowych znajomych, des gens du meilleur monde, fetowali nas, co nam dużo czasu zajęło. Choć tego nie żałuję, bo te stosunki są i przyjemne i potrzebne. Zamało ich mamy, zamało się znamy i w tem nasz błąd największy. Wiele nieufności i przesądów by się usunęło, gdybyśmy się znali lepiej, i żałuję, żem tu już dawniej nie bywał. Pan Karol tu bywa i ma doskonałą pozycyę.

Wogóle wszyscy jesteśmy tego zdania, że pora trzeźwo się zastanowić nad naszemi stosunkami wzajemnemi, a wiatr, który tu wieje, jest bez zaprzeczenia pomyślny. Formy tych wszystkich, do których mieliśmy interesa, są wyborne. To już bardzo wiele — reszta przyjdzie, jestem tego przekonania. Naturalnie wymagać nie trzeba rzeczy niepodobnych i stosować się należy do ogólniejszych widoków centralnych, które tu panują. Ale nasi szowiniści nie prędko jeszcze to zrozumieją. Szkoda.

Przed pierwszym lipca będziemy napewno w Warszawie, a na pierwszego w Warze"...

W oczekiwaniu wypadków Dołęga odłożył na bok palącą swą troskę społeczną. Tymczasem da-

wał się nieść rosnącym falom uczucia dla Halszki. Wykoleił się zupełnie, czuł się jednak młodym, silnym i ufnym w przyszłość.

Pewnego dnia zjawił się nagle Andrzej.

Pytali go wszyscy, gdzie tak długo przebywał. Miał parę polowań, potem interes do Wiednia. Dołęga rad był i nie rad z przyjazdu Andrzeja; musiał się wywiązać z danego Hellemu przyrzeczenia, a przerywało mu to nieprzyjemnie szereg dni jasnych, leniwych szczęściem i pogodą. Czekał dzień jeden, sądząc, że Andrzej rozpocznie sam zwierzenia o Maryni. Ale młody Zbarazki był roztargniony, nerwowy i niespokojny. Opowiadał o fatałaszkach, drwił z Halszki, że czyta jakieś nudziarstwa, zapewne z porady „mistrza Jana;“ drwił z przygotowań na przyjęcie Zellera, mówiąc, że góra zamkowa jest przy nadziei, a on już widzi tę mysz, która się urodzi: będzie maleńka z bardzo długim ogonem i z przywiązaną na końcu figą. Był w podnieconym, a naprawdę — w kwaśnym humorze.

— Jesteś anormalny, coś ci jest? — zdecydował się wreszcie Dołęga na rozpoczęcie dość przykrej rozmowy.

— Przegrałem w Wiedniu dużo pieniędzy.

— I jesteś w kłopotach?

— Pożyczyłem i zapłaciłem. Ale wogóle nie wiedzie mi się w ostatnich czasach... Czyś ty nie głodny? bo ja, po tej postnej piątkowej wieczerzy, jestem głodny jak pies. I pić mi się chce. Chodźmy do mnie.

Zamówił cicho jakąś mięsną potrawę i kazał dać wina do swego mieszkania, gdzie po chwili zasiedli obaj koledzy przy otwartych oknach. Puszczyk płakał w parku. Andrzej zamknął okna.

— Nie cierpię puszczyków, dlatego musiała bestya wleźć dzisiaj pod samo okno! Mam już taką seryę przyjemności od miesiąca.

— A ja ci przynoszę jeszcze jedną kwaśną nowinę — rzekł Dołęga.

Zbarazki odepchnął niecierpliwie kieliszek; twarz jego przybrała wyraz kapryśny.

— Co? jaką? gadaj prędzej! nie potrzebujesz mnie przygotowywać, nie zemdleję.

— Twoje zalecanie się... staranie się o pannę Helle nabrało już rozgłosu; trzeba z tem coś począć.

— Wielka mi nowina! sam wiem o tem dobrze.

— Ale o tem nie wiesz.

Dołęga wyjął z pugilaresu list bezimienny i oddał go Zbarazkiemu, który spojrzał najprzód na kopertę, poznał swoje niby pismo i zapytał z niehamowanem rozdrażnieniem:

— Cóż to jest?!

— Ha, przeczytaj.

Andrzej przeczytał, obejrzał znowu kopertę, zbladł i zesztywniał.

— Jakim sposobem ty to masz w ręku i co ci mam odpowiedzieć?

— Powiem ci otwarcie. Helle przejął ten list,

adresowany do córki. Nie wiedząc, jak do ciebie trafić, prosił mnie. Nigdybym się nie podjął tej misyi, tylko ponieważ Hellego potrzebujemy...

— Na co go potrzebujemy?

— Do sprawy szos.

— Brawo! sprawa szos! Trochę mi już obrzydła, przyznam się. Słucham więc dalej.

Dołęga zesztywniał także pod wpływem niespodziewanego chłodu słów Zbarazkiego.

— Podjąłem się więc pokazać ci ten list i zapytać, co o tem sądzisz.

— Czy pan Helle żąda odemnie zadośćuczynienia za twojem pośrednictwem?

— Nie — odrzekł Jan spokojnie. — Wiesz, że nie mógłbym być sekundantem Hellego przeciw tobie. List i tak musiał ci być doręczony, więc ci go przywiozłem. Myślałem, że nasze stosunki załagodzą to drażliwe poselstwo.

— Dziękuję ci — rzekł Andrzej sucho — namyślę się, co mam uczynić.

Nastała chwila, jedna z najprzykrzejszych: zgrzyt struny urzędowej w harmonii dwóch przyjaciół. Przestali mówić o liście, posiedzieli jeszcze kwadrans i rozeszli się.

Nazajutrz już Dołęga był na łąkach, gdy spostrzegł Andrzeja zbliżającego się konno. Pokrewieństwo tej sceny z niedawnym przyjazdem Halszki uderzyło Jana i ucieszyło, zwłaszcza, że Andrzej miał już swój zwykły wyraz ujmujący. Zsiadł z ko-

nia, oddał go jakiemuś robotnikowi i wziąwszy Jana pod rękę, odprowadził go od miejsca robót.

— Przyjechałem, aby cię poprostu przeprosić — mówił Zbarazki miękko, niemal zalotnie — nerwowa baba ze mnie. Zaraz wczoraj zrozumiałem, że babrzesz się w tej sprawie przez przyjaźń dla mnie, ale tak mnie ta nowa komplikacya wściekła, żem nie wiedział już, czy stłuc butelkę, czy się na ciebie obrazić. Wybrałem to ostatnie, jako wygodniejsze. No, Janku, mój stary, nie gniewaj się.

— Ani myślę, Andrzeju! sam byłem zły na siebie, że dałem sobie wpakować ten list przez Hellego.

Łatwo się przeprosili, bo zrozumieli, że nic nie mają sobie wzajemnie do przebaczenia.

— Namyślałem się przez całą noc i doszedłem tylko do jednego wniosku, że list ten napisała kobieta, wiem która.

Dołęga milczał; Andrzej, spojrzawszy na niego, ciągnął dalej:

— To cię mniej obchodzi, prawda? Chciałbyś wiedzieć, a nawet musisz wiedzieć, jak odpowiem na interpelacyę Hellego.

— Jeżelibyś mógł bez mojego pośrednictwa rozmówić się z Hellem, to i owszem. Twoje postanowienie obchodzi mnie głównie ze względu na ciebie.

— A! masz dosyć tych zleceń? wierzę - uśmiechnął się Zbarazki. — Ale nie wykręcisz się, będziesz musiał mnie wysłuchać i poradzić mi. Zgóry

wiem, co mi powiesz: trzeba się oświadczyć. I ja tak myślę. Ale najważniejsze pytanie: czy zostać przyjętym, czy nie?

— Niedobrze rozumiem — rzekł Dołęga, zatrzymując się i podnosząc swe jasne oczy na Zbarazkiego, który przymrużył oczy z przebiegłym uśmiechem.

— Widzisz, mój drogi — mówił znowu Andrzej — posunąłem się dość daleko ku tej pannie bo jest miła i ładna, jak mało kobiet. W tym kierunku albo stanąć i wycofać się z honorem dla niej, a bez despektu dla mnie, albo... już jechać... co?

Szerokim zamachem przeciął powietrze i dalej mówił:

— To jest właśnie mój dramat. List, który mi oddałeś, czyni postanowienie konieczniejszem, ale nie przynosi nic nowego. Ciągle mi to stoi na myśli. Dlaczego ta śliczna Marynia nie nazywa się choćby... no, Amsicka, albo Gzubska? dlaczego szczególniej ma tego starego żbika za ojca, o czem, gdy pomyślę, zęby mi cierpną.

— Nie jest to nowe odkrycie, Andrzeju. Pozwól sobie powiedzieć, że znasz ją od roku, a gdy ją poznałeś nie byłeś dzieckiem. Ze wszystkiego co o niej wiem, coś mi sam o niej mówił, wnoszę, że panna Hellówna jest osobą bardzo wysokiego gatunku moralnego, towarzyskiego... jakiego tylko chcesz. I do tego, taka ładna! Że jest mieszczanką, cóż to ci przeszkadza, tobie, któryś miał zawsze

umysł niezależny? Czy to wstyd? czy nawet niższość?

— To jest rozumowanie dobre — odpowiedział Zbarazki — ale łatwe. Są cienie subtelniejsze, które się dostrzega dopiero wtedy, gdy idzie o własną skórę. Pomyśl sobie: obiecać, że całe życie żyć będziesz z jedną kobietą, a zawsze choć trochę z jej rodziną — i nie być pewny, czy ta kobieta nie będzie cię raziła codzień tem właśnie, że jest odmiennego pochodzenia!

— Ależ, Andrzeju. to są finezye dla powieściopisarza-psychologa; co innego ma się w życiu do roboty, jak ciągle przypatrywać się odcieniom indywidualnym swoim lub osób najbliższych Czemże wreszcie ta miła i dobrze wychowana panna mogłaby cię razić?

— Nie razi mnie, skoro czuję do niej szalony pociąg i prawdziwą sympatyę. Jednak przyznam ci się: czasem — rzadko — powie mi coś takiego, albo wykona jakiś ruch pod bardziej rozwartym lub ostrym kątem — a ja notuję: takby tego nie powiedziała, nie zrobiła panna z mojego towarzystwa. I wtedy przechodzi mnie lekki dreszcz bojaźni — nie wstrętu — bojaźni.

— Ale cóż to za słowa? co za objawy? czy ważne? — spytał Dołęga.

— Gdzież tam! najdrobniejsze. Czasem, naprzykład. zapyta mnie o coś, co się tyczy Waru, albo rodziny z jakąś słodyczą niby pokorną. Ja słodycz lubię, ale pokorę uważam za zbyteczną. Albo mówi

o nas, jak o żelaznym wilku... A kiedyś znowu przy jakimś żarcie, mrugnęła tak, że mi przypomniała starego Hellego! Aż mi się zimno zrobiło.

Jan patrzył na Andrzeja, jak na chorego.

— Ty się litujesz nademną, widzę to — ciągnął Andrzej — boś ty zupełnie inny: ty masz zawsze jakiś cel poza tobą leżący i patrzysz na ten cel, a nie lubujesz się w szczegółach własnego istnienia, w mieniących się barwach życia. A wiesz, gdy kto ma to moje usposobienie, to go czasem zauważony drobiazg raduje, albo drobiazg przyprowadza do rozpaczy.

— Mój drogi — rzekł Dołęga — z tych drobiazgów nie składa się dusza ludzka.

— Ale składa się życie — odpowiedział Zbarazki.

— Marne życie.

— Ale moje.

Tu zamilkli przyjaciele i rozeszli się znowu, choć bez urazy, w dwie odmienne zupełnie drogi. Po chwili Dołęga zaczął mówić:

— Jakże daleko zaszedłeś w wyznaniach swego uczucia pannie?

— Oj, daleko! pisywaliśmy nawet do siebie.

— Jakto? więc ten list bezimienny ma prawdziwą podstawę?

— Niestety.

— Skoro więc to czyniłeś, musiałeś mieć zamiar określony?

— Oczywiście. Najprzód — opanować myśl

Maryni, bo mi się tego bardzo chciało. Powtóre doświadczyć, jak pisuje zakochana panna — nigdy nie miałem dotąd korespondencyi z panną.

— Andrzeju! czy mówisz poważnie?

— Nie wiem, czy poważnie, ale szczerze. Przywykłem tak z tobą rozmawiać. Ty jeden mógłbyś napisać mój życiorys, gdy klapnę, bo z nikim tak szczerze nie mówiłem nigdy.

— Nawet z Marynią?

— Gdzież tam! W rozmowie z kobietą, której się pragnie, jedna rzecz jest prawdziwa: pociąg uczuciowy; reszta dobiera się według potrzeby. Kłamać nie należy, ale urządzać prawdę, zwłaszcza w dziedzinach psychologicznych — przecież to cała sztuka uwodzicieli.

— Sam się nazwałeś nareszcie — rzekł Dołęga.

— Najgorsze—odpowiedział ubocznie Zbarazki— że to panna i panna na wydaniu Nie obliczyłem, że niewinna sielanka tak się zawikła. Teraz niema rady — trzeba się o nią oświadczyć. Ale co z tego będzie? Zawsze nieszczęście czyjeś.

— Tej kombinacyi nie rozumiem.

— Jeżeli się oświadczę tak, aby mnie nie przyjęto — ha! trzeba zapłacić za nierozwagę! – to ona będzie nieszczęśliwa. Jeżeli zaś ożenię się, to znowu ja.

— Jakim sposobem możesz być nieszczęśliwy z tą śliczną, potulną kobietą, która pójdzie za tobą jak cień posłuszna?

— To wiem. Nawet nie będę potrzebował wysiłków energii, żeby ją poprowadzić, — ale moja rodzina mój tak zwany „świat“? Cóż ty myślisz, że moi rodzice i krewni tak sobie zgodzą się na to? albo, gdybym się uparł i ożenił, że nie zatrują jej łagodnie i systematycznie? Przeciwnie, jeżeli się ożenię z jakąś kuzynką, choćby brzydką i nieszczególną, wolno mi będzie z nią kochać się, albo kłócić, ale będę miał i ona będzie miała wszystkie przywileje i względy należne. To się nazywa tradycyą i patryarchalnością.

— Musisz to lepiej wiedzieć, Andrzeju, ale mnieby się zdawało, że rodzina twoja najbliższa, tak zacna, przyjęłaby doskonale tę synową, gdybyś był stanowczy.

— Ojciec — może? — ze względu na wielkie pomnożenie majątku. Matka — nigdy.

— Panna Halszka z pewnością dobrzeby ją przyjęła — rzekł Dołęga.

— Nie radzę ci jej wspominać o tem — odpowiedział Andrzej tonem nieco szyderczym.

Dołęga spochmurniał i opuściła go zwykła stanowczość: nie śmiał nic doradzać. Omówiwszy sprawę szeroko, odłożyli postanowienie do dni następnych.

XXV.

Już jadą — już są w Warszawie — za parę dni tu będą. Te wieści, przyniesione przez kilka depesz, zelektryzowały mieszkańców Waru. Najpierw mieli się zjechać niektórzy goście, potem książe Janusz, nareszcie hrabia Zbązki miał przywieźć głównie oczekiwanego.

Tego dnia popołudniu zapowiedział przyjazd swój Szafraniec i Hektor Zawiejski. Naokoło zamku krzątało się dużo ludzi: jedni przygotowywali fajerwerk w parku, drudzy grabili i podsypywali drogi; nawet przed mieszkaniem Marsowicza zjawiał się często ktoś ze straży leśnej lub z łowiectwa, żeby się dokładnie dowiedzieć o szczegółach zamierzonego polowania. Nawet księżna nie pisała listów, lecz chodziła po zamku, oglądając urządzenie gościnnych apartamentów. Tylko Andrzej nie mieszał się do niczego.

Dołęga ukończył już czynności swoje w łąkach, a dzisiaj chciał być obecny w zamku, bo spodziewał się jakichś ciekawych wiadomości od dwóch przybywających tryumwirów. Po obiedzie wyszedł

do parku i zastał tam Halszkę samą na placu tenisowym, próbującą piłki i rakiety.

— Niech pan sprobuje odrzucać mi piłki — rzekła do Jana — trochę się pan nauczy.

Dołęga stanął naprzeciwko i próbował, ale mu się nie udawało, choć był zręczny; myśl jego była bardzo daleko od gry.

— Czy pan ma emocyę przed przyjazdem gości? — zawołała zdaleka Halszka, rzucając piłkę pod nogi Dołędze.

— Ciekawym bardzo, co przywiozą — odpowiedział i chybił piłkę.

— Będzie polowanie, tennis, dużo ludzi, hu! — huknęła radośnie, jak rozbawiony chłopiec.

Przestali wkrótce grać i zeszli się na asfalcie, przy siatce. Upał i ruch zarumienił żywo twarz Halszki, rozrzucił trochę jej włosy. Oparła o słup obie ręce, położyła na nich podbródek i patrząc jaskrawo w twarz Jana, uśmiechnięta zalotnie, wyglądała, jak bóstwo leśne, a oczy jej zdawały się mówić:

— Dalej! goń mnie po krzakach! pocałuj! ale dobrze się zmęczysz, zanim dogonisz...

— Wygląda pani jak grecki chłopiec — rzekł Dołęga.

— Jak chłopiec? — powtórzyła Halszka, przechylając trochę głowę i mrużąc oczy.

— Może i nie?... tylko w każdym razie po grecku... jak dryada. Coś ma pani dzikiego w twarzy, co jednak nie psuje klasycznej formy.

— Ha, ha! mówi mi pan pierwszy raz takie rzeczy. To dziwnie słyszeć je od pana. I jeszcze jak wyglądam?

— Wygląda pani — brnął dalej Dołęga — jak księżniczka przebrana za pastuszkę: nie za pasterkę, nie tak, jak te figurki malowane na meblach i wachlarzach, pasące baranki w krynolinach, ale, jak coś zupełnie nowego: coś misternie rozbawionego. Żeby żył za naszych czasów jaki wielki rzeźbiarz, zrobiłby taką, jak pani. Młodość albo Szczęście...

Halszce bardzo się podobały te słowa. Zapytała:

— I pan kupił by taką rzeźbę?

— Nie miałbym za co.

— A żebym ją panu darowała?

— To wziąłbym. Są dary, których śmiertelnik odmówić nie jest zdolny.

Wtem zadudniła sklepiona brama zamkowa i zaskrzypiał żwir wewnętrznego podwórza.

— Jadą! — zerwała się Halszka z takiem ożywieniem, że aż Dołęga zapytał:

— Czy panią to tak niezmiernie cieszy?

— Będziemy się doskonale bawili — i pan z nami — prawda? niech pan się z nami bawi, a nie chodzi zamyślony. Do widzenia teraz... mistrzu Janie — rzekła, wyciągając do niego rękę z pewną tęsknotą.

— Do widzenia wkrótce — zadziwił się Dołęga.

— Będzie już trochę inaczej — odpowiedziała Halszka — w całej tej masie ludzi nie będziemy

mogli tak rozmawiać po naszemu. Później — znowu.

I pobiegła pędem po schodach na taras pierwszego piętra.

Przyjechali: Szafraniec, Zawiejski i Reckheim. Ten ostatni został zaproszony przez księcia Janusza w Petersburgu i nie omieszkał przyjąć zaproszenia. Wszyscy trzej przyjezdni udali się do przeznaczonych pokojów, aby się przebrać i ukazali się w salonach przed wieczerzą. Była tam już panna Temira Ostykówna, Halszka i Andrzej. Dołęga przyszedł także wcześniej, niż zwykle. Pierwszym rzutem oka objąwszy wielki salon, wyglądający już odmiennie z powodu kilku fraków, spostrzegł Reckheima, o którego przyjeździe nietylko nie wiedział, ale zapomniał nawpół o tym ceremonialnym cudzoziemcu; myślał, że gdzieś przepadł, a raczej, że siedzi w swej ambasadzie w Petersburgu. Obecność jego w Warze wydała się naraz Janowi czemś niesmacznem i szyderczem.

Szafraniec i Reckheim przywitali Dołęgę grzecznie, ale zimno. Hektor zaś rzucił się w jego objęcia z okazałością niemal protekcyonalną.

Dołęga zmierzył od stóp do głów kolegę, jego frak wymuskany, aksamitny kołnierz, złote guziki u kamizelki; poczem zapytał:

— No, wyglądasz tryumfalnie — jakie wieści przywozisz?

Zawiejski spojrzał na Szafrańca, następnie obaj razem spojrzeli na Dołęgę, wreszcie znowu na sie-

bie — i w tej mimice było coś tajemniczo wyższego, coś z porozumienia augurów wobec niecierpliwego tłumu. Ale tłum, przedstawiony tutaj przez jednego Dołęgę, nalegał:

— Cóż przywieźliście?

— Co przywieźliśmy? tak odrazu?... słyszysz Adamie? — zwrócił się Zawiejski do Szafrańca.

Dwaj młodsi tryumwirowie zaprzyjaźnili się bardzo ściśle podczas długiego pobytu w Petersburgu. Mówili sobie „ty“ i miewali długie poufne konferencye, z których Szafraniec wynosił wrażenie, że Hektor jest młodzieńcem „doskonale myślącym“, a sam czuł się coraz genialniejszym w pomysłach obywatelskich. Zbliżenie się młodego magnata z młodym działaczem wypadło na korzyść i ku zadowoleniu obydwóch.

— Przywozimy wiatr nowy — rzekł Szafraniec z marmurową powagą na powtórną interpelacyę Dołęgi.

Reckheim bawił panie; Andrzej chodził już znudzony po pokoju; nowi petersburscy przyjaciele odeszli w inny kąt salonu.

— Toś mu odpowiedział! — rzekł cicho Zawiejski, wskazując oczyma Dołęgę.

Szafraniec przełknął ślinę i, ująwszy się za oba wyłogi fraka, mówił tonem łaskawej przyjaźni:

— Powiedz mi Hektorze, czy to jest człowiek z którym można mówić otwarcie.

— Bardzo porządny człowiek, ale może nie

dosyć przygotowany... Nie chciałbym cię do niego zniechęcać, bo to mój kolega i przyjaciel..

— Rozumiem — rzekł Szafraniec — il n'est pas à la hauteur.

— No, skoro ty zawsze przenikniesz moją odpowiedź, to nie mam nic do dodania.

Wkrótce ukazała się księżna Hortensya, w najuprzejmiejszym humorze i skupiła gości około siebie.

— Samotność wiejska ma swój urok, ale trzeba jej używać w kilka osób. Dlatego podwójnie jestem państwu rada — rzekła, zwracając się głównie do Reckheima.

Podano wieczerzę, przy której toczyła się rozmowa o Petersburgu, o przyjęciach, o teatrach. Najwięcej mówił Reckheim, któremu, jako dyplomacie i pierwszy raz przybywającemu do Waru, księżna dała honorowe miejsce obok siebie. Sprawy dróg bitych nikt nie poruszył.

Przedłużono posiedzenie po kolacyi, aby doczekać się nowego przypływu gości, którzy przyjeżdżali wszystkimi pociągami, najwięcej w nocy, aby uniknąć upału. Księżna doczekała się przybycia pani Hohensteg i młodych Koryatowiczów, tegorocznych nowożeńców, poczem wszyscy udali się na spoczynek.

Nad ranem przyjechał książe Janusz z całą czeredą gości. Oboje Gnińscy z córkami, pani Kostkowa z córką, Kersten, Szydłowski, Włosek. Ten ostatni był rozpromieniony, bo mu się udało wpro-

sić pierwszy raz do Waru, a na takim połowie nowin z najwyższych sfer towarzyskich jeszcze nie był w życiu. Nazajutrz miało przyjechać jeszcze wiele osób z sąsiedztwa, o piątej zaś po południu — Zbązki i Zeller.

Tymczasem zamczysko przygarnęło w swe mury tę znaczną liczbę osób, a połowa jeszcze gościnnych pokojów stała pustkami. Świeża cisza pierwszego brzasku oblewała mury ogromniejące, bezbarwne; tylko przed tarasem parkowym i na okopach z trzech stron czworoboku, nocni stróże chodzili miarowym krokiem, strzegąc różnych snów, niewinnych i namiętnych, spokojnych i gorączkowych, które zamek ukrywał w swych komnatach.

Dołęga długo rzucał się na posłaniu, a gdy usnął, zdawało mu się, że wychodzi na wieżę zamkową, ale tak wysoką, jak strzała katedry w Kolonii. Z tej wyżyny obejmował ogromną przestrzeń kraju, na której widać było miasta i wsie, rzeki i lasy, pola uprawne i błota. On, oparty jedną ręką o chorągiew, zatkniętą na wieży, dawał znaki całej rzeszy robotników, prowadzących drogi, budujących mosty i koleje, i rzesza ta, oddalona o mile całe od niego, posłuszna była na jego skinieni . Nagle z krajów widnokręgu zaczęły wychodzić tłumy, niby wojska, ale bezbronne, owszem, strojne i tańczące — i tłumy te spędzały robotników. Gdy się zbliżyły, poznawał na ich czele całe wieczorowe towarzystwo. Zżymał się, wołał że nie wolno burzyć jego dzieła... Wtem Halszka ukazała się obok

niego na wieży, której wysokość nagle zmalała do zwykłych rozmiarów.

— Do widzenia ci, mistrzu Janie, przyszłam cię pożegnać, bo wychodzę za mąż, za Reckheima...

— Tu Dołęga obudził się, zerwał się z posłania, przetarł gwałtownie oczy — i nie spał już aż do rana.

XXVI.

Pan Norbert Zawiejski, należący oczywiście do zaproszonych gości, chciał okazać gorliwość całej okolicy w podejmowaniu grafa Zellera; namówił więc dwóch starszych obywateli okolicznych i udał się z nimi na stacyę kolei, aby powitać jak najwcześniej dostojnego gościa. Chybił jednak celu, bo dwaj podróżni, wysiadłszy z wagonu, nie widząc oznak zewnętrznych, jako to bukietów i fraków, nie domyślili się owacyi. Zeller nie znał Zawiejskiego, a Zbązki ledwie go sobie przypomniał po długim namyśle... Skończyło się zatem na pospiesznej i niezgrabnej wymianie kilku słów, poczem ta mała deputacya obywatelska zajęła miejsce w orszaku, przybywającym do Waru, między powozem głównym, a służbą i kuframi.

Powozy dostrzeżono już z wieży zamkowej. Książę Janusz, który zwykle przyjmował gości na pierwszem piętrze, zszedł dzisiaj wyjątkowo aż do dolnej sieni w towarzystwie Andrzeja i kilku mężczyzn. W bramie zamkowej ukazała się pyszna czwórka koni gniadych, zaprzężonych do staro-

świeckiej otwartej karocy na stojących resorach, woźnica i lokaj w wielkiej herbowej liberyi i znikające prawie w tym ogromnym aparacie dwie figury główne. Następnie wjechała bardzo podobna landara Zawiejskiego, trochę jednak wyglądająca na późniejszą kopię; dalej jeszcze dwa powozy ze służbą.

Zeller wysiadł pierwszy, zdjął czapkę, a zebrawszy ją z płaszczem w lewą rękę ruchem jakimś wojskowym, chociaż był po cywilnemu, zdjął rękawiczkę z prawej, uścisnął dłoń księcia Janusza i rzekł głosem głębokim, po francusku:

— Jestem doprawdy szczęśliwy, że udało mi się urzeczywistnić moje gorące pragnienie. Otóż wchodzę pod dach kochanego księcia, a jaki dach! — rzadkość prawdziwa!

— Jest to radość i zaszczyt dla mnie, — odpowiedział książę Janusz, chwiejąc poważnie siwemi kosmykami włosów około łysiny, i podnosząc naprzemian oczy na dużo wyższego Zellera.

Zbązki ucałował Janusza w milczeniu. Siwe jego oczy zdawały się pełne jakiejś hamowanej wymowy, ale powiedział tylko pół zdania:

— Do starych gniazd... — i pokiwał głową.

— Zlatują się orły, — dokończył Zawiejski, który już zdążył wysiąść i przychodził witać się ze Zbarazkim.

— Prawie — dodał hrabia Zbązki z zagadkowym uśmiechem.

Hrabia Zeller witał się z resztą mężczyzn.

— A! Przyjaciele ze stolicy! — zawołał dobrodusznie, wyciągając dłoń do Szafrańca i do Hektora Zawiejskiego.

Przedstawiono mu nieznajomych: Andrzeja, Koryatowicza. Dołęgi nie było w sieni.

Kersten, przy ozdobnym i dworskim ukłonie przypomniał hrabiemu, że miał zaszczyt go poznać przed dziesięciu laty na balu u książąt Dołhorukich w Petersburgu.

— A jakże! u Dołhorukich, — parfaitement, je m'en souviens.

Głosy tych dwóch ludzi były, rzec można, geograficznie przeciwne: Kersten cedził słowa, pieścił się niemi, wydawał je z siebie pod rachubą i w ściśle określonej, niewielkiej gamie. Zeller, owszem, mówił z głębi piersi, prawie z brzucha, słów nie liczył i puszczał głos na swobodę. Jeżeli głos Kerstena był południowy, to głos Zellera był północny; jeżeli jeden był zachodni, to drugi wschodni.

— Może kochany hrabia pozwoli na herbatę, albo każe ją sobie przysłać do swoich pokojów? — pytał książę Janusz.

— Stosuję się do waszych zwyczajów... ja tu wasz niewolnik, — mówił Zeller, zacierając ręce i kłaniając się rozgłośnie.

Odprowadzenie gości do ich apartamentów zakończyło tę scenę.

Przed wieczerzą była narada księżnej Hortensyi z mężem, jak posadzić gości. O pierwszem miejscu nie dyskutowano, należało się, oczywiście

Zellerowi; ale po drugiej stronie obok księżnej kto ma usiąść: Zbązki czy Reckheim? Kto ma kogo prowadzić do stołu? Reckheim już wczoraj otrzymał pierwsze miejsce... Stanęło na tem, że Zbązki poda rękę pani Gnińskiej i usiądzie przy pani domu; książę Janusz poprowadzi panią Kostkową; Reckheimowi przeznaczono pannę Temirę i ułożono resztę, poczem długi spis tej kombinacyi powierzono Marsowiczowi.

Burgrabia prosił, aby mu wolno było w dniach tych uroczystych objąć zaniechane już dawno funkcye. Wyprostował się, jak mógł, w swym staroświeckim fraku i, ująwszy wielką laskę w rękę, celebrował. Przedstawił go najprzód książę Janusz hrabiemu Zellerowi, jako starego przyjaciela domu. Zeller w lot zrozumiał, że trzeba mu podać rękę Marsowicz skłonił się nizko, dotknąwszy końcem palców podanej dłoni. Poczem chodził po sali, obwieszczając każdemu kolejno:

— Jaśnie oświecony książę zechce poprowadzić do stołu jaśnie wielmożną hrabinę... i t. d.

Muzyka ozwała się na tarasie i orszak przeszedł parami do sali jadalnej.

Mimo wszelkie starania, więcej było mężczyzn, niż kobiet przy stole, to też w jednem miejscu skupiło się kilka fraków koło siebie; do liczby tych nieparzystych należał Dołęga i obok niego siedzący Andrzej Zbarazki. Jan był bardzo rad z sąsiedztwa, wolał je znacznie od obowiązku bawienia jakiejś trzeciorzędnej, nieznajomej pani. Przedstawił się

Zellerowi przed obiadem, ale, choć grzecznie powitany, nie usłyszał nic wspólnego z projektem szos, którego losy zależały rzekomo od Zellera. Ujrzał tylko bystre oczy hrabiego, bystrzejsze dużo od ogólnie dobrodusznej jego fizyognomii, pytające niby:

— Co to za jakiś dzielny chłopiec, który odbija od reszty towarzystwa?

A spokojny, jasny wzrok Dołęgi mówił:

— Ja właśnie podjąłem sprawę, dla której pan przyjeżdża.

— Proszę mi nie przeszkadzać w zabawie — odpowiadały czarne oczy Zellera.

Wieczerza powitalna była stosunkowo krótka, dzięki radom pani Hohensteg, która znała się wybornie na urządzaniu i stopniowaniu zmysłowych rozkoszy. Ogólną uwagę zwracała na siebie pogodna, męska twarz Zellera, jego ruchy nieco szorstkie, zaledwie siwiejące faworyty, przystrzyżone modą wojskową z przed lat dwudziestu pięciu, maniery swobodne, jednak bynajmniej nie prostackie, owszem, świadczące o znajomości świata i swojego wysokiego stanowiska. Towarzystwo, zebrane w Warze, nadto było wykwintne, aby dało po sobie poznać, że się komukolwiek przygląda; notowano każdy ruch, każde słowo Zellera, a wyglądało to, jakby go wszyscy znali oddawna. Chyba z kątów, na które nikt nie zwracał uwagi, jakaś stara para oczu wpatrywała się uparcie w główną postać: Marsowicz, panna de Radenac. Dołęga też, że sie-

dział opodal, mógł się swobodnie przyglądać. Bardziej jeszcze, niż postać Zellera, nęciła go twarz Zbązkiego.

Był to już stary człowiek o bardzo cienkich, rasowych rysach. Wygolona zupełnie twarz z zaciśniętemi wargami, była dumna, ale i kwaśno uprzejma; oczy prawie białe, szkliste, osadzone jednak pod myślącemi brwiami, nie dawały odgadnąć intencyi rzadkich słów, zwykle niejasnych, któremi się odzywał. Jak na swój wiek miał postawę prostą i okazałą, głowę tylko pochylał, niby pod ciężarem myśli. Co to za człowiek? — pytał się sam siebie Dołęga po raz dziesiąty. Wielki dyplomata?... ale w jakim kierunku? Skąd ten wpływ jego na Zbarazkich, ba, nawet pewna aureola nietylko u panów?...

— Czy Karol Wielki, jak go nazywasz, jest dzisiaj w dobrym, czy złym humorze? — spytał Jan Andrzeja — bo ja nic nie rozumiem tej twarzy.

— Nie pytaj, zuchwalcze! — odpowiedział Andrzej, podnosząc trochę obie ręce — to są głębie niedocieczone, których nie wolno badać. trzeba wierzyć w niego i na tem poprzestać; on jest dogmatem, nie podlega dyskusyi. Widzisz, naprzykład, teraz: położył stanowczo pięść na stole, zaciął usta i spojrzał na moją matkę. Moja matka, oczywiście, potakuje głową. To już coś zapadło, skończyło się, już jest w teoryi nieodwołalne. Czy ten wyrok był o polityce, czy o wychowaniu dzieci, czy o przyprawie tej sałaty — niewiem, ale był to wyrok.

I teraz nic nie powie przez pięć minut przynajmniej, przeżuwa swoją mądrość — o, patrz!

— Ależ ty „urządzasz“ swego wuja! — zaśmiał się Jan.

— Jest to zbrodnia, wiem; to też mówię tak tylko z tobą. Gdybyś mnie wydał, zostałbym wydziedziczony.

— Ja się jednak kiedyś muszę dowiedzieć, co ten człowiek myśli — rzekł Dołęga.

— Nigdy się nie dowiesz; ja go znam od dzieciństwa, a nie mam o nim pojęcia, Wiem tylko, że ma pozory wodza. Jednak pod Solferino dowodził kto inny, a i od tego czasu nie słyszałem o żadnych zwycięstwach pana Karola, chyba o moralnych... te zaś nie są jeszcze ocenione przez historyę. A na dobitkę — nudzi mnie, jak mało kto.

Po wieczerzy, ordynkiem poprzednim udano się na kawę, zastawioną na tarasie. Ozwały się stłumione okrzyki:

— Jak tu przyjemnie! Jak tu pięknie!

Cały park był iluminowany. Szeregi lampionów rysowały skręty dróg po pochyłościach, to znów przepadały w ciemnych masach drzew; na trawnikach iskrzyły się wzorzyste różyce, z wyższych murów zamku gdzieniegdzie płynęły zabarwione dymy. Dopiero z rzeki u podnóża góry buchały ogromne ognie, na których tle niektóre drzewa wyglądały jak czarne koronki, rzucone na jaskrawe atłasy. Wysoko ponad park śmigały race, porywając za sobą oczy widzów w czarny błękit nocy,

na którym pękały, zakwitały i nikły snopy sztucznych meteorów. Nerwowa tęsknota, właściwa iluminacyom, wspaniały dobrobyt zamkowej wieczerzy, zapachy nocy letniej — złożyły się na ucztę dla serc i zmysłów.

Romantyczni i młodzi zaraz rozsypali się po parku. Na tarasie została starszyzna: księstwo Zbarazcy, pani Kostkowa, Gnińscy, Zeller, Zbązki; Norbert Zawiejski dla zaszczytu poufnej rozmowy, Kersten dla przyzwoitości i Włosek przez ciekawość.

Tylko stary Szydłowski, który nienawidził iluminacyi, „bo to z tego i swąd, i pożar być może“. poszedł z cygarem do biblioteki czytać gazety.

Po parku zaczęły błądzić postacie zmienne stosowne do oświetleń: to jasne kobiecemi sukniami w cieniach, to czarne, jak szatany we frakach, na tle łuny, bijącej od rzeki. Grupowały się zrazu gęściej, potem po trzy i po dwie rozchodziły się w różnych kierunkach.

XXVII.

Ciotka Temira nie mogła wytrzymać na górze i dała się Halszce sprowadzić do parku. Tam siadła na ławce i stanowiła niby oś wirujących naokoło rozmaitych, mniej więcej miłosnych, pragnień. Od czasu do czasu jedna z pań przysiadła się do staruszki dla dowodnego okazania, że się nie oddala od towarzystwa i nie ma podejrzanych zamiarów.

Panny trzymały się razem: Halszka, Zosia Kostkówna, dwie Gnińskie; z niemi młoda księżna Koryatowiczowa, przyjaciółka Halszki. Szły rzędem, albo kupką, której układ zmieniał się czasem przy zwrotach i skrętach. To grono jasnych sukien, różowych twarzy i ramion oblegały fraki dobrego kroju na mniej więcej pokaźnych torsach młodzieży. Reckheim manewrował, aby być bliżej Halszki, ale ona zwracała się dzisiaj do Szafrańca, który może podpił sobie przy wieczerzy, bo go zwykła powaga mniej dławiła: ruszał się żywiej i wyglądał sympatyczniej. Hektor Zawiejski rozmawiał ze starszą panną Gnińską, nieładną, ale wy-

sokiego urodzenia. Koryatowicz dowodził coś o wyścigach konnych paru młodzieńcom z sąsiedztwa, śledzącym uważnie ruchy, ubiór i zwroty mowy arbitrów elegancyi. Dołęga zaś szedł na skrzydle tego oddziału, milcząc.

Pośród jednego z niższych trawników, widocznych z tarasu zamkowego, bił wodotrysk, oświetlony dzisiaj ogniem bengalskim. Halszce przyszła myśl, aby się panie ugrupowały na ocembrowaniu wodotrysku, a mężczyźni u ich nóg. Tak się zapaliła do tego pomysłu, że już biegła w tamtą stronę wązką ścieżką między trawą, zostawioną tylko na przejście dla ogrodnika.

— Halszko! tam rosa! nogi zamoczysz! — wołał Koryatowicz i wstrzymał żonę, która już się wybierała za Halszką.

— Potrzeba nam tylko pań i panów na trzy grupy, aby je widać było od tarasu — wołała Halszka. — No, czy nikt nie pójdzie za mną?

Panna Kostkówna i panna Gnińska zdecydowały się. Z mężczyzn ruszył zaraz Reckheim, Szafraniec i Zawiejski. Tylko Dołęga pozostał z Koryatowiczami i resztą ociągających się.

Przy fontannie okazało się jednak, że brzeg cembrowania jest zupełnie mokry i dochodzą do niego odpryski wody. Mimo to Halszka, rzuciwszy chusteczkę z ramion na mokry kamień, usiadła w malowniczej pozie i rzekła:

— Teraz kto chce niech przedemną klęknie.

Natychmiast Reckheim i Szafraniec, nie zważa-

jąc na kurz i rosę, upadli do nóg Halszki w pozach umierających gladyatorów. Rozśmiała się wesoła dziewczyna i podniosła okrągło rękę do góry, jakby ukazując dwóm mężczyznom jakiś ponętny cel, a ostre światło bengalskie ujednostajniając barwę tej grupy, nadawało jej rzeczywiście coś posągowego.

Inne panny nie próbowały pozować; sądziły, że za mokro, a może nie chciały wystawiać się na porównanie z Halszką. Choć próba żywego obrazu przy wodotrysku nie zupełnie się powiodła, kompania młodych, zelektryzowana, rozhulała się: to biegła na wyścigi, to śmiała się rozgłośnie, to znów ktoś się wymykał i stawał w krzakach, udając widmo, a wesołe głosy poczęły rosnąć tak bardzo, że rychło spodziewać się można było jakiegoś poselstwa od starszych dla uciszenia tej wrzawy. Jakoż po chwili spostrzeżono kogoś idącego od zamku. Był to tylko Włosek, który, nasłuchawszy się rozmowy na tarasie, przychodził stwierdzić osobiście, co się dzieje w parku. Choć starszy, był on zawsze gotów do wszystkiego, byle nie wychodzić z wysokich sfer towarzyskich. Długi jego nos uśmiechał się uprzejmie:

— Pytają tam na górze, co tu się dzieje. Hrabia Zeller powiedział, że mu to przypomina jego szkolne wakacye na wsi. Parole d'honneur — powiedział.

— A panu czy się nie przypominają jakie szkolne figle? — zawołała rozbawiona Halszka —

możeby pan fiknął koziołka na drożce, panie Włosek?

— Jak kto da przykład, to i owszem — bronił się nowoprzybyły.

— Gdzie pan bywał w szkołach, panie Włosek? — rzekł Koryatowicz — niech nam pan opowie coś ze swego dzieciństwa. Było to w roku pańskim?...

— Tak, tak, niech pan opowie coś z dzieciństwa — wołały panny.

— Albo niech pan stanie na fontannie, na wierzchu, i udaje Neptuna, a my siądziemy naokoło, jak najady — rzekła znowu Halszka.

Dość niepoczesna figurka Włoska w postaci Neptuna rozśmieszyła wszystkich.

— Ja robię zawsze, co panie każą — odpowiedział Włosek.

— Dalej! na fontannę! — zawołała Halszka.

I posypały się na głowę Włoska różne tanie żarty, i śmiechy jeszcze urosły. Tylko Dołęga przypatrywał się tym scenom bez uśmiechu. Nie było w nich nic wyraźnie nagannego, ale coś ściskało za serce nieświadomego romantyka: chciałby tę wykwintną młodzież widzieć bawiącą się inaczej, chciałby szczególniej Halszkę widzieć inną... Przebiegała właśnie koło niego i trąciła go mocno ramieniem.

— A! przepraszam — to pan! dlaczego pan tak milczy?

— Żeby nie było jeszcze głośniej — odrzekł Dołęga.

— Wygląda pan jak półtora nieszczęścia.

— Dość mam jednego, swojego... chyba, że pani chce mi dodać połowę.

— E! niech pan nie nudzi.

I przeszła do śmiejących się.

W innej, cienistej części parku toczyła się dużo bardziej znacząca rozmowa pani Hohensteg z Andrzejem. Oddalili się natychmiast od reszty towarzystwa. Tylko pani Iza, wyglądająca dziś wspaniale w niebieskiej wygorsowanej sukni, pachnąca, jak kwiat jakiś indyjski, nie spodziewała się natrafić na dziwny humor Andrzeja, tem bardziej, że przez cały dzień był uprzejmy i wydawał się wesołym. Skoro tylko oddalili się i zasłonili dostatecznie, pani Iza ujęła Andrzeja za rękę i nachyliła ku niemu głowę; była tak wysoka, że włosy jej sięgały twarzy Zbarazkiego. Ale Andrzej postępował sztywno, zamyślony.

— Co ci jest? czy oczadziałeś od iluminacyi? — pytała pani Hohensteg wesoło i zalotnie.

Andrzej, zamiast odpowiedzi, zaczął śpiewnym swym słosem deklamować „Tannhäusera“ Heinego:

Frau Venus, meine schöne Frau,
Von süssem Wein und Küssen
Ist meine Seele worden krank —
Ich schmachte nach Bitternissen...

— Nigdy wiersz nie stosuje się dokładnie do usposobienia — ciągnął dalej Andrzej, bo ja się nie wyrywam do goryczy, — mam jej aż nadto. Trzebaby zmienić ostatni wiersz..

— Naprzykład tak: „Ich schmachte nach anderen Küssen“ — zapytała Iza.

— Rymowałoby wtedy: Küssen i Küssen... a naprawdę w żadnym języku nie rymują jedne pocałunki z innemi pocałunkami...

— Do czego to zmierza?—rzekła pani Hohensteg mniej wesoło — czy do jakich zawodów twoich? Kręcisz coś...

— Nie kręcę, ale zawracam do sprawy, o której muszę z tobą pomówić. Liczę na przyjaźń twoją i na współczucie. Doszedłem do takich zawikłań, że będę się musiał ożenić.

— Andrzeju! — krzyknęła głucho Iza.

Zbarazki był przekonany, że ona, a nie kto inny, napisała list bezimienny do Maryni; miał nawet tego poszlaki. Był mocno oburzony na Izę, ale, czując wstręt do scen i gwałtownych wyrzutów, postanowił dręczyć ją spokojnie.

— Zgadujesz zapewne z kim, moja droga. Różnice stanów są ostatecznie przesądem, a osoba, o którą chodzi, ma tyle osobistej dystynkcyi, że potrafi być księżną Zbarazką. Namyślałem się jednak długo, gdy tymczasem zaszły pewne wypadki, które postanowienie moje muszą przyśpieszyć.

— Wypadki? — więc doszło między wami do wypadków?

— Nie do takich, jak sądzisz — te panie z mieszczaństwa nie są do nich tak skore... Ktoś obraził pannę, o której mowa, a dokładniej mówiąc: zrobił jej świństwo; że zaś to się stało z powodu mnie, więc ja za nie odpowiadam.

— I poskarżyła ci się ta niewinna? Jesteście widocznie w bardzo ścisłem porozumieniu?

— Nie ona mi się poskarżyła, ale jej ojciec przysłał mi list, który ktoś bezimiennie ośmielił się posłać do jego córki. Ten list wyszydza jej stosunek ze mną. Teraz więc rozumiesz, Izo, co mi pozostaje do czynienia.

— Rozumiem tylko to, że te łyki umieją skorzystać ze wszystkiego, aby cię złapać, a spekulują tutaj na twoją naiwną rycerskość. Kto wie, jakie listy otrzymuje i może jeszcze otrzymać ta przebiegła mała... bo widzę, że jest sprytna: umie spieniężyć lada świstek papieru.

— Może byś była łaskawa oszczędzać mi słów niepochlebnych o mojej przyszłej żonie. Mam nadzieję, że uczynisz to dla mnie.

— To nie prawda, Andrzeju! — rzekła Iza gwałtownie — ty się nie chcesz żenić, chcesz mnie tylko dręczyć!

— Ciebie? za co? za wszystkie twe dobroci? za piękne dni minione? Owszem, nie zapomnę cię nigdy, Izo, a jeżeli cię uprzedzam o koniecznościach, które...

— Nie prawda, drogi mój! tyś nie stworzony do mieszczańskiej zupy przy kominku, tyś nadto

wrażliwy i subtelny, żeby cię życie tak marne, tak szanownie podłe mogło zadowolnić. I byłbyś chyba szaleńcem, gdybyś to zrobił, nie mówiąc już o mnie... Czy ci potrzeba tak bardzo pieniędzy? czy ci nie dobrze, nie miękko, nie szeroko w twoim własnym świecie?

To mówiąc, położyła mu swe nagie ramiona około szyi i wpatrywała się w niego błyszczącemi oczyma.

— Wiem, przyszła fantazya memu kapryśnemu panu spróbować swego uroku na mieszczańskiej dziewczynie... wiem i przebaczam ci — już przebaczyłam — więc i ty mi przebacz i nie mścij się na mnie.

— Co ci mam przebaczyć, Izo?

— Że napisałam ten list. Bo ja go napisałam, a skoro doszedł do ciebie, wiedziałeś odrazu, że to ja. Ale zrozumiej — że...

Andrzej ujął mocno obie ręce Izy za kostki, poniżej dłoni i, odepchnąwszy ją na krok od siebie, mówił, trzymając ciągle jej ręce:

— Przyznajesz się do tego?!... więc któż ty jesteś?

— Nazwij mnie jak chcesz... powtórz, coś już powiedział, że to świństwo, ale zrozumiej, że dla ciebie to uczyniłam. Ja sobie nie dam wydrzeć ciebie, mój jedyny... Ja nie kochałam tak nigdy duszą i ciałem, jak ciebie kocham...

Śledziła wyraz oczu Andrzeja, wychylona ku niemu, z rękoma zatrzymanemi w kleszczach jego dłoni, ale podana cała naprzód, dysząca rozkoszą.

— Wierzę ci, Izo — ale nie idzie za tem, żebyś krzywdziła kobietę, dla której mam najlepsze uczucia.

— Ach, nie mówmy o tamtej — targnęła się Iza — nie mówmy przynajmniej teraz! Ona nie istnieje, jest tylko twojem przywidzeniem. Istnieje jedynie wielka wolna miłość. Andrzeju mój! patrzże na mnie... ja cię przepraszam, błagam o przebaczenie — nikogo w życiu nie przepraszałam. Andrzeju! potrzebuję ciebie, aby żyć. aby jeszcze żyć... Czym nie warta twojej miłości? Patrzże na mnie!...

W dochodzącym tu jeszcze blasku iluminacyi oczy jej rzucały tragiczne ognie, usta aż się kurczyły od pragnienia, a postać tak namiętnie i szczerze wyrywała się do uścisku, że Andrzej pomyślał błyskawicznie:

— Jednak ona strasznie piękna... i cierpi...

A potem puścił jej dłonie.

Wtedy ona rzuciła mu gwałtownie ramiona na szyję i oplotła go całem swem wonnem, giętkiem ciałem, niby jednym wężowym pocałunkiem.

— Moje dziecko!... mój panie!... moje życie!... — szeptała mu od ust do ust.

XXVIII.

Następnego dnia o świcie już myśliwi byli w lesie. Z powodu upału, polowanie miało trwać tylko do południa — i wystarczyło tego czasu, gdyż Kordysz, dowodzący z konia łowami, tak je wybornie urządził, że do południa zabito już mnóstwo dzików, kozłów, lisów i kaczek. Innej zwierzyny nie strzelano.

Hrabia Zeller, jak się okazało, zawołany myśliwy i wyborny kompan, jeździł na bryczce z Andrzejem i z hrabią Gnińskim. Z tym ostatnim zwłaszcza, jako z rówieśnikiem, wszedł w doskonałą komitywę. Bo też Gniński był rzeczywiście nader uprzejmym człowiekiem, grzeczność jego była równa dla wszystkich, i wyrażała się przez wielki, swobodny ukłon; mówił płynnie i zabawnie, i czy rozmowa toczyła się o ważnych, czy o drobnych rzeczach, Gniński nie pozbywał się nigdy uśmiechu, rozświecającego stale jego piękną twarz optymistyczną. Bynajmniej nie pokorny, był on jednak giętki i w ruchach, i w zdaniu, nie bardzo dbał o postawienie na swojem, — chciał przedewszyst-

kiem, żeby go ogólnie kochano. Usłużny, przedsiębiorczy, pilnował swych interesów, ale i dla drugich był zdolny do lekkich poświęceń. Wszystkich znał, każdego cenił i szanował.

Ten pomocnik był dla Andrzeja nieoszacowany w dzisiejszem zajęciu podejmowania dostojnego gościa. Jakoż Gniński, opowiedział Zellerowi, choć niedokładnie, o wielkości terytoryum Waru, o historyi zamku, i pokazał kierunek projektowanych szos. Gniński, stojąc obok Zellera na stanowisku, ustąpił mu strzału do ogromnego odyńca. I jeszcze Gniński dodał komentarz, gdy, przy powrocie myśliwych do Waru, zabrzmiała stara pobudka:

Marsz moje serce!
W pobudkę biją,
Strzelaj mordercę
A chwal Maryą —
Boś u Maryi
Towarzyszem w regimencie,
Podaj się ty Jej
W opiekę święcie...

— To jest, panie hrabio, fanfara zamkowa z siedemnastego wieku; napół fanfara, napół modlitwa, niezupełnie już dzisiaj zrozumiała, ani zastosowana do naszych zwyczajów, ale nie bez wdzięku.

— Oui, très chic — rzekł Zeller.

I słuchał dalszych zwrotek.

— Coś i o Tatarach jest w tym śpiewie — zauważył znowu Zeller — musi być jakaś pieśń wojenna?

— Jest tam i o Tatarach, i o niebie, i o wszystkich Świętych... Możeby skinąć na trębaczy, że już dosyć?

— Skąd znowu?! Ja słucham z przyjemnością.

Więc popłynęły wszystkie zwrotki hejnału, jedna za drugą. Ale przeszkadzało coś dzisiaj urokowi pieśni. Pobudka przedźwięczała mniej buńczucznie, nieśmiało jakoś, w skwarnej ciszy południa.

Śniadanie miało być tego dnia zaraz po łowach, a obiad wieczorem o ósmej. Gdy się myśliwi rozeszli, aby zmienić ubranie, książę Janusz rozpytywał Kordysza o wynik polowania. Przy rozmowie był Marsowicz i Szafraniec, który, przeglądając się w lustrze, poprawiał lekkie nieporządki myśliwskiego stroju, choć go miał zaraz zmienić.

Łowczy odpowiadał obficie na zapytania:

— Ano, proszę księcia pana, padło 15 dzików, 32 kozły i 3 lisy. To jak na lipiec i do południa — niby nieźle.

— Wybornie, panie Kordysz, wybornie!... A cóż zabił graf Zeller?

— Pięć dzików, proszę księcia pana, i tego tam drobiazgu jeszcze kilka. No, stawiałem go, jak nieboszczyka ojca waszej książęcej mości, któryto nie dał się nigdy nikomu przestrzelać.

— Strzela dość pewnie? Prawda, panie Kor-

dysz? — odezwał się Szafraniec, wiążąc krawat przed lustrem.

— Dobrze strzela — rzekł łowczy — a jak gada! Głos, proszę księcia pana, ma do komendy. Odrazu po wszystkiem widać, że to personat.

Książę i hrabia porozumieli się uśmiechem, zdziwieni, że prosty człowiek zauważył to samo, co oni.

— Ale pan hrabia to strzela gracko! — dodał Kordysz, zwracając się do Szafrańca — pan hrabia jest zaraz drugi po grafie.

— Książę Koryatowicz zabił więcej sztuk, o ile mi się zdaje — rzekł Szafraniec, marszcząc brew ze skupieniem.

— Może jaką jedną, ale takich dwóch odyńców nie ma, i oba pan hrabia położył na swoich stanowiskach... ho, ho, będą ważyły po pięćset funtów.

— Jednem słowem, panie Kordysz — rzekł Zbarazki — uważałeś, że graf Zeller był zadowolony?

— Jeszcze jak!

— I pobudki naszej nie zganił — dodał Marsowicz, chowając brodę w halsztuch i przełykając ślinę, jakby się wyrwał z czemś zuchwałem.

— A nie zganił — rzekł książę — masz racyę, panie Franciszku; dobrze, żeśmy jej nie pominęli.

Trzeba się było rozejść i ubierać.

Książę Janusz pożegnał łowczego uprzejmym ruchem ręki i rzekł:

— Proszę dzisiaj na obiad, o ósmej, we fraku.

— Pokornie dziękuję waszej książęcej mości.

Po śniadaniu wielu myśliwych powymykało się do swoich pokojów, aby powetować sobie niedospaną noc poprzednią i zmęczenie poranka. Zeller, gdy mu stary Zbarazki ten spoczynek zaproponował, był uradowany.

— O wszystkiem myśli kochany książę! Doprawdy, tu jak w raju!

Dołęga zaś sądził, że dzisiaj po południu będzie jakaś rozmowa o interesach, coś w rodzaju posiedzenia. Wczoraj już czynił sobie wyrzuty, że zamiast pozostać na tarasie z Zellerem, poszedł do parku. Ale ani wczoraj, ani dzisiaj nie zanosiło się na nic podobnego. Jan, przykro usposobiony, poszedł do swego pokoju.

Siadł przy stole, na którym były ułożone papiery, tyczące się tej, już niemal starożytnej, sprawy dróg bitych. Przygotował je wszystkie, porobił nawet trochę notat, mogących służyć do połączenia projektu z budową kolei. Roboty w łąkach już ukończył, siedział więc nad jedyną sprawą, tłómaczącą jego pobyt w Warze. Oparł głowę o ręce i długo patrzył na okładki swoich projektów.

— Cóż u licha? Czy oni mnie zupełnie już nie potrzebują? Ani słowa o koncesyi, ani słowa nawet o szosach. Jeżeli mędrkują tam bezemnie, po co mnie wzywali? Gdyby zrobili już coś określonego byłbym przecie potrzebny...

Siedział tak posępnie, nic nie mając do roboty. Zaczęta książka nudziła go. Spostrzegł między pa-

pierami spis dzieł, wybranych przez siebie do czytania dla Halszki — i gorzko uśmiechnął się:

— Bardzo ona dba o to... to było dobre tylko na czasy nudy.

Wtem z oddalenia doszedł go radosny, przenikliwy krzyk kobiecy.

— Czy to jej głos?

Okna pokoju Dołęgi wychodziły na park i były obecnie otwarte, ale zasłonięte od słońca, które zaczynało już w nie zaglądać. Podniósł roletę i zobaczył, w oddaleniu jakich stu kroków, partyę tennis'a.

Halszka z Reckheimem grała przeciw Andrzejowi z Koryatowiczem. Pani Hohensteg i kilka pań, pod osłoną drzew, przyglądały się partyi.

Reckheim musiał być silnym szermierzem, bo trzymał pole przeciwko Andrzejowi, znanemu z dobrej swej gry; Halszka i Koryatowicz walczyli jako siły drugorzędne. Gracze bez surdutów, w kolorowych koszulach i jasnych spodniach, Halszka w różowej bluzce i krótkiej sukiennej spódniczce, — stali naprzeciw siebie, mierząc się uważnie wrokiem. Halszka zaczynała grę i, choć dość silnie puściła piłkę pod same nogi Andrzeja, ten ją odbił z wielką łatwością, zgrabnym obrotem rakiety i puścił ponad samą siatką, między stanowiska przeciwników. Halszka podbiegła, ale zapóźno, więc zawołała głosem prawie rozpaczliwym:

— Panie Reckheim, panie Reckheim! Dla pana piłka!

Uważny i zręczny Niemiec rzucił się szybko w tył, na sam brzeg asfaltu, i odbił piłkę w bok do Koryatowicza, który już nie zdołał jej podchwycić rakietą. Była to widocznie piłka, stanowiąca o wygraniu partyi, bo wszyscy czworo zeszli się razem do siatki, ocierając czoła. Halszka wdzięcznie przemówiła do swego współgracza Reckheima, który przyczynił się do jej tryumfu, a on skłonił się głęboko. Słów tych Dołęga nie dosłyszał.

Znowu ułożono partyę z tych samych osób, tylko na odwrotnych polach. Teraz Dołęga widział Halszkę naprzeciwko i, ponieważ miał wzrok dobry, mógł ją obserwować. Dziewczyna zdawała się całą duszę kłaść w grę: groźnemi oczyma wypatrywała piłkę i odbijała ją, zacinając usta. Gdy chybiła, rzucała w tył głowę niecierpliwie, to znowu biegła pędem do piłki, jak gdyby odbicie jej uważała w tej chwili za najważniejszą sprawę życia.

Dołęga patrzył i na mężczyzn. Ta gra, pozornie prosta, uwydatniała nietylko fizyczne postacie, ale trochę i charaktery grających. Andrzej był, jak zwykle, spokojny, giętki i estetyczny; w jasnym ubiorze, w rozłożystym białym kapeluszu, wyglądał posągowo i zwycięsko. Jasna broda i angielska czapka Reckheima mniej wprawdzie nadawały się do rzeźby, ale cały strój dobrze uwydatniał skupienie jego energicznej twarzy, dokładność i elegancyę ruchów. Jeden tylko Koryatowicz, choć niebrzydki chłopiec, wyglądał pretensyonalnie, a grał

zazdrośnie: zawsze, po nieudanej piłce, miał coś komuś do zarzucenia: to wskazywał rakietą, że nie on był powinien piłkę odbić, to się sprzeczał, że rzut był nieprawidłowy, to wynajdywał wady w asfalcie.

Znowu partya zmieniła się: stanęła teraz do walki pani Iza. Koryatowicz i Hektor Zawiejski. Andrzej się poświęcił i grał w tej partyi, bez porównania słabszej. Pani Iza nie udawała nawet, że gra dobrze: odbijała piłki niedbale, nie biegała zawzięcie, ale miała sposobność przeginać swą piękną kibić, której kształty plastycznie falowały pod blado-zieloną bluzką, tupać zgrabną nogą, odsłoniętą powyżej kostki i przybierać mnóstwo postaw zmysłowo wyzywających. Była rozpromieniona i spoglądała na Andrzeja, z jakąś fizyczną wdzięcznością, pośrednią między pokorą a tryumfem.

Tymczasem Halszka odpoczywała na ławce, obok Reckheima. Dołęga, nie słysząc ich rozmowy, widział tylko jej mimikę. Młody dyplomata bardzo skwapliwie coś tłómaczył, o coś pytał, skłaniał głowę potwierdzająco po każdem odezwaniu się księżniczki — widocznie podziwiał ją, albo jej pochlebiał. Halszka śledziła grę, jednak zwracała się do mówiącego często, i z tym uśmiechem nagłym, promiennym, stanowiącym szczególność jej wdzięku. Wreszcie uderzyła poufale Reckheima po ręce i wskazała mu coś przed sobą ruchem głowy. On zerwał się, pobiegł do stołu, gdzie stały przygotowane napoje, i przyniósł szklankę wody z winem.

— Ha! Są w najlepszej przyjaźni! — stwierdzał Dołęga ze swego obserwatoryum, przygryzając wargi — nawet wydaje się ona swobodniejszą z tym obcym człowiekiem, niż ze mną... Tak, to jest przyjaciel naturalny, przyjaciel z „jej świata“, sprzymierzeniec urodzony jej wszystkich przyzwyczajeń, instynktów, kaprysów... Będzie z nich nawet dobrana para... Potem ona zostawi gdzieś za granicą swojego Reckheima, jak tamta swego Hohenstega... Nie! wpadłem w jakiś sen niezdrowy! Co ja tu myślę? Co ja tu robię?

Spuścił roletę, nie chcąc dalej patrzyć na ten świat i na ludzi; ale w mieszkaniu swem nie mógł dłużej wytrzymać, i poszedł kogoś szukać po zamku, byle zmienić wrażenia i ochłonąć z nerwowego niepokoju, który go ogarniał. Może znajdzie gdzieś pannę Temirę, której niema przy tennisie?

W wielkiej galeryi otwartej, ciągnącej się na pierwszem piętrze wzdłuż jednego z murów podwórza, spostrzegł Zbązkiego, przechadzającego się wolno po kamiennej posadzce. Starzec, mimo upału, miał na sobie czarny, zapięty surdut z rozetą jakiegoś orderu; prawą rękę opierał o laskę, lewą zatknął za guzik surduta. Postać prosta, głowa sucha i strój ten nadawały mu pozór bardzo uroczysty.

— Ha! — pomyślał Dołęga — nic mi się gorszego stać nie może; zaatakuję tę mumię, może czegoś się dowiem?

Ponieważ Zbązki nie był na polowaniu, ani na-

wet na śniadaniu, Dołęga miał powód przywitać się z nim i zapytać o zdrowie. Nasłuchawszy się dosyć o trudnym przystępie do tego pana, zbliżył się z wielkiem uszanowaniem, chcąc go dobrze usposobić. Po uprzejmem zapytaniu Dołęgi, Zbązki zatrzymał się, a mierząc go wzrokiem, niby zbudzonym ze snu, rzekł, nie podając mu ręki:

— Dzień dobry, młodzieńcze... kto jesteś?

— Miałem już zaszczyt wczoraj i dawniej...

— Tak, tak — rzekł Zbązki, przecierając czoło — przypominam sobie... pan Dołęga... szosy...

— Istotnie, panie hrabio, jestem autorem projektu, który pan raczył popierać w Petersburgu. Czekam tutaj na wezwanie, gdyż będą prawdopodobnie narady w tym przedmiocie, a wtedy panowie zechcą zapewne mieć szczegółowe informacye, któremi służę.

Pan Karol długo milczał, potem chrząknął parę razy, jakby namyślając się, ilu słowami obdarzyć zuchwałego młodzieńca, nareszcie odezwał się:

— Szosy — to szczegół.

— Szczegół?... zapewne. Nie przesądzam o wynikach pracy szanownych panów w Petersburgu, owszem, pokładam w niej wielkie nadzieje. Ale zrozumie pan hrabia, że pragnę przedewszystkiem dowiedzieć się czegoś o moim własnym projekcie, który poddałem pod rozwagę doświadczeńszych. Śmiem zatem prosić o najkrótsze choćby objaśnienie, jak stoi ta sprawa obecnie?

Tym razem Zbązki nie ze zdziwieniem spojrzał

na Dołęgę, ale tak, jak Mickiewiczowski Huragan, który spostrzegłszy Farysa, oburza się:

Co to za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?!...

Hrabia Karol sformułował to prościej:

— Młodzieńcze, zawcześnie jeszcze na moją odpowiedź.

I poszedł dalej, postukując laską o kamienie posadzki.

Dołęga nie był cierpliwy z natury, jednak pohamował się, myśląc, że trzeba oszczędzać tego starca, otoczonego tutaj wyjątkową czcią. Może nareszcie sprawa wypłynie sama? A wtedy on nie będzie miał sobie do zarzucenia, że ją popsuł przez niecierpliwość. Miał jeszcze jeden sposób: poprosić o informacye Hektora Zawiejskiego. Ale ten sposób wydał mu się najwstrętniejszym. Zresztą dopytać się o coś kogokolwiek w tym wirze zabaw, przebierania się i uczt — było niepodobieństwem. Dołęga czekał jeszcze, ale już fale oburzenia przybierały w jego sercu.

XXIX.

Powoli cały War i Dołęgę opanowała ta atmosfera balu, która jest rodzajem upojenia, i w której wszystko, co się dzieje, co dziać się powinno, przesłania lekka mgła niepamięci. Obiad po polowaniu, znowu iluminacya, krótki spoczynek i wyprawa od rana na jeziora leśne, gdzie łowiono ryby i pływano na ozdobionej kwiatami tratwie — wszystko to następowało po sobie bez przerwy, tak, że już pamięć myliła, co było dzisiaj, co wczoraj i przedwczoraj. W pamięci jednak wszystkich pozostał trzeci i ostatni obiad, uczta główna, po której nazajutrz Zeller miał opuścić War i udać się na krótką kuracyę za granicę. Ta uczta pożegnalna była rozrzewniająca.

Mniej więcej w połowie obiadu powstał hrabia Zbązki i dał znak że przemówi. Słowa starca były rzadkością i zbierano je skrzętnie, jak mannę, która tylko w pewnych latach i w pewne pogody dojrzewa. Zbązki, utkwiwszy białe swe oczy w Zellera, aż ten stracił na chwilę zwykłą pewność siebie, wywołał najprzód wspomnienie jego ojca, któ-

rego znał jeszcze w Petersburgu w latach pełnych doniosłości historycznej. (O tym ojcu Zellera mało już kto pamiętał; wiedziano tylko, że, podobnie jak syn, zajmował wysokie stanowisko). Mówca, dowiódłszy tym wstępem znajomości paru pokoleń, przypomniawszy, że świadkiem był już wielu przewrotów, zapewniał, że idee ładu społecznego przechowywane były zawsze, niby przez świeckich kapłanów, przez ludzi czystych, wysokich i samotnych, do których (o ile wnosić było można) zaliczał siebie, Zellera i wspomnianych właściwych przodków. Ile więc razy wspólne sprawy zgromadzą wypadkiem tych wielkich samotników, tryska stąd nauka i kierunek dla ogółu. Z tych wyszedłszy przesłanek, mówca wspomniał o zasługach Zellera w sprawach nas obchodzących, o jego wysokiej sumienności państwowej w połączeniu z najlepszą chęcią dla potrzeb partykularnych, o rodzącem się stąd zaufaniu. Życzył, aby to zaufanie wzajemne ludzi dobrej woli i wzniosłej myśli udzieliło się obecnym wraz z poszanowaniem dla moralnych przywódców myśli naszej. Wzniósł wreszcie zdrowie hrabiego Zellera, a grzmiąca fanfara pokryła przemówienie.

Mowa wywarła silne wrażenie, chociaż nie wszyscy zrozumieli ją jednakowo. Wypływało z niej tylko jasno, jak z innych krótszych i dłuższych odezw Zbąskiego, że on wie, czego chce, a mówi tylko tyle, ile uznaje za stosowne; że musi mieć i plany i siłę niepospolitą, skoro się wyraża tak

stanowczo. Jeszcze raz w milczeniu powiedziało sobie wiele osób: pan Karol jest wielki. Był to już jakiś osiągnięty pożytek.

Tylko Kersten, niechętnie do Zbązkiego usposobiony za owo zapomnienie przy zaproszeniach na ślub siostrzenicy, pozwolił sobie wystosować kilka cichych uwag do swej sąsiadki przy stole, pani Michaliny Zawiejskiej:

— C'est un fatras de paroles. I słyszymy te same rzeczy od dwudziestu pięciu lat... Skąd tu ten ojciec Zeller? Co nas ojciec obchodzi? — A znowu ci „kapłani świeccy“ powinniby przynajmniej być przez kogoś wyświęceni. Wogóle patos kaznodziejski przy stole jest zabijający: obiad to nie sesya. To tylko u nas są takie rozrzewnienia możliwe... Gdzieby pani usłyszała taki toast we Francyi?

Kersten nie znał zalęknionej prostoty pani Zawiejskiej, pierwszy bowiem raz wdawał się z nią w rozmowę. Kiedy mu więc na szereg uwag odpowiedziała tylko:

— Czy tak pan baron sądzi?

Kersten zaprzestał swej krytyki i żałował, że nie ma przed kim się wywnętrzyć. I on bowiem, podobnie jak Zbązki, czuł w sobie skarby postrzeżeń, z których mogłaby być dla kraju nauka. Tylko może Zbązki trochę bardziej dbał o kraj?... przynajmniej trochę lepiej znosił klimat miejscowy.

Graf Zeller nie był przygotowany na wystąpienie tak patetyczne. Odpowiedział dużo prościej, za-

cząwszy mimo woli od swego ojca, gdyż ten cień, raz wywołany, domagał się poniekąd odprawy. Poczem serdecznie dziękował za przyjęcie w Warze, którego nawet nie spodziewał się, bo nie zasłużył na nie. Hrabia Zbązki łaskawie przecenił jego zasługi; mówca zaś zgadzał się tylko na szczerość i żarliwość swoich dobrych chęci, o których obecnych zapewniał. Jeżeli ciepło tego przyjęcia i zaszczyty świadczone mu przez książąt Zbarazkich może sobie jakkolwiek wytłómaczyć, to tylko szczerością i gościnnością słowiańską, która przechowała się najwspanialej w starożytnych i znakomitych domach polskich. Stąd już niedaleko było do wzniesienia zdrowia całej rodziny Zbarazkich, co mówca uskutecznił dokładnie, pocałował bowiem księżnę w rękę, a potem obszedł stół, aby uściskać księcia i podać rękę Andrzejowi i Halszce.

Natychmiast książę Janusz poprosił o głos i oświadczył, że tylko na wyraźne żądanie „naszego moralnego przywódcy“ ustąpił głosu hrabiemu Zbązkiemu, ale teraz sam pragnie powtórzyć kielich za zdrowie kochanego gościa, który przy ważnych sprawach głową, a w codziennem życiu sercem umie sobie podbić i zniewolić wszystkich.

Potem książę Janusz wzniósł jeszcze zdrowie Zbązkiego i trwały rozczulenia najlepszego gatunku.

Gdy się trochę uciszyło, hrabia Szafraniec wzniósł toast, który dawniej zainaugurował: zdro-

wie rodziny Zawiejskich. Mawiał temi dniami, że Zawiejscy są między nowo przybywającymi („les derniers arrivants) doskonałym nabytkiem dla arystokracyi. Cechuje ich zupełna solidarność z nami, pewna gorliwość prozelitów („zèle de novice) i młodzieńczy zapał do spraw, które nam już spowszedniały: dadzą się za nas posiekać...

Tego wszystkiego nie wyraził Szafraniec w mowie, ale sam fakt, że zdrowie ich wzniesiono przy tej uczcie niemal historycznej, stawał się dla Zawiejskich cenną familijną pamiątką. Przy stole mniej gorąco przyjęto ten toast, niż poprzednie; tylko trąby orkiestry, obojętne na nazwiska, a baczne na sygnał, zadźwięczały równie głośno z tarasu.

Byłyby się te przemowy mnożyły do nieskończoności, bo kilku już uznawało potrzebę odwetu, gdyby hrabia Zeller nie wzniósł zdrowia dam polskich słynnych z zalet i piękności, w ręce tak dostojnych przedstawicielek. Pozostawało więc już tylko miejsce na stary toast „kochajmy się“, którego podjął się hrabia Gniński. Wzniósł go ze zwykłą swobodą i wdziękiem, nie bez dowcipnych aluzyi szerszego znaczenia.

———

XXX.

Zeller wyjechał z Waru czwartego dnia około południa. Na specyalną rozmowę o interesach nie znaleziono czasu, parę tylko razy wspomniano o szosach; na polowaniu Gniński pokazał mniej więcej ich kierunek. Tak było lepiej i delikatniej: nie można było nudzić hrabiego, który przyjechał tu na wypoczynek i aby utwierdzić sojusz przyjazny. Zresztą sprawa dróg bitych była cząstką zaledwie wielkich planów praktycznych, powziętych w Petersburgu, a te plany bladły znowu wobec inauguracyi nowych, trzeźwych stosunków, opartych na duchowem zjednoczeniu, na wzajemnem zaufaniu daleko widzących kierowników i na ustępstwach naszych, które miały wypaść na naszą własną korzyść.

Takie było zdanie jednomyślne wszystkich trzech delegatów, objawione Dołędze po wyjeździe Zellera z Waru. Zresztą sprawa szos stała dobrze, nie spieszono się tylko z jej popieraniem, bo ważniejsze i ogólniejsze decyzye miały ją poprzedzić, choćby tylko zatwierdzenie kolei żelaznej.

Dołęga wysłuchał i spochmurniał. Po długiej mowie Hektora, który zabrał głos w tej naradzie i tłómaczył zasady działania tryumwirów, uczynił tę prostą uwagę:

— W tem wszystkiem jest jeden nasz interes: szosy. O reszcie mało co możemy wnosić, a tymczasem szosy uznaliśmy za korzystne dla nas i powinniśmy najprzód je przeprowadzić.

— Widzi pan, panie Dołęgo — rzekł Szafraniec — nie trzeba wyrywać się z inicyatywą prywatną, zanim się nie przeniknie interesów i opinii ogólniejszych.

— Czyli jest pan zdania, że należy spać i czekać, co się z nami stanie?

— Nie bardzo jednak spaliśmy w podróży, w ustawicznych wizytach i zabiegach dla dobra ogółu — odpowiedział hrabia, urażony.

Szafraniec pierwszy raz w życiu tyle był się ruszał i tyle wydał pieniędzy, jak mówił „dla kraju“. Niesprawiedliwość więc odezwania się Dołęgi była rażąca. Książę Janusz starał się złagodzić rozmowę:

— Rozumiem zapał do sprawy, którą pan podjął, i która była pierwszym powodem naszej wycieczki. Niech pan nie sądzi, że sprawa ta nam obojętna; pragniemy tylko podzielić się z panem naszemi obserwacyami i zaznajomić go z szerszem rozwinięciem naszych planów. Szosy będą zatwierdzone, niech się pan nie boi.

— Bodajby tak było! — westchnął Dołęga, który lubił starego księcia i nie chciał się z nim spierać.

Po tej rozmowie wstał ze ściśnionem sercem i postanowił zaraz War opuścić. Miał się jeszcze tylko załatwić z Andrzejem.

Gdy go spotkał, objawił mu krótko swoje postanowienie:

— Jutro wyjeżdżam do Warszawy — musisz mi dać odpowiedź dla Hellego.

— Ale zostań jeszcze, Janku! Jeszcze mamy gości; jakże chcesz, abym myślał o tem dyplomatycznem zawikłaniu w takim gwarze? Musimy raz jeszcze powrócić do tej rozmowy, może jutro, kiedy się przerzedzi trochę.

— Pilno mi, muszę jechać.

— No, a dla tych tam interesów petersburskich — czy nie powinienbyś pozostać? Zbązki i Szafraniec jeszcze tu są — rzekł Andrzej, byle zwrócić rozmowę.

— Już się rozmówiłem z tymi panami — wystarcza mi to. A co do twoich projektów, jeżeli chcesz wiedzieć moje zdanie, — nie żeń się z Hellówną. pozostań w swojej sferze, nie walcz z nią. Bo gdybyś chciał z nimi walczyć, nie zabiją cię, ale cię zanudzą, zemdlą cię... Zechcesz im coś wytłómaczyć — ziewną i powiedzą, że oni są już dużo dalej i wyżej od twego rozumowania.

— Toś widzę nie rad z naszych działaczów? — rzekł Andrzej zadowolony, że rozmowa bierze inny obrót.

— Są oni jak wielka, stojąca woda... nie mó-

wię o twoim ojcu, który musi się solidaryzować, choć lepiej czuje...

— Niepotrzebne zastrzeżenie — przerwał Andrzej, znam ja i ojca!

— Są więc jak ta woda. Popchniesz ją — rozleje się; chcesz ją zapalić? — mokra; użyć do obracania młynów? — nie płynie. A zalewa jednak ogromną przestrzeń kraju i gdzie nie pleśnieje, tam zakrywa bezużytecznie rodzajne pola. Dlatego przez tę senną wodę trzeba poprowadzić mocne groble, po której przyjdą nowi ludzie „najlepsi“, trzeba dać tej wodzie dopływy z nowych źródeł i skierować ją na jakiś pożytek. Myślałem, że zdołam coś takiego rozpocząć, choćby w drobiazgu, choć do pewnej miary, nie przenoszącej moich sił... Ale gdzie tam! Nic tu niema do czynienia — trzeba iść gdzieindziej, trzeba szukać ludzi, gdzie są, a nie „sfer“.

— Sądzisz ostro ale słusznie — rzekł poważnie Andrzej — pomijasz jednak inne właściwości istniejącej u nas arystokracyi. Są oni naprzykład jedynymi może przedstawicielami estetyki życiowej, która nie jest byle czem; twierdzą nawet niektórzy, że jest wysoką cnotą społeczną i dojrzewa tylko przy późnym i doskonałym rozwoju rasy.

Jan targnął się i odrzekł gwałtownie;

— Co mi estetyka! — i jaka estetyka? Poczucie i znajomość piękna? — tych widzę bardzo mało. A to, co nazywasz estetyką, jest zwykłym sybarytyzmem, przystrojeniem sobie życia ku naj-

większej wygodzie, bez aspiracyi społecznych, bez szczypty altruizmu, bez sensu dziejowego. W tej atmosferze nawet ludzie zdolni, szlachetni i rozumiejący wysokie zadania życiowe drobnieją. I ty sam, Andrzeju, daleki już jesteś od czasów uniwersyteckich, kiedy mi mówiłeś, że trzeba podnieść sztandar Zbarazkich, otrząść go z kurzu, wypisać na nim hasło czynnego życia dla kraju. Ty sam podałeś mi myśl, która mnie dręczy. A teraz co? zawracasz kobietom głowy, nosisz wyborne szaty zewnętrznej estetyki życia, jesteś panem całą gębą, ale tylko dla swoich, nie dla wszystkich. Być sobie panem, to nie dosyć i tego nie weźmiesz za hasło, a szczególniej tem hasłem nie pociągniesz nikogo.

— Jeździsz trochę po nas i po mnie, mój mistrzu!

— Wiem, że nie mam do tego prawa, ale nadto napiłem się goryczy w tych dniach... A że pragnę, abyś spróbował żyć inaczej, to tylko przez najszczerszą przyjaźń. Dlaczegobyś ty nie miał być jednym z tych odnowicieli swojej rasy? Masz do tego wszystkie warunki i wyborną sposobność.

— Ale nie mam siły, mój Janie.

— Najgorzej przyznać się do tego. Jest w mózgu sprężyna, którą każdy może nacisnąć, gdy zechce, — jeden łatwiej, drugi trudniej — a potem siła sama się znajdzie.

— Może spróbuję? — rzekł Andrzej zamyślony.

XXXI.

Po dniach gwarnej zabawy opanowało znużenie mieszkańców Waru i pozostałych gości, ale było to znużenie słodkie, pełne dobrych wspomnień, nieledwie tęsknoty, a przytem wir i gwar nie od razu przeszedł w stan spoczynku. Towarzystwo topniało powoli, stół sali jadalnej zmniejszał się stopniowo i żałowano ubywających, nawet takich, jak Włosek, dlatego, że i on był cząstką dni wesoło spędzonych.

Hrabia Zeller wywarł na wszystkich korzystne wrażenie. Ci, którzy go znali z Petersburga, nauczyli się jeszcze bardziej go cenić; innych również ujął, wszystkim zaimponował. Księżna Hortensya, niewiadomo dlaczego, odnalazła w nim typ perski i spierała się z Kerstenem, który znowu twierdził bez wyraźnej zasady, że Zeller ma charakterystyczną postać szlachty nadreńskiej. Wszystkie panie były też wdzięczne Zellerowi, że przyjazdem swoim spowodował piękny szereg zabaw. Jeden tylko Szydłowski, słysząc zewsząd pochwały i rozrzewnienia,

cierpiał na przekorę, aż nareszcie ogłosił przy śniadaniu:

— Nie wiem, co w nim tam państwo widzicie? zwykły urzędniczyna i basta.

Napróżno usiłowano mu przedkładać, że to nie urzędniczyna, lecz wysoki i wpływowy dygnitarz, napróżno zwracano uwagę na jego takt i wdzięk w obejściu i na życzliwe względem nas zamiary.

— Zobaczymy dopiero, jak coś zrobi — mruczał uporczywy sceptyk i pozostał przy swojem zdaniu.

Szafraniec, nierozłączny z Hektorem Zawiejskim, zwierzył się mu poufnie o Szydłowskim i Dołędze:

— Ten stary i ten młody są z jednej gliny: wszystko im za mało. Ils ne sont pas à la hauteur.

Hrabia Szafraniec wyjechał jeden z pierwszych po Zellerze: pilno mu było do zarządu swych dóbr wiejskich i miejskich, których rachunki namiętnie lubił przeglądać, znajdując zawsze, że nadto pieniędzy idzie dla rozmaitych darmozjadów. Pomnażał ciągle majątek nie przez obrót kapitałów lub tworzenie nowych warsztatów pracy, lecz przez skrzętne zbieranie i składanie dochodów. Wielka jego fortuna, która powstała z czyjejś dawnej pracy, z hojnych darowizn królewskich, z obfitych posagów, obecnie — rzec można — spała i pociła się złotem. Hrabia Adam umiał ten złoty pot wyciskać, podbierać i składać niby miód w plastry.

Umiał wyciągać cenę drzewa i zboża, podnosić dzierżawy i opłaty na wsi, a komorne w swych domach miejskich; czynił to bezwzględnie, bez wchodzenia w potrzeby mnóstwa ludzi, od niego zależnych; działał reskryptami, nigdy osobiście, i z tej przyczyny dla tłumu swych urzędników, dzierżawców, lokatorów był przemocą niewidzialną, która przejmuje lękiem, a często nienawiścią. Nie używał też dobrej opinii u maluczkich, ale ci sądziliby go łagodniej, gdyby się dowiedzieli, że Szafraniec działa tak z przekonania. Gdy mu ktoś przyjazny zwrócił uwagę, że nie przystoi wielkiemu panu podnosić komorne naprzykład starym biedakom, siedzącym oddawna na jego ziemi, odpowiedział:

— Niech się ci ludzie udadzą do mojej kasy wsparć, gdzie ich prośba będzie rozpatrzona. Ale płacić muszą więcej, bo komorne więcej warte. W interesach nie należy się rządzić sercem.

— A sercem w czem się rządzisz?

Dał taką odpowiedź, podług niego wystarczającą:

— W uczuciach.

Co roku urządzał też redukcye w pensyach, w gratyfikacyach i ofiarach na instytucye, które to obowiązki odziedziczył razem z majątkiem. Obmyślił już obecnie, jak pokryje wydatki na podróż do Petersburga: zniesie roczną opłatę na zakład dobroczynny, którego cele zaczynają nie odpowiadać jego poglądom. I tak jeszcze będzie zmuszony

oszczędzać, aby nadzwyczajne tegoroczne wydatki pomieściły się w jego budżecie — postanowił bowiem nigdy nie wydać więcej niż dziesiątą część swoich dochodów. Mawiał, że gromadzenie pieniędzy „w naszem ręku“ jest jedynym sposobem utrzymania swej pozycyi wobec Żydów z jednej, a socyalistów z drugiej strony. Mimo te przesady w pojmowaniu swych obowiązków wielkiego pana, hrabia Adam był uważany przez swych krewnych i lepszych znajomych za „dobrego chłopca“ za „jedną z pierwszych w kraju partyi“, a od niedawna i za poważnego obywatela z powodu tej podróży do Petersburga, którą sam nazywał „rokiem pracy dla kraju“.

W dwa dni po wyjeździe Zellera liczne grono gości zmniejszyło się do kilku osób i wystawne życie zamkowe powróciło mniej więcej do normalnych rozmiarów. Dołęga czekał jeszcze na odpowiedź Andrzeja.

Starzy księstwo Zbarazcy siedzieli właśnie po południu we dwoje, oddychając spokojem i wspomnieniami, gdy Andrzej skorzystał z tej sposobności, aby im oświadczyć, że pragnie zaślubić pannę Maryę Helle i prosi rodziców o błogosławieństwo. Dodał, że posunął się już daleko w tym zamiarze a nietylko przywiązanie, ale i szacunek, który ma dla tej panny, zmusza go do przyśpieszenia kroków stanowczych.

Zbarazcy przyjęli wyznanie syna osłupiałem milczeniem i poprosili go o czas do namysłu. Roz-

poczęły się po różnych kątach zamku szepty i żałobne narady: stary książę szeptał z Temirą, księżna okazała nagle wiele serca pani Hohensteg, zamyślając może, w braku lepszych środków doraźnych, użyć wpływu Izy na Andrzeja. Wreszcie wszystkie ubolewania i wątpliwości zlały się w jedną walną naradę wieczorną, formalną sesyę, złożoną z obojga księstwa, panny Temiry i Zbązkiego; uczestniczyli w niej także Gniński i Kersten, jako starzy przyjaciele domu.

Nerwowa stanowczość, z którą Andrzej oświadczył swój zamiar rodzicom, podziałała na księcia Janusza. Będąc w zasadzie przeciwny związkom tak nierównym, zapytywał jednak zgromadzonych, czy godzi się występować energicznie przeciw uczciwym, bądź co bądź, zamiarom Andrzeja? Cytował starożytne i nowsze przykłady, dowodzące, że czasem podobne małżeństwa bywają szczęśliwe. Wspomniał i o wielkim majątku, którego jedyną dziedziczką będzie panna Helle.

Księżna Hortensya miała na te wszystkie nieśmiałe argumenta męża stanowczo przeczące odpowiedzi. Najprzód mezalians mści się zawsze, jeżeli nie w pierwszem, to w drugiem pokoleniu. Zamiar Andrzeja jest prostą zachcianką, niepohamowanym zapędem zmysłowym, wynikającym tylko z jego „braku zasad“. Nawet majątek Hellego, oparty na „brudnych i ryzykownych przedsiębiorstwach“, nie wydawał się księżnie tak wielkim, jak o nim mówiono, a w każdym razie wstrętnym i niepewnym,

bo narażonym codzień na bankructwo. Chociaż Gniński, znający się na rzeczy, zapewniał o „solidności“ tego majątku, księżna pozostała przy swem zdaniu. Popierał jej zdanie Kersten, najwykwintniejsza natura z pośród obecnych, dosypując żaru do pogardliwych sądów o Hellach, których rzekomo znał lepiej niż wszyscy; mówił o nich, jak o ludziach niebezpiecznych; dał im, oprócz należnych epitetów: „gmin, parweniusze“ — inne, jak: „demokraci, masoni“, i t. d., których to określeń bliżej nie objaśnił.

Panna Temira chciała kwestyę sprowadzić na grunt sentymentalny i ofiarowała się wybadać Andrzeja, jak głęboko zapadła mu w serce ta panna; zaczęła mówić o wielkiem uczuciu, tłómaczącem nawet wyłamanie się z pod niektórych praw społecznych, a uświęcającem istoty wybrane bez względu na ich sferę towarzyską. Rozpytywała o pannę, której nie znała. Ale zagłuszył ją chór męski, praktyczny, rozprawiający o wartości sprawy, nie o psychologii.

Marynia Hellówna nie miała naprawdę adwokata w tym sądzie przysięgłych. Czekano jeszcze na zdanie Zbązkiego, który swoim zwyczajem milczał, siedząc nieruchomy w wielkim fotelu, z przymkniętemi oczyma. Zapytany wreszcie kategorycznie przez księcia Janusza, wzniósł rękę i rzekł groźnie:

— Nie tędy droga!

Siwe spojrzenie przeprowadził po twarzach

obecnych: we wszystkich znalazł poddanie się wyrokowi bez apelacyi.

— Ha, skoro pan Karol tak zreasumował i przeciął naszą dyskusyę — odezwał się książę Janusz — pozostaje nam tylko wezwać Andrzeja i przełożyć mu nasze zdanie.

Zbązki kiwnął głową. Posłano więc po Andrzeja, ale otrzymano piśmienną odpowiedź, że jest chory i prosi, aby zdanie rady familijnej objawiono Dołędze, jego zaufanemu przyjacielowi, który zna najlepiej całą historyę jego uczucia.

Zbązki rozwarł szeroko oczy i wyrzekł tonem mniej stanowczym, niż słowa poprzednie:

— Obcy?!...

Ale skoro przełożono mu, że Dołęga jest przyjacielem Andrzeja, że pochodzi ze starożytnej szlachty i nadto objaśniono zawikłanie, które zniewala użyć pośrednictwa Dołęgi wobec Hellów, — pan Karol opuścił zdumione brwi i pokiwał głową boleśnie. Było to znakiem zgody, choć niechętnej.

Poproszony Dołęga stawił się przed areopagiem. Wrażenia ostatnich dni nie usposobiły go pogodnie, to też, przewidując z góry wynik obrad, wszedł dość ponuro do gabinetu księcia, rozdrażniony tem bardziej, że wydawał się sam sobie śmiesznym, jako pośrednik w tej sprawie. Konsekwentnie jednak musiał znosić jeszcze przez parę dni stosunki, ciążące mu teraz krwawo na barkach; wmawiał w siebie, że kończy obrachunki ze Zbarazkimi.

Skoro Jan usiadł pośród radzących, książę Janusz odezwał się do niego:

— Daruje nam pan, panie Dołęgo, że zmuszeni jesteśmy wyzyskać niejako stosunki istniejące między panem i Andrzejem, i prosić pana, aby połączył się z nami w celu odprowadzenia Andrzeja od lekkomyślnych projektów małżeńskich, które powziął. Jak się dowiadujemy, bliższe objaśnienia nie są potrzebne, bo pan wie dobrze o wszystkiem.

Dołęga odpowiedział również ceremonialnie:

— W istocie Andrzej zwierzał mi się oddawna. Skoro jednak dzisiaj przypadek nadarza mi zaszczyt pośredniczenia między dwoma tak szanownemi rodzinami, jak rodzina książąt Zbarazkich i państwa Hellów, zastrzegam się, że mogę tylko wysłuchać i zanieść wzajemne odpowiedzi, ale odprowadzać Andrzeja od jego zamiarów nie mogę przeciw własnemu przekonaniu.

Zaległo na chwilę milczenie, które przerwał dopiero hrabia Gniński, najzręczniejszy i najbardziej pojednawczy ze zgromadzonych:

— Rozumiem pańską delikatność, rozumiem nawet, że pan pochwalał wybór przyjaciela, bo trudno o sympatyczniejszą kobietę, niż panna Helle, którą znam i cenię. Związek taki byłby prawdziwą idyllą. Ale my, starsi, i pan, człowiek czynu, zastanowić się winniśmy nad praktyczną i społeczną wartością tego zamiaru. Nadto my wszyscy, należąc, jak pan, do starożytnej szlachty, myślimy

o interesach naszej sfery; nie można nam brać tego za złe. Otóż z naszego stanowiska byłoby niebezpiecznem pochwalać małżeństwo z Niemką...

— Z Niemką? — przerwał zdumiony Dołęga — przecie Helle jest już tutaj urodzony. a pani Hellowa jest z domu Dekiert, prawnuczka Jana Dekierta.

Gniński pokiwał głową, jakby wiedział o tem doskonale; książę, księżna i Kersten obrócili się ku sobie ze skrzywieniem. pytając się nawzajem:

— Dekiert? co to jest Dekiert?

Tylko panna Temira wiedziała napewno, że Jan Dekiert był prezydentem miasta starej Warszawy i wymownym obrońcą praw miejskich na sejmie czteroletnim.

— Tem gorzej -- odezwał się Zbązki — lepsze proste mieszczaństwo, niż pretensyonalne mieszczaństwo.

Dołęga przyciął wargi, nos ściągnął w formę dzioba, a płowy czub zdawał się jeżyć. Gdyby kto z obecnych znał go za czasów uniwersyteckich, poznałby w nim „białego koguta“, mierzącego nieustraszonem okiem w postać Karola Wielkiego. Ale umiarkowanie trzydziestego roku życia. powaga zebrania i doświadczenie, że są ludzie. z którymi spierać się nie warto, wstrzymały słowa Dołęgi; nerwowym ruchem cofnął się i zasiadł głęboko w fotelu.

Zabrał znowu głos książę Janusz.

— Mimo więc wszystko, co się da powiedzieć

na korzyść państwa Helle i ich córki, doszliśmy do przekonania, że przez wzgląd na stosunki społeczne, na przyszłość i na szczęście Andrzeja, nie możemy pochwalić jego zamiaru. Czy pan zechce podjąć się powtórzenia tych słów Andrzejowi, panie Dołęgo?

— Mogę się tego podjąć — odrzekł Jan ponuro — ale ponieważ jutro jadę do Warszawy, powinienbym wiedzieć, jak mam się zachować wobec pana Hellego, wiadomo bowiem księciu, że sprawa wymaga jakiegoś załatwienia, a nawet zadośćuczynienia.

— Można powiedzieć poprostu prawdę: — rzekła żywo księżna — Andrzej prosił rodziców o pozwolenie, a rodzice stanowczo nie zgodzili się.

— Mógłbym to powiedzieć — odpowiedział Dołęga — ale nie wiem, czy to panu Hellemu wystarczy.

— Pozwól pan, panie Dołęgo — odezwał się Kersten — prawda powinna zawsze wystarczać, i pan Helle, chociaż mu to może pójść nie w smak, zrozumie, że książęta Zbarazcy pozostają wierni samym sobie i swoim przekonaniom.

— Dobrze... — rzekł Jan — ale jeden już książę Zbarazki, mianowicie Andrzej, oświadczył się niedwuznacznie pannie... i różne okoliczności ujawniły jego zamiary tak, że przestały być tajemnicą... więc teraz?...

Zanim Kersten znalazł odpowiedź, odezwał się przezorny Gniński:

— Trzebaby jednak obmyślić oficyalną formę pogłoski, którąby w świat puścić o tem całem zajściu.

— To możemy uczynić tylko w porozumieniu z Andrzejem — rzekł książę Janusz — a najprzód musimy wiedzieć, jak przyjmie naszą decyzyę.

Wstał z fotelu i podszedłszy do Dołęgi, wziął go serdecznie za rękę:

— Panie... Janie! Ufam, że jesteś już przyjacielem, nietylko Andrzeja, ale całej rodziny. Wierz nam, że radzimy dla jego dobra. Proszę, abyś użył swego wpływu na niego i wytłómaczył mu nasze poglądy, zanim rozmówimy się z nim osobiście, jak rodzice z synem.

Dołęga skłonił się, milcząc. Rozmowę trzeba było odłożyć do jutra — jest już późno — Andrzej niezdrów. Dołęga żegnał się z towarzystwem i już miał wychodzić, gdy Zbązki zagadnął go znienacka:

— Wierzysz zatem, młodzieńcze, w przyszłość tych sfer?

Jan pomyślał przez chwilę i zrozumiał, że pan Karol mówi o mieszczaństwie. Zmierzył wzrokiem tę suchą postać, nieruchomą w głębi wielkiego fotelu, te oczy białe i zagadkowe, jak woda zawierająca niedostrzegalne pierwiastki — i, skłoniwszy się grzecznie, lecz stanowczo, rzekł:

— Panie hrabio! Zawcześnie jeszcze na moją odpowiedź.

Wyszedł i pozostawił w zdumieniu zgromadzenie. Spojrzeli wszyscy na pana Karola, którego

twarz oblała się niby cieniem rumieńca. Starzec powstał, uderzył zamkniętą ręką w stół, jak kościanym młotkiem, i raczej z ożywieniem, niż gniewnie, zawołał:

— Twardy szlachcic!

To zdanie Zbązkiego, niezupełnie zrozumiałe dla obecnych, wzmogło jednak poszanowanie dla Dołęgi w Warze.

XXXII.

Jeszcze dzień jeden przebył Dołęga w Warze. Bolesna struna, trącona przez Andrzeja, tak dalece rozstroiła ogólną harmonię, że już nikt nie wspominał nawet wesołych dni poprzednich; każdy chodził zamyślony, zafrasowany, jakby w zamku ktoś zachorował śmiertelnie. Narady po dwie, po trzy osoby, trwały ciągle. Andrzej czuł ból głowy, niesmak moralny, i słuchał biernie wszystkiego, co mu przedkładali rodzice; przyjął wyrok rady familijnej bez buntu, pytał tylko co ma uczynić, aby się wycofać z tej sprawy z honorem. Uradzono, że powinien oświadczyć się formalnie, jednak w taki sposób, żeby go nie przyjęto. Andrzej spodziewał się, że ktoś to za niego uczyni — może ojciec? Ale książę Janusz odmówił stanowczo: głowa rodu Zbarazkich nie może się kompromitować. Sam winowajca miał więc napisać list do Hellego i wręczyć go Dołędze, który jechał do Warszawy nazajutrz rano. Ociągał się do ostatniej chwili i unikał Jana, bo wzrok przyjaciela wydał mu się dziwnie zimnym, a czoło bardzo ściągniętem.

Dołęga nie mógł też znaleźć sobie miejsca w zamku na spędzenie tego dnia ostatniego: wszystkie widoki, które tak lubił, wszystkie miejsca wspomnień zasłaniał mu jakiś mrok żałobny, niemal rozpaczliwy. A przecież słońce świeciło wspaniale nad Warem, a rodzina książęca była najprzyjaźniej dla niego usposobiona. Nawet księżna Hortensya mówiła mu: „kochany panie“, i wezwała go na rozmowę, w której wiele wyznała swych uczuć macierzyńskich i poufnych poglądów. Dołęga cierpiał jednak i tak głęboko, jak cierpi dziecko w ostatni dzień wakacyj, jak cierpi marzyciel, gdy już nie ma o co oprzeć, ani o co nawet zaczepić swoich upragnień. W ciągu kilku dni tak się psuło wszystko, co w myśli knował, co sercem przywoływał, że już nie wiedział dobrze, co go bardziej boli, czy zawiedziona nadzieja społecznego działania, czy zawód na przyjacielu? Te myśli marszczyły mu czoło i pochylały głowę, ale gdy pomyślał o Halszce, zacinał usta i chwytał się, prawie trwożnie, za ubranie na piersi.

Nic mu jednak nie zawiniła, owszem, po ustaniu wielkiego gwaru, garnęła się znowu do niego, szukając z nim rozmowy, o ile na to pozwalał dramat rodzinny, wywołany przez Andrzeja, i towarzystwo Reckheima, który pozostał w Warze i chodził jak cień za księżniczką. Ale Dołęga unikał teraz Halszki, a gdy się zdarzyło spotkanie, przemawiał do niej prawie wyniośle, choć ona była pokorniejsza, niż kiedykolwiek; ich wzajemny

stosunek pozostał niezmienny w pozorach, lecz dusze dwojga młodych miały z sobą zatargi. I czasem posępne oczy Jana zwracały się do Halszki z milczącą wymową:

— Więc i tyś marna, jak inni?...

A gorące spojrzenie dziewczyny odpowiadało:

— Już nie będę...

Ostatniego dnia Dołęga czuł się jeszcze bardziej rozdrażnionym, niż dni poprzednich. Panował ciężki upał, rozmowa z księżną była tylko powtórzeniem przekładań o niemożliwości małżeństwa Andrzeja z Hellówną, sam Andrzej gdzieś się krył i obiecywał oddać list do Hellego dopiero późno wieczorem; Reckheim, pani Hohensteg drażnili Dołęgę niepomiernie samem swojem istnieniem w zamku. Czuł też ciągłe pragnienie wywołane przez upał, a może i przez wewnętrzną gorączkę. Bezczynny, beznadziejny, rzucił się po południu na łóżko w swojem mieszkaniu, pragnąc się zdrzemnąć. Ale troski nie opuściły go i ciężkie mary krążyły ciągle około postaci Halszki. Wydało mu się w półśnie, że rozmawia z księżną o przyszłem małżeństwie Halszki z Reckheimem, i że proszą Zbarazcy jego, Dołęgę, aby oznajmił o tym związku Hellemu, dodając uwagi o stosowności tego wyboru, o przyzwoleniu Zbązkiego, o łączeniu się równych z równymi... Jan wzbraniał się od podobnej misyi, ale czuł, że i na to trzeba będzie się zgodzić... może to nawet będzie zręcznie?...

Tak ciężkie myśli powikłały się w sennej gło-

wie. Dopiero gdy poczuł powiew od otwartego okna, uprzytomnił sobie, że zbliża się wieczór, wstał, odświeżył twarz wodą i poszedł do parku, spodziewając się znaleźć tam trochę chłodu i uspokojenia.

Niebawem spotkał Halszkę, przechadzającą się z nieodstępnym Reckheimem. Panna de Radenac była w pobliżu, zatem przyzwoitość była zachowana, a Halszce dawano wogóle wiele swobody. Skoro tylko księżniczka ujrzała Dołęgę, przywołała go radośnie do siebie:

— Czy pan napewno wyjeżdża jutro? Zupełnie napewno?

— Chybaby mnie piorun zabił tej nocy.

Halszka kręciła się przez chwilę, szukając pozoru oddalenia Reckheima, ale nie znalazłszy nic lepszego, powiedziała poprostu:

— Przepraszam pana, mam do pomówienia z panem Dołęgą.

Dyplomata podniósł trochę brwi, uchylił kapelusza i oddalił się w stronę zamku.

— Nie mam panu nic do powiedzenia — rzekła Halszka, skoro pozostali sami — tylko mnie już strasznie znudził ten Niemiec.

— Ja zaś pragnąłem właśnie rozmówić się z panią, sądząc, że trochę już dłuższa znajomość i... zaufanie, które mi pani okazywała dawniej, usprawiedliwią moje zapytanie, choćby nie bardzo dyskretne — mówił Dołęga, idąc obok Halszki i nie podnosząc na nią oczu.

Dziewczyna poczuła coś rozkosznie trwożnego w piersi i, wciągnąwszy głośno powietrze, zatrzymała oddech, jakby chciała dłużej w sobie zachować wrażenie tych słów, płynących razem z silnym zapachem letniego wieczoru. I po chwili rzekła cichutko:

— Słucham.

Wtedy Dołęga spojrzał jej prosto w oczy i zapytał:

— Jak pani zapatruje się na małżeńskie zamiary brata?

A Halszka rozwarła szeroko oczy, potem ściągnęła brwi gniewnie:

— Ech! Pan nigdy nie myśli o tem, co ja... Co mam się zapatrywać? To nie moja rzecz.

— Jakto: nie pani rzecz? Przecie chodzi tu o Andrzeja, o którego pani dba przynajmniej tyle, co ja.

— Tak, naturalnie... tylko nie myślałam już o tem, bo wszystko postanowione.

— I pani pochwala to postanowienie?

— Także dziwne pytanie! Któżby chciał, aby Andrzej żenił się z jakąś mieszczką, Niemką, choćby była nawet dziesięć razy bogatsza?

— Nie będę pani przekonywał — odrzekł sucho Dołęga — bo wiem, że mi się nie uda, ale muszę przyznać, że panna Marya Hellówna jest jedną z najwytworniejszych kobiet, jakie znam, a jej ojciec jednym z najpożyteczniejszych obywateli, a jej matka...

— Ależ panie! — przerwała Halszka — to nie dla nas!

— Prawda — rzekł Jan, którego ogólne rozdrażnienie wyraziło się teraz przez gniew na księżniczkę. — Prawda, że to, co wogóle uważa się za szanowne i godne kochania, może uchodzić za śmieszne... tutaj.

— Co pan mówi?

— Mówię, że nikogo już tutaj nie rozumiem, nikomu nie ufam. Bardzo panią przepraszam za otwartość, ale widać, że mam serce plebejusza, skoro wszystko, co pochodzi z wysokich sfer, przejmuje mnie chłodem, a czasem zgrozą. Jeżeli tu kto ma jaką myśl społeczną, tom ja chyba niespełna rozumu; jeżeli tu kto kocha sprawę naszą, tom chyba cudzoziemiec.

— Pan przecie do nas należy? Pan jest nasz?

— Należę do swojego narodu i jestem swój własny, zresztą niczyj.

— Nie myślałam, że się pan nas wypiera.

— Ach, pani! Bóg mi świadkiem, żem się garnął do was i pokładałem w was najgorętsze nadzieje. Ale teraz, gdy widzę, jaka jest robota społeczna starszych, jak błahy pogląd młodszych na obowiązki ogólne i osobiste zobowiązania — uciekam stąd — a największy ból sprawia mi to, że i pani... et! nie warto o tem mówić.

— Co ja? Co mi pan ma do zarzucenia? — rzekła Halszka dość wyniośle.

Dołęga sam na razie nie wiedział, co ma jej

do zarzucenia. Sprawę szos pierwsza Halszka wzięła do serca; że nie może się zapalać do małżeństwa brata z nieznajomą panną, należącą do nieznajomej sfery, to także zrozumiałe; o zachowaniu się zaś w czasie zjazdu gości trudno, i nawet śmiesznie byłoby wspominać. To też Jan szedł ze spuszczoną głową, milcząc przez chwilę.

— Więc niech mi pan powie — powtórzyła księżniczka dużo miększym głosem.

— Nietylko nie mam żadnego prawa czynić pani wyrzutów, ale byłbym niewdzięczny za dawniejsze czasy, kiedy mi pani okazywała dużo... zaufania, a nawet pomocy. Tak tylko ogólne niepowodzenie moich projektów i pragnień popchnęło mnie do goryczy. A przytem, gdy się kogo tak... ceni, jak ja panią, chciałoby się, aby ta osoba dzieliła główne przekonania, aby była jednej ze mną wiary... Ale to jest dzika pretensya.

Halszka z wrodzoną kobietom muzykalnością pochwyciła rzeczy niedopowiedziane w mowie Jana: i nacisk na słowo „dawniejsze", i wahający się powrót do słowa „zaufanie"; zrozumiała, że nietylko zawody publiczne dręczą Dołęgę, ale i sercowe. Że zaś była równie śmiała, jak przychylna Janowi, nie zawahała się rzec:

— Więc widzi pan, że nie ma za co na mnie się gniewać. A dawniejsze czasy trwają i teraz... chyba że pan nie lubi, jak się trochę bawię i dokazuję; uważałam, że pan był smutny pośród go-

ści. Ale to trudno, taka już jestem i trzeba mnie taką lubić, albo nie lubić wcale.

Zwróciła do Jana twarz, pozbawioną już wszelkiej grozy, owszem, pogodną, ale przez uśmiech przebijał nastrój uroczystszy, i wyraz tej twarzy był nie do opisania: jakiś wstyd dziewiczy drgał w powiekach, nie spuszczonych jednak, i płynęła z pobladłego lica powaga chwil stanowczych. Usta nieruchome, roztulone trochę, oczekiwały czegoś, cierpienia, czy rozkoszy.

Gdy Jan wziął ją za rękę, spuściła oczy, a on, zatrzymawszy się w przechadzce, mówił zmienionym głosem:

— Pani! Gdyby mi było wolno, powiedziałbym, co czuję, ale nie wolno mi. Powiem tylko, że mi się pani wydaje najpiękniejszą z dusz, które drzemią w murach takich zamków, w zapachach takich ogrodów. Chciałbym znajdować się na drodze pani, aby na nią patrzyć i usłyszeć czasem jej głos, kiedy będę w zwątpieniu. I teraz dziękuję za dobroć, za współczucie...

Podniósł do ust jej rękę — i szli dalej, owionięci lekkiem powietrzem zachodu, kojącem rozkosznie po dniu upalnym. Pochyły promień oblał ich czasem rumieńcem, to znów zielony cień drzew rzucał im bladość na twarze. Szli, nie patrząc na siebie, zamieniając rzadko parę słów o tem, że już późno, lub że Dołęga wyjeżdża bardzo rano. Jakiś dreszcz ich przejmował od zachodniego chłodu, od słów niewypowiedzianych... i nie wiedzieli oboje,

czy szczęśliwi są, czy cierpią. Bo pierwsze zdarzenia miłości są tak błahe wobec ogromu pragnienia, że ściskają pierś niby zmora.

Nagle zadudnił w zamku głos miedzianego bębna, zwołującego na wieczerzę, i rozległ się echem po parku. Halszka krzyknęła głucho, jakby ten codzienny, znajomy odgłos był czemś nadzwyczaj niespodziewanem dzisiaj; przycisnęła ręce do piersi, błyskawicznie obejrzała się dokoła i, zbliżywszy się do Jana tak, że aż mu twarz owiała swem ciepłem, rzekła mu prosto w twarz:

— Do widzenia, mój...!

A Dołęga spojrzał jak jastrząb w rozmiłowane oczy dziewczyny i, przygarnąwszy ją do siebie, ucałował gorąco te oczy.

Halszka przechyliła w tył głowę z przymkniętemi oczyma, wyprężyła silnie ramiona, ocknęła się i pobiegła jak sarna do zamku.

XXXIII.

Krótka noc letnia już bladła i świt wdzierał się przez nieosłonięte części okien do pokoju, w którym spoczywał Dołęga. Miał wstać bardzo rano, ale dotychczas nie próbował nawet zasnąć: wypadki poprzedniego dnia utrzymywały go w nieustannej wibracyi. We wszystkie struny jego duszy uderzono naraz potężnie i zawieszono dźwięczącą jego duszę w powietrzu; nad zgrzytami i fałszywemi akordami górował jeden ton czysty, ukochany — i głuszył inne. To pożegnanie z Halszką przeczarowało wszystkie wrażenia i zawody, było zarazem czemś tak dla Jana niespodziewanem, że wątpić zaczął, czy jego uprzednie gorzkie spostrzeżenia nie były wynikami jakiegoś karygodnego pesymizmu.

Podczas wieczerzy zamkowej obawiał się jeszcze, czy nie rozgniewał na siebie księżniczki, widząc ją chmurną i unikającą jego wzroku. Ale po wieczerzy, żegnając się z całą rodziną Zbarazkich, wśród serdecznych objawów sympatyi rozróżnił dużo jeszcze cieplejszy, niemal namiętny uścisk

dłoni Halszki i ostatni cień usunął się z jaskrawego promienia, który mu spływał na serce. Żegnali go Zbarazcy jak miłego i blizkiego człowieka, więc twardy Dołęga rozrzewnił się, zapominając o swych społecznych urazach do wszystkich pokoleń, do Zbązkiego, do księcia Janusza i Andrzeja, którzy, każdy po swojemu, zapewniali go o przyjaźni. Tylko Reckheim pożegnał go sucho i w milczeniu, jak zwykle. Panna Temira Ostykówna pocałowała go w głowę, księżna Januszowa dała mu na pamiątkę ładny album widoków Waru, fotografowanych przez Amona — i było w tej scenie ostatniej coś tak niby familijnego, że Dołęga, łącząc te wrażenia z cudowną pamiątką rozmowy z Halszką w parku czuł się przeniesionym w dziedziny jakiejś wspaniałej, dumnej szczęśliwości. Z tego zawrotu głowy nie ochłonął bynajmniej w nocy, w swoim pokoju. Myślał i godził swe myśli za pomocą specyalnej logiki zakochanych, która w gorących strefach uczucia odstępuje od swych nieubłaganych prawideł.

Zdobywszy pewny dowód, że kocha go ta jedyna, o której przez dumę tylko zakazywał sobie marzyć, czuł raczej, niż dochodził do wniosku, że światłość go ogarnia, że jasna przyszłość go czeka i wielka moc w niego wstępuje. Ona będzie jego żoną... To przecie cały świat nowy, którego jeszcze nie miał czasu urządzić, bo nie śmiał go przewidywać. Co za szczęście i jaka potęga! Bo przecie obok ścisłego związku z wielu potężnymi lu-

dźmi — i pieniądze... Wzdrygnął się, gdy o pieniądzach pomyślał, ale natychmiast znalazł mnóstwo argumentów za sobą: nikt nie odmawia pieniędzy, jako zwiększenia swej siły działania... Czy to źle nabyte bogactwo? czy cena marnego czynu? Ona zresztą sama dokona wielu dzieł pięknych i pożytecznych, oparta na jego ramieniu — taka towarzyszka! Niech właśnie ona będzie wielką obywatelką i prawdziwą panią i matką rodu. Któraż zdolniejsza od niej? Której należna większa cześć i miłość?

Począł myśleć bezładnie o szczegółach praktycznych: o tem, gdzie będą mieszkali, o tem, jakby szybko pomnożyć swój osobisty majątek, o przyszłych stosunkach z rodzicami Halszki... bo, że zechcą oddać mu Halszkę za żonę, o tem nie wątpił: całe ich obejście, pożegnanie, świadczyło o najlepszem usposobieniu. Tej nocy Dołęga nie wątpił o niczem.

Wracał znów myślą do wspomnienia owego pocałunku w alei: widział przed sobą te oczy dobre, a szalone, i bladość tej twarzy, na której migało różowe słońce po przez liście, i czuł zapach włosów jej, niby esencyę wszystkich woni książęcego parku w pełnym rozkwicie. Nie dziw, że nigdy Dołęga nie czuł tak blizko siebie równie pięknej kobiety, ale z tego nie zdawał sobie sprawy, że nie mógł jej nawet z innemi porównać, bo była jedyna dla niego, i jedyna sama przez się. Fizyczna jej piękność należała do tych wyjątkowo udanych

produktów starych ras i licznych wykwintów, których kształt i wdzięk, choć zbliżone bardzo do klasycznego kanonu, noszą jeszcze coś osobistego, niby podpis wielkiego mistrza.

Dołęga nie mędrkował estetycznie o postaci swej ukochanej, czuł tylko, że głęboko ją kocha i szalenie jej pragnie.

Wśród tej rozkosznej bezsenności drgnął, posłyszawszy naraz ciche kroki na korytarzu, przyległym do pokoju. Ktoś zbliżył się i zatrzymał pod jego drzwiami. Jan, wyjątkowo czujnie nastrojony nerwowo, czuł, że stoi tam ktoś za drzwiami, wahając się, czy ma wejść. Służący miał go obudzić o czwartej, ale zaledwie minęła druga godzina po północy. Ten ktoś przychodzący nie miał powodu skradać się tak cicho i tak długo, jeżeli chciał wejść do pokoju. Czy to nie kobiece kroki?... Dołęga poczekał jeszcze chwilę, wreszcie zapytał głośno:

— Kto tam?

A potem, sądząc, że zapytaniem spłoszył ode drzwi nocnego gościa, ciekawy niezmiernie, kto nim być mógł, zerwał się z łóżka, uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Pode drzwiami nie było już nikogo, tylko w głębi korytarza dojrzał Jan wysoką postać męską, szybko oddalającą się.

— Andrzej! — rzekł do siebie Dołęga.

Powrócił do łóżka i rozmyślał:

— Boi się mnie widocznie... miał mi późnym

wieczorem oddać ten list do Hellego — sam o tem zapomniałem.

I z łatwością odgadł walkę wewnętrzną, którą Andrzej tej samej nocy toczył z samym sobą. Była to ostatnia chwila, wymagająca stanowczej osobistej decyzyi w sprawie oświadczenia się o Marynię. Czy pójść za głosem serca i sumienia, ożenić się z Hellówną, zacząć życie czynne i samoistne, wmieszać się w robotę społeczną, do której będzie posiadał wszystkie warunki: rozum, stanowisko i pieniądze? Zdobyć się tylko na postanowienie i zaczerpnąć jeszcze siły w radzie Dołęgi... Albo nie czynić gwałtu swej rozpieszczonej, zbyt wrażliwej naturze, pozostać tu, gdzie wygodniej i między swoimi, nie walczyć z rodziną, — nie czynić też przykrości tej biednej Izie...

Kiedy się nad tem namyślił, Dołęga wpadł w gniew, szczególnie przeciw pani Izie.

— Ta go pewno trzyma... Taką babę z armaty by wystrzelić, a nie dopuszczać jej do poufałości w szanownych rodzinach, choćby była dziesięć razy krewną. Już to Halszka i ja potrafimy ją potraktować u siebie, w domu... Ależ baba i sam Andrzej. Nie chcesz się żenić z Hellówną, toć przecie nie twój obowiązek — nie żeń się, ale pomyśl zawczasu o tem, co czynisz; postępuj jak pan zawsze, a nie noś się z pańska wtedy, gdy już inaczej wyratować nie możesz swej godności. Ej! Licha młodość, liche będzie i życie...

Ostatnie zdarzenie i wynikające z niego uwagi

zasępiły nieco Jana, rzuciły też cień na obraz, pełen słońca, któremu przyglądał się od kilku godzin w wyobraźni. Wady, słabości, złe roboty Zbarazkich stanęły mu znowu przed oczyma, ale wyciągał z nich dzisiaj inne wnioski. Żeby świat był doskonały, nie wartoby go naprawiać. Niechno ja wejdę w skład ich rodziny!...

Wstał i zaczął się ubierać. Służba zjawiła się natychmiast, liczniejsza i zabiegliwsza tego dnia ze względu na wyjazd gościa i spodziewane napiwki. W sali jadalnej zastał przygotowane śniadanie i zamiast Andrzeja, którego się trochę spodziewał, list od niego, w tych słowach:

Mój Janku!

Posyłam Ci list do pana Arnolda Hellego, który przeczytaj i oddaj mu z jakiemi zechcesz objaśnieniami. Sam Ci tego listu nie oddaję, bo nie mam z czem się chwalić; postąpiłem sobie pospolicie, ale może przezorniej, niż Ci się wydaje. Iść samotnie i przebojem — to nie dla mnie zadanie, a gdybym tego na razie spróbował, z pewnością skręciłbym kiedyś z drogi i byłoby jeszcze gorzej. Do widzenia w Warszawie, lub w Warze, albo gdzieindziej na szerokim świecie.

Bądź zdrów i dochowaj mi przyjaźni.

Serdecznie twój

Andrzej.

List do Hellego, nie zamknięty, był dobrze ułożony ze względu na cel, jaki miał sprowadzić, to jest — odmowę. Andrzej oświadczał się, ale zaznaczał wyraźnie, że działa w swojem imieniu, bez upoważnienia rodziców. Było to trochę dumnem zadośćuczynieniem, należnem pannie, w formie prośby o jej rękę.

Ponieważ Dołęga z góry przewidywał treść listu, przeczytał go bez zadziwienia, schował do kieszeni, a gdy spostrzegł, że godzina wyjazdu się zbliża, przeszedł do sąsiedniego salonu i otworzył drzwi na wielki taras od strony parku.

Już białe, już upalne, na niższe tylko mgławice i wody rzucając różowe odkosy, wschodziło słońce na rzadki błękit nieba. Dołęga poczuł, że pod drzewami musi jeszcze drzemać dużo nocnej świeżości w bogatej rosie, i zbiegł ze schodów, aby zaczerpnąć w piersi zapas tej krasy na długie może dni rozstania. Jeszcze słońce nie wybiegło ponad zamek i wyniosłe wierzchołki drzew; im dalej postępował Jan, tem głębiej zapadał w tę noc przezroczystą, zieloną, która zalewa stare ogrody o wschodach i zachodach. Ale, tęskna wieczorem, ta zielona noc jest niezmiernie radosna wczesnym rankiem. Zapachy przefiltrowane przez wilgoć, inne są, młodsze niby i rzeźwiejsze; barwy nie rozkładają się zwartemi plamami, lecz pływają w rozlanem wszędzie zielonawem przezroczu. Chyba że gdzie słońce między drzewami wtargnąwszy na polanę, rzuciło swój blask stanowczy, wyzywając do

współzawodnictwa wszystkich kolorystów świata. I wtedy ziemia, omyta w przeczystej rosie, pod ognistem okiem słońca, przybiera uśmiech swój najpiękniejszy.

Jan doszedł do miejsca, gdzie wczoraj pożegnał Halszkę w alei. Turkawki gruchały wysoko, prawie nad tem miejscem.

— Gdybym był przesądny — rzekł do siebie Jan — poczytałbym to sobie za dobrą wróżbę.

I podniósł głowę w górę, chcąc dostrzedz ptaki między liśćmi. Patrzył długo w te niezmierzone wiązania liści, mieniące się od lekkich podmuchów, od jakichś niewidzialnych gonitw, od wdzierających się wschodnich promieni. I oczy od zapatrzenia zaszły mu łzami.

Pomyślał wtedy, że odjeżdża z sercem pełnem obietnic, ale bez żadnych istotnych owoców swej pracy, swych zabiegów. Lecz nie czując już żadnej goryczy w sercu, jeno wielką miłość dla ziemi, dla ludzi i dla Halszki, począł bezmiernie pragnąć szczęścia tej ziemi, tym ludziom i Jej, która była dla niego.

XXXIV.

Już w końcu sierpnia ziemianie zaczęli ściągać do Warszawy liczniej w tym roku, niż zwykle, z powodu wystawy rolniczo-przemysłowej, która miała być otwarta we wrześniu. Hektor Zawiejski, mając zajęcie i stanowisko prawie we wszystkich oddziałach, siedział od miesiąca w mieście; w ostatnich dniach przyjechał tu i pan Norbert, dla różnych spraw publicznych i prywatnych.

Hektor patronował wystawie jako członek Sportu, chociaż miał i wiele innych do tego tytułów, należał bowiem do wielu stowarzyszeń i instytucyi. Sport dostarczał wystawie prezesów, sędziów, a także nieco pieniędzy; wykonaniem trudnili się inni. Szczególniej w najzaszczytniejszym oddziale — koni — zasiadało, a raczej zapisało swe nazwiska liczne grono członków Sportu w charakterze dyrektorów, lub biegłych: byli tam Kostkowie, Koryatowiczowie, Gnińscy.

Kerstena uczyniono głównym sędzią psów, gdyż znał się niepospolicie na ich cnotach i odmianach, a mawiał często, że najlepszych w życiu przyja-

ciół znalazł między psami. Wierzono mu i oddano dział pod absolutną władzę. Aby uprzedzić żarty, mawiał teraz Kersten:

— Otom się doczekał nareszcie zaszczytu w służbie publicznej—jestem prezesem od psów.

Zgodził się jednak być nim, bo wiele osób z najlepszych rodzin bywało już za granicą sędziami psiego wydziału.

Szydłowski nie przyjął proponowanych mu obowiązków przy dziale myśliwstwa, bo nie zgadzał się z zasady na żadne zajęcia, połączone z odpowiedzialnością, ceniąc przedewszystkiem swój wygodny spokój i niezależny uśmiech krytyczny. Tekę myśliwstwa wziął zatem Koryatowicz. Włosek objął wydział miłosiernych wyzysków, czyli różnych sprzedaży programów przez panie, zabaw, urządzanych na pokrycie kosztów wystawy i na cele dobroczynne; dawało mu to powód do niezliczonych kursów między salonami a polem wystawy.

Na tem właśnie polu, w gotowym już lokalu administracyi ogólnej dyżurował dzisiaj Hektor Zawiejski, siedząc przy stole głównym, pośród kilkunastu innych stołów, nad któremi pochylało się wielu urzędników podrzędnych. Relacye, zapytania urzędników zdążały ciągle do niego, było bowiem wiele kwestyi do rozstrzygnięcia. Stół Zawiejskiego był zarzucony papierami, młody zaś „prezes", jak go tam tytułowano, radził sobie nieźle w tym nawale spraw, z któremi bardzo tylko lekko był

obznajomiony. Znał głównie plan wystawy i osoby, które urządzały składowe jej części. Szybkim rzutem oka zdawał sobie sprawę z przedstawianych mu papierów, szybkim ołówkiem notował, krótkiemi słowy odsyłał do właściwych dykasteryi — i wyglądał wspaniale, niby główny motor skomplikowanej machiny. Palił ciągle papierosy, aby zagłuszyć mdły zapach farby, panujący w świeżo malowanej budzie.

Pracował tak od godziny, gdy do stołu jego zbliżył się Arnold Helle, który dla braku czasu nie brał udziału w urządzaniu, ale miał na wystawie swoje okazy niemal w każdym dziale.

— Panie Zawiejski! — rzekł Helle głośno i bez wstępów — jeżeli mi mają zasłonić mój pawilon machin od głównej ulicy, to cofam go zaraz.

— Ależ panie prezesie — odparł Hektor układnie, przysuwając Hellemu krzesło — nikt mi o tem nie mówił... zaraz zobaczymy na planie.

Helle zbliżył się do planu, rozpiętego przy biurku, objął go szybko oczyma, a twarz poczęła mu drgać i kurczyć się, niby dokładny instrument techniczny, którym odrysowywał kierunki linii. Wkrótce znalazł punkt żądany.

— O, patrz pan: litera C5, najlepszy z pawilonów żelaznych, cały z moich warsztatów i pełen ciekawych modeli. Powinien przecie stać na widoku. Przychodzę obejrzeć, jak go montują, a tu widzę rusztowanie innego pawilonu, który zakrywa mój do połowy. To niemożliwe.

— Panie prezesie... litera C2... 3... C4, to pawilon księcia X. ze Szląska. Obiecaliśmy mu...

— A! skoro księcia, to ustępuję i swój zabieram. Nie wiedziałem, że i w przemyśle książęta są na to, aby porządnym firmom w drogę włazić.

— Nigdy tego nie dopuścimy. Niech pan prezes pozwoli ze mną na plac.

Poszli na miejsce, gdzie wznoszono pawilony C5 i C4. Okazało się, że do pawilonu książęcego dostawiano odnogę, którą łatwo można było przestawić w stronę przeciwną. Zawiejski natychmiast zarządził tę zmianę z narażeniem się na skargę drugiego sąsiada, C3, który był mniej potężnem książątkiem żelaza.

— Dziękuję panu... do widzenia — rzekł Helle, wstrząsając potężnie ręką Zawiejskiego.

— A czy pan prezes będzie dzisiaj na posiedzeniu naszem redakcyjnem? — przypomniał jeszcze Hektor. — O piątej, właśnie dość czasu przed obiadem.

— Nie będę. Zaledwie kilka numerów... zobaczę, jak to poprowadzicie. Niech się pismo trochę rozwinie, a wtedy będę miał parę rzeczy do wskazania. I dzisiaj zresztą zastąpi mnie tam Krupkowski, z którym już mówiłem, a który potem zda mi relacyę wieczorem. Może i pan do nas zajdzie?

— Aa... tak... właśnie dzisiaj mam zaszczyt... to jest dostałem zaproszenie od pani prezesowej na obiad.

Helle zaśmiał się:

— Tak, tak, przepraszam; moja żona tem się zajmuje. Więc doskonale, będę miał przyjemność widzieć pana na obiedzie.

Zawiejski powrócił na chwilę tylko do zarządu wystawy, poczem pojechał dobrą doróżką na posiedzenie redakcyjne nowego pisma „Zgoda“, które sam poniekąd założył w przeszłym miesiącu, dostawszy koncesyę w Petersburgu. Ponieważ pieniądze na prowadzenie pisma dał głównie Helle i obwarował się kontraktem, był też i rzeczywistym właścicielem tej gazety. Ale Hektor podpisywał się na niej jako wydawca i jeszcze jeden laur dorzucił do wieńca swych obywatelskich czynów.

Lekka przysługa, oddana dzisiaj Hellemu, była Hektorowi bardzo po myśli, starał się bowiem, nie bez kozery, przekonać potężnego przemysłowca o swojej wartości. Okrążał go coraz ściślej i pochlebiał mu przy każdej okazyi.

Dorożka mknęła przez źle brukowane ulice, turkocząc i rzucając Hektora; była mu jednak tryumfalnym wozem: czuł, że mu się wiedzie, że go cenią ludzie, o których on dba wzajemnie. Gdy wjechał w Aleję Ujazdowską, dobrobyt fizyczny spotęgował jeszcze zadowolenie sumienia. Dorożka toczyła się gładko, szybko, wśród pięknych drzew i willi; Hektor spotykał znajomych ze Sportu, z „miasta“, z różnych zakresów pracy i próżnowania; znajomi kłaniali mu się uprzejmie, czasem nawet nizko i skwapliwie. Jechał od jednej lekkiej

pracy do drugiej; czuł się mężem stanu, a jeszcze młodym i pełnym wdzięku; dzień był pogodny...

Na Nowym Świecie zatrzymał go ktoś ze Sportu, jadący własnym powozem, proponując obiad za miastem, z baletem.

— Nie mogę, jem obiad u Hellów.

— No, to się przejedź tymczasem ze mną w aleje. Zobaczysz, jak kłusuje ta para.

— Nie mogę, jadę z sesyi wystawowej na sesyę „Zgody".

— A niech cię dyabli! Nigdy cię już złapać nie można.

To przekleństwo było najwonniejszem kadzidłem dla Hektora. Jechał dalej i czuł się znowu u szczytu powodzenia, w doskonałym rozkwicie swej karyery.

Po sesyi redakcyjnej, na której nie trzeba było zabierać głosu, bo redaktor Krupkowski mówił za wszystkich, tłómaczył, co było i będzie, — Hektor wpadł do hotelu, zaczął się myć i ubierać na obiad. Teraz rycerz porzucał zbroję społeczną i nakładał lekki strój, bardziej stosowny do nowej roli podbójcy serc kobiecych. Pod koniec tych przygotowań wszedł do pokoju syna patryarchalny pan Norbert.

— Czekałem na ciebie — rzekł, oprawiając swą postać barokowego apostoła w czerwone tło kanapy, na której się usadowił — czekałem, bo trzeba się ostatecznie zastanowić nad tem, co czynimy.

— Zawsze stosować się będę do rozkazów papy.

Hektor poważał ojca rzeczywiście i rozmyślnie. Najprzód zależał od niego, bo dostawał mało pieniędzy w stosunku do wielkiego majątku pana Norberta; powtóre — znał ojca i wiedział, że nie dobrze jest sprzeciwiać mu się, owszem, trzeba go słuchać; wreszcie spostrzegł już dawno, że ojciec jest bardzo doświadczony, a dąży zupełnie do tego samego, co on: do wywyższenia siebie i swej rodziny, której ulubionym przedstawicielem był syn jego, Hektor. Nie trudno było zatem Hektorowi czcić i kochać ojca, jak siebie samego.

Po krótkim namyśle odezwał się znowu Norbert:

— Czy na obiedzie nic nie zamyślasz przedsięwziąć?

— Wątpię, aby to było możliwe. Kroki wstępne poczyniłem: panie są chyba po mojej stronie. Hellego starałem się ująć wszelkiemi sposobami — i dzisiaj jeszcze.

Opowiedział przysługę, oddaną przy odsłonięciu pawilonu machin. Pan Norbert kiwał głową, pochwalając.

— Przygotowania dobre — rzekł. — Teraz powiedz tylko, czy czujesz w sobie dostateczną odwagę, by ożenić się z panną Helle?

— Odwagę? — zapytał zdziwiony Hektor — panna bardzo mi się podoba...

— Nie o to pytam. Przewiduję dalej i mam

nadzieję, żeś i ty o tem pomyślał. Czy czujesz w sobie odwagę dostateczną, aby ożenić się z mieszczanką, dać jej nasze nazwisko, uczynić z niej matkę naszych przyszłych pokoleń? Idee szlacheckie nazywają dzisiaj przesądami, jednak wierzaj mi, że jest to najlepsza spuścizna moralna, którą po ojcach naszych dziedziczymy, i nie byle co warta.

Hektor patrzył chwilę na ojca, aby się przekonać, czy nie żartuje. Ale twarz pana Norberta była arcykapłańska; więc choć Hektor wiedział równie dobrze, jak jego ojciec, że szlachectwo Zawiejskich ograniczało się zaledwie do paru wstecz pokoleń, których różnicę od innych stanów trzeba było jeszcze mozolnie popierać dowodami, zrozumiał, że to nie żart, jeno wskazówka, z jakiego tonu traktować należy związek z Hellami. Skłonił głowę i odrzekł z przejęciem:

— Czuję tę odwagę, papo. Zdaje mi się też, że panna Marya zrozumie, do jakiej rodziny wstępuje i potrafi uszanować nasze tradycye.

— Daj Boże! — odrzekł Norbert, wznosząc oczy.

Nastała chwila milczenia. Syn spoglądał na ojca i myślał, że wolałby się dowiedzieć, ile dostanie pieniędzy w razie dojścia małżeństwa do skutku, niż mówić o fałszywych tradycyach Zawiejskich, które już zbadał do gruntu, a zatem wiedział, że oprócz świeżych pieniędzy i cudzych haseł w tych tradycyach nic się nie mieściło.

Ale pan Norbert myślał już o czem innem:

— No, a gdyby... gdyby Helle grymasił?

— Wtedy mamy odwód —- rzekł śpiesznie Hektor.

— Mamy. Niechże cię Bóg prowadzi. Ruszaj, bo już czas.

XXXV.

O tem, że się Andrzej Zbarazki oświadczył, dwa miesiące temu, o rękę Maryni — mało kto wiedział. Helle, gdy mu Dołęga przyniósł list młodego Zbarazkiego, wybuchnął krótkim gniewem. „Jakto?! oświadcza się z łaski swojej... starzy nas nie chcą?! To nas o łaskę prosić trzeba“ i t. d. Ponieważ Dołęga zniósł ten wybuch bardzo zimno i zdawał się potwierdzać domysł, że oświadczyny są tylko pozorne, Helle uspokoił się szybko, owszem, podziękował Janowi za pośrednictwo w tej delikatnej sprawie. Bez namysłu, po krótkiej rozmowie z żoną, której podyktował tylko własne zdanie, napisał do Andrzeja Zbarazkiego list suchy i stanowczo odmowny. Maryni nie powiedział nic o tej korespondencyi, a bardzo wiele o Andrzeju, mianowicie, że to nietylko bałamut, birbant i lekkoduch, ale że grozi mu choroba umysłowa: oświadczył się o pięć już panien w tym roku współcześnie, bez zastanowienia. Temi sposobami starał się ojciec wybić z głowy córki uroczą postać młodego księcia. Pani Hellowa delikatniej

jednak wyraźnie potępiała charakter i postępowanie Andrzeja. Marynia wierzyła nawpół tylko, płakała po kątach i zapadła bardziej jeszcze w słodką melancholię, do której była zawsze skłonna. Helle dołożył ostatni list Andrzeja do poprzednich, pisanych do Maryni, całą paczkę opieczętował i schował do działu spraw zakończonych.

W tej samej epoce Zawiejscy, ojciec i syn, doszli do przekonania, że Hektor powinien się ożenić: wiek męski rozpoczęty (minął już trzydziestkę), stanowisko dojrzewające, rosnąca wziętość u ludzi — wszystko przemawiało za wyszukaniem żony dla Hektora. Pan Norbert, zarówno jak syn jego, w marzeniach i ambicyach sięgali wysoko; to też kiedyś myśleli nawet o Halszce Zbarazkiej, potem o Zosi Kostkównej; a skoro te pretensye okazały się poprostu śmiesznemi, bo o Halszkę ubiegali się najpierwsi, a Zosia wyszła za księcia Koryatowicza, — Zawiejscy mieli w odwodzie jedną z panien Gnińskich, niеładnych, ale pochodzących z wielkiego rodu, kuzynek zresztą Halszki i Zosi. Wtem błysła w głowie Hektora myśl samoistna; postarać się o rękę Maryni Hellównej! Był to wyskok ambicyi w innym kierunku. Związek ten nie pomnożyłby zaszczytnych kolligacyi, ale milionowe dziedzictwo po Hellem opromieniłoby może jeszcze świetniej klejnot Zawiejskich. Przytem można się było kochać w pięknej Maryni, można będzie owładnąć słodką i potulną Marynią... Jak dawniej Hektor odgadł raczej, niż wiedział, że Andrzej

kręci się około Hellównej, tak i teraz zwietrzył, że Andrzej uciekł, albo dostał odkosza. Zawiejskiemu to nie przeszkadzało; owszem, wieść, że o tę pannę starał się książę Zbarazki, dodawała jej blasku w oczach nowego konkurenta.

Tym konkurentem był już, to jest krążył około Hellego, wynajdywał mnóstwo wspólnych spraw i koniecznych spotkań, aby upozorować częste bywanie w jego domu. Znany to był sposób i próbowany już przez innych: do salonu tego wchodziło się przez biura.

Panie Helle nie wyjechały tego lata z Warszawy, chociaż zwykły były przepędzać część lata i jesień za granicą. Gdy jednak Marynia zatrzymywała matkę ze względu na Andrzeja, który mógł i powinien był się oświadczyć, następnie, chociaż nadzieja córki osłabła, a nadzieja rodziców stanowczo została zawiedziona, trudno było zaraz wyjeżdżać; nadchodziła wystawa. Helle miał w niej duży udział; postanowiono zatem wyjechać dopiero na późniejszy sezon do Ostendy. Przez całe więc lato salon pani Hellowej był otwarty. Hektor miał sposobność do częstego w nim bywania i to w porze roku, gdy zabiegi te łatwiej mogły pozostać tajemnemi dla jego znajomych, których przeważna część wyjechała z Warszawy. Pani odgadła wcześnie znaczenie uprzejmości i częstych odwiedzin młodego Zawiejskiego; wydawał się jej człowiekiem przyjemnym, słyszała o nim same pochwały, a przytem czuła bezwiedny, nieprzyznany nawet

przed samą sobą pociąg do członków Sportu, do tych ludzi, opromienionych jakąś pewnością siebie, do tych „urodzonych“, a za jednego z takich miała Zawiejskiego. Hektor to czuł i wyzyskiwał swą przewagę z umiarkowaniem, godnem dyplomaty, niezmiernie grzecznie i skromnie podkreślając przy każdej sposobności swą wartość towarzyską i społeczną. Najtrudniej mu było wyrozumieć, co myśli c nim, co myśli wogóle Marynia. Dawniejsza, pobieżna z nią znajomość, posłużyła mu tylko do porównania: stwierdził że Marynia spoważniała, że ma oczy głębsze, bardziej ocienione, a uśmiech mniej dziecinny, trochę bolesny; podnosiło to jej wyraz, czyniło ją jeszcze piękniejszą. Rozmawiała bez ożywienia, ale łatwo i uprzejmie. Hektor wystrzegał się wspominać jej o stosunkach swoich ze Zbarazkimi, co czynił często i chętnie wobec innych. Przyjaźń z Szafrańcem służyła mu teraz za świadectwo wysokich stosunków, a i tego motywu używał dyskretnie, gdyż w ostatnich czasach doszedł do przekonania, że, z małemi wyjątkami, arystokracya nasza jest kastą bez przyszłości.

Powtórzył to i dzisiaj na obiedzie u Hellów i wogóle był z siebie zadowolony. Zaproszeni należeli prawie wyłącznie do świata przemysłowców i pracowników; on błyszczał między nimi wytwornością, delikatnością uczuć i obejścia, ale basował im i podobał się równie mężczyznom, jak paniom. Z Marynią przemówił kilka słów o pokrewieństwie

pragnień, i dostrzegł w niej skłonności przyjazne. Szczególniej jednak w gabinecie Hellego odznaczył się przy cygarach w fachowej rozmowie o dziennikarstwie, w której redaktor Krupkowski dzielnie go podtrzymał. Gdy Helle objawił swoje zdanie, Zawiejski cały zamienił się w wykrzyknik:

— Oto, panowie, jakiegoby nam trzeba naczelnego kierownika nietylko dla „Zgody“, ale dla wszystkich naszych spraw krajowych! Ze słów pańskich i czynów płynie przykład i nauka. Szczęśliwi, którzy obcują z panem prezezem codziennie.

— No, no, pan sam dobrze wiesz, co robisz.

Helle podniósł oczy na Hektora i przez chwilę zatrzymał na nim skupione, żółte spojrzenie. Zdania Hektora przy obiedzie, jego niedawne braterstwo z mieszczaństwem, bezmierna uprzejmość i męskie rozrzewnienie, bijące od słów jego i oczu w tej chwili, zastanowiły naraz Hellego. Tak stary sęp, rozbudzony z drzemki na wysokim wierzchołku, spogląda na krążącego w jego dzielnicy młodego jastrząbka.

Pożegnali się bardzo serdecznie, a gdy już goście się rozeszli, Helle począł chodzić po pokoju, myśląc o Hektorze. Zrekapitulował całe jego zachowanie się od miesiąca i doszedł do wniosku, że wkrótce zamierza poprosić o rękę Maryni. Wyliczył w pamięci wszystkie roboty Zawiejskiego, powierzchowne, bez ogólnego programu, obliczone na efekt. Wyliczył potem przypuszczalny majątek

rodziny i rozdzielił go pomiędzy trzech synów. Zważywszy te aktywa, zmarszczył się i rzekł głośno:

— Mało...

Ocenił potem charakter przypuszczalnego kandydata. Wydał mu się człowiekiem zdolnym, wyrachowanym, przezornym, ale chciwym przedewszystkiem swego znaczenia, swego użycia. Jako pomocnik w interesach może nie zawsze być równie giętki, jak dzisiaj...

— Niepewny.

Wreszcie zastanowił się nad chlubą, którаby na jego dom spłynęła z tego związku. Na te względy nie był nieczuły, przyzwyczaił się tylko wmawiać w siebie i w innych, że to „jego baby“ dbają o kolligacye. Ale skoro zważył zaszczyt, wynikający z wydania córki za Hektora, uśmiechnął się pogardliwie:

— Co mi to za arystokracya rodowa?... Stoi na pewności siebie i na pieniądzach. Phi! Tego my sami mamy więcej.

I przekreślił palcem powietrze, jakby wymazywał nazwisko Zawiejskiego z liczby kandydatów. Poczem poszedł do żony na rozmowę.

Gdy. w dwa dni potem, około południa, oznajmiono Hellemu, że hrabia Norbert Zawiejski pragnie się z nim widzieć, ojciec Maryni porozumiał się z sobą w krótkim uśmiechu. Kazał zaraz prosić Zawiejskiego, oddalając innych czekających.

Pan Norbert był w czarnym surducie, namaszczony zwykłą powagą, tylko z pewnym zapachem wyjątkowej dobroci.

— Cieszę się bardzo, że zastaję kochanego prezesa samego, przychodzę bowiem dzisiaj nietylko z uszanowaniem, ale mam się udać do pana przyjaźni.

— Proszę bardzo, proszę siadać.

— Ja wieśniak, pan mieszkaniec miasta — nie częste mieliśmy spotkania i osobiste stosunki; proszę mi jednak wierzyć, że zbliska, czy zdaleka, zawsze wysoko ceniłem pańską obywatelską działalność.

Helle skłonił się ze swobodą, Norbert ciągnął dalej:

— Nie są to czcze słowa. Szacunek powszechny, który otacza pana i jego rodzinę, jest wymownym dowodem zasług pańskich dla społeczeństwa. Że tak poprostu się wyrażam, nie weźmie mi pan tego za złe. Już stary jestem, starszy dużo od pana... Wiele też lat ma kochany prezes?

— Ej, panie — lata pracy liczą się podwójnie.

— Zawsze dużo starszy jestem... i pragnę już spoczynku; na szczęście mam wyręczyciela, który równie fortunkę moją, jak tradycyę i, da Bóg, rodzinę poprowadzi dobrze. Mówię o moim najstarszym synie, Hektorze. Nie śmiem go chwalić, ale, jako obywatela, chwalą go jego roboty, dobrze panu znane, a syna lepszego mieć nie można: delikatny, przyjemny, zacny charakter. Dobrze mieć

taką młodą nadzieję przed sobą, niby przedłużenie własnego życia, które się już pochyla...

Oczekując jakiegoś odgłosu tych pochwał, a nie słysząc nic, Zawiejski dostał pierwsze ostrzeżenie i zaniepokoił się. Pomyślał jednak, że Helle jest gburem, i mówił dalej:

— Człowiek to już wytrawny, chociaż młody. Ale w pewnych kwestyach życiowych, wymagających doświadczenia, za młodych powinni myśleć starsi, miarkować ich zapały, chyba, że te zapały są zupełnie dobrze i zacnie skierowane, wtedy je popierać..

— Zapewne, zapewne.

— Czy pan nie jest mego zdania, panie prezesie?

— Owszem. Chodzi panu o jakieś zamiary syna, w których ja mógłbym być pomocny? — zapytał Helle dobrodusznie.

Zawiejski zmiarkował tym razem, że Helle nie chce zrozumieć, więc albo pragnie uniknąć tej materyi, albo doprowadzić do otwartego wyznania, a wtedy... co? czyżby śmiał odmówić?! Pot zaczął występować Norbertowi na łysinę. Uśmiechnął się jednak.

— Tak rzadko się widujemy, że nie przywykliśmy do siebie nawzajem i nie zupełnie dobrze, że tak powiem, pasują do siebie nasze sposoby wyrażania się Przyszedłem, nie powiem bez powodu, na gawędkę z panem, której dawno pragnąłem, licząc na przyjaźń pańską, na stosunki z moim

synem... Ale może wybrałem złą porę? pan zwykle zajęty rano.

— Rano widuję interesantów, oddaliłem ich nawet paru, aby pana przyjąć, sądząc, że masz mi pan coś konkretnego do powierzenia. Jeżeli tak jest, słucham z uwagą i proszę się nie krępować, bo nic bardzo pilnego nie mam dzisiaj do załatwienia.

Obok tego, co mówił, myślał: „Skoro widzisz, że po twoich alluzyach nie padam ci w objęcia, kręcisz, cofasz się, nie chcesz mi zrobić zaszczytu oświadczyn. Poczekaj: dostaniesz odkosza“. I wpijał badawczy wzrok w Zawiejskiego. Ale pan Norbert już zrozumiał, że się rozumieją nawzajem, już przewidywał wynik i cofał się na całej linii. Zasiadł się w fotelu, skrzyżował ręce i przemawiał uroczyściej:

— Mówiłem o Hektorze, bo przyszłość widzę tylko przez niego i dla niego. Nasza przyszłość nie jest mi jasna, dlatego chciałem coś o niej od pana usłyszeć. Co pan sądzi o kwestyi socyalnej u nas?

Namaszczony pan Norbert zmrużył oczy dowcipnie.

— Czy pan nie miałeś do pomówienia ze mną o jakiejś sprawie pana Hektora Zawiejskiego? — zapytał Helle krzywiąc się złowrogo.

— O specyalnej — nie. Chętnie mówię o nim, ale jego wszystkie sprawy zna pan równie dobrze, jak ja... Bardzo panu chciałem podziękować za popieranie usiłowań społecznych mego syna.

— A więc tak — rzekł Helle, rozpierając się także w fotelu i krzyżując ręce — mówiłeś pan o dzieciach z powodu naszej przyszłości. Rozumiem to, rozumiem. Nie mam syna, mogę więc myśleć tylko o przyszłości dla córki. Dla kobiety jedynem polem działania jest stosowne małżeństwo; o tem myślę, nie taję się. Ze względu na znaczny spadek po mnie i na pewną dobrą sławę, którą sobie zyskałem, jak mnie o tem często upewniają, jest wielu bardzo konkurentów, jest w czem wybrać. Wielu zacnych i pracowitych młodzieńców stara się o moją córkę, ale jak ich przeniknąć? jak poznać, o ile ich chęci są szczere, a nie interesowane, o ile ich zalety nie zbledną później, przy blasku złota? Ubiegają się też o moją córkę panicze z tak zwanych „pierwszych rodów“. Niedawno odmówiłem jednemu księciu... To jest więc sprawa, która mi bardzo na sercu leży. Szczerość za szczerość — wygadałem się przed panem, panie Zawiejski. A możeby pan mi wskazał kogoś na męża dla mojej córki, kiedy mówimy już tak otwarcie?... — Nie widzisz pan na razie nikogo, ktoby był godny tego, bądź co bądź, zaszczytu? — Tak, nie widzisz pan. — Co zaś do kwestyi socyalnej, dziwi mnie pytanie, gdyż kwestyą tą nie zajmowała się nigdy arystokracya.

— No, już nie będę panu zabierał czasu — rzekł pan Norbert, starając się nadać twarzy wyraz uprzejmy, choć krew mu nabiegała do oczu i skroni.

— Moje uszanowanie — rzekł Helle, odprowadzając Zawiejskiego do drzwi gabinetu. — Ignacy! podaj palto panu hrabiemu.

Ten tytuł był jedynem drobnem wynagrodzeniem, które zyskał za swą gorzką wyprawę niefortunny ojciec Hektora.

— Nie warto z tym człowiekiem zadawać się — mówił wzburzony pan Norbert do syna w hotelu.— Prawie, że mi dał odkosza — i to jakim tonem! Na szczęście ta odmowa nie stosowała się wyraźnie do nas.

— Jakim to sposobem, papo?

— Bo ja nic wyraźnego nie powiedziałem. Skorom wymiarkował usposobienie tego pretensyonalnego łyka, poprzestałem na ogólnikach, a nawet zupełnie zmieniłem rozmowę, ale.. wybadałem jego zamiary co do córki. No — odmawia książętom, gada o trudności poznania człowieka, starającego się o taki posag i o taki zaszczyt... Powiedział: zaszczyt — wyobraź sobie!... Może jest w tem palec Boży? Bóg nas ustrzegł od takich związków.

Hektor siedział ponuro ze zwieszonemi rękoma. Nagle ocknął się:

— Papa jest najlepszy i najmądrzejszy — przepraszam, że go naraziłem na taką wizytę.

W dziesięć dni później ogłoszono zaręczyny Hektora Zawiejskiego z panną Katarzyną Gnińską, dla której Hektor czuł dawny i stały afekt. Mó-

wiono, że pan Norbert pragnął dla syna innych związków, ale syn wyprosił się od nich i poszedł za głosem serca. Gnińscy nie dadzą posagu, a Zawiejscy połączą się nareszcie z prawdziwą arystokracyą rodową.

XXXVI.

Uporczywe pragnienia Dołęgi, cały zasób nowych spostrzeżeń, a głównie odkrycie uczucia Halszki — wszystko to złożyło się na niespodziewany wynik praktyczny: chęć szybkiego zbogacenia się. Że pieniądze są potężną dźwignią w ręku przedsiębiorczego człowieka, że zyskują na cenie w stosunku do dzielności ręki, która ich używa, że dają się przerobić na akcyę moralną i społeczną — o tem Dołęga myślał już dawno i był przekonany. Ale podnietą stawała mu się teraz i miłość własna. Zanim wystąpi jawnie jako pretendent do ręki księżniczki — skoro już tak szczęśliwie rzeczy się składają — niechże ma przynajmniej do okazania jakiś majątek osobisty, realny, nietylko oparty na obietnicach przyszłości. Ta myśl tak dalece go pochłonęła, że zapanowała obecnie nad wszystkiemi pragnieniami, stosując się właśnie do nich wszystkich.

Pracy, i dobrze płatnej, miał już dosyć. Podwoił ją jednak przez nowe starania. Nie porzucając biura kolei, podjął się rozmaitych robót przy urządzeniu wystawy i przy kanalizacyi miasta. Te osta-

tnie były uciążliwe i niezdrowe zwłaszcza podczas letnich upałów, ale umowa z przedsiębiorcami była korzystna, mało bowiem znalazło się ochotników do tych robót podziemnych, przy filtrach i ściekach, wymagających wielkiej dokładności i dozoru.

Zwiększenie dochodów było jednak powolnym krokiem naprzód, Dołęga marzył o doraźnem pomnożeniu kapitału. Z niejaką bezwzględnością upomniał się najprzód o mniejsze i większe sumy pieniężne, które mu się należały od krewnych i przyjaciół. Trudno! — mógł znów kiedyś pożyczyć, lecz teraz potrzebował koniecznie pieniędzy. Te zabiegi, łącznie ze szczęśliwym wypadkiem podniesienia kursu akcyj, w których miał złożony spadek po matce, udały się. Lecz i podwojenie kapitału dawało jeszcze cyfrę niepokaźną wobec minimum majątku wymagalnego od konkurenta Halszki. Cyfry jej posagu nie znał, ale przeglądając szereg tych, którzy mieli choćby lekką pretensyę do jej ręki, spostrzegł, że była to sama młodzież bogata.

— Żebym miał przynajmniej tyle, aby procent od mego kapitału wystarczył na moje osobiste wydatki, nie licząc dochodów z pracy. Jaka to będzie teraz silna, rozległa praca!

Po krótkiej walce wewnętrznej powziął też zamiar sprzedania swych obrazów. Dawniej odpychał tę myśl pod różnemi pozorami, obecnie uznał sprzedaż za konieczną i oznajmił swe postanowienie różnym kupcom i miłośnikom. Między obrazami znaj-

dował się jeden najcenniejszy: portret rycerza, przez Massaccia. Dołęga patrzył na ten obraz zawieszony naprzeciw biurka i często ta głowa kędzierzawa, ruda, to twarde spojrzenie zaufane w swej sile, ten ruch stanowczy torsu i ręki — podsycały jego wiarę w przyszłość, a także dawały złudzenie bogactwa, gdyż obraz ten, zachowany z czasów zamożności rodziny, znano i ceniono powszechnie. Miłośnicy obrazów nazywali go „rycerzem Dołęgi“. Gdy jednak Jan ogłosił, że jego rycerza można kupić, „znawcy“ krajowi, licząc na okazyę i na potrzebę sprzedającego dawali tak mało, że Jan, zniecierpliwiony, posłał fotografię i ofertę do muzeum w Berlinie, stawiając cenę dwa razy wyższą od żądanej w kraju. Jakoż po niespełna miesiącu oczekiwania przyjechał agent galeryi berlińskiej, obejrzał obraz i żądaną cenę zapłacił.

Wiodło się więc Dołędze, ale w tych powodzeniach materyalnych tkwił dziwny, gorączkowy niepokój. Dążył do celu wielkiemi krokami, jednak czy cel nie usuwał się przed nim w dal chwiejną i zawodną? Cała jego sprawa publiczna i prywatna, pozostała w Warze, zależała od zręczności paru niepewnych ludzi i od pamięci jednej kobiety.

W pierwszym miesiącu po przyjeździe stamtąd dowiedział się wprawdzie Jan, że Reckheim dostał od Halszki stanowczą odmowę. Wieść ogólna głosiła, że rodzice, a zwłaszcza matka, bardzo przychylnie zapatrywali się na małżeństwo księżniczki z młodym dyplomatą zamożnym i wysokiego urodzenia,

który nadto czynił nadzieję przejścia na katolicyzm; ale Halszka na formalne oświadczyny odpowiedziała bez ogródki, że nie wyjdzie nigdy za cudzoziemca. Poczem Reckheim wyjechał i przepadł bez wieści. Nie obawiano się o jego życie, ale raczej o to, aby nie pisał pamiętników o swym pobycie u nas, o gościnnem przyjęciu, należącem się jego osobie, i c barbarzyństwie kraju, któremu „miał czas się przypatrzyć“.

Wieść ogólna, wyjątkowo tym razem, była zupełnie zgodna z prawdą. Chociaż więc Jan oczekiwał z pewnością tych wypadków, nie mniej przecież uradował się, gdy nadeszły. Styl księżniczki zarysował się pierwszy raz publicznie w tym, chociaż biernym, postępku i Jan był z niej dumny, łowił chciwie dosłyszane tu i owdzie słowa pochwał dla Halszki, dorzucał je, milcząc, do swych najdroższych skarbów. Kilka dni następnych Dołęga przepędził w upojeniu i w ufności.

— Jak jej podziękować? jak wyrazić serdeczną pochwałę? Pisać do niej wydało mu się niepodobieństwem.

Napisał do Andrzeja, zapewniając go najprzód o niezmiennej przyjaźni mimo sprzecznych zapatrywań na niedawne postępowanie młodego Zbarazkiego. Skoro małżeństwo z Hellówną stało się niemożliwem, nie było o czem mówić. Jeżeli „nie tędy droga“, jak się wyraził Zbązki, to może kędyś indziej? Różne drogi prowadzą do pożytku, do moralnego zadowolenia. Starał się być w liście wesół,

przyjazny; pragnął wyrazić dużo dobrych uczuć, które żywi dla całej rodziny, a także otrzymać w zamian jak najwięcej szczegółów o koncesyi, o przyjeździe Zbarazkich do Warszawy. Nie brakowało uścisków, ucałowań rączek dla starszych pań, ukłonów dla młodszych.

Na list ten, napisany w początku sierpnia, nie otrzymał wcale odpowiedzi. Dopiero pod koniec miesiąca dowiedział się, że Andrzej wyjechał już dawno do jakichś wód we Francyi.

Tymczasem nerwowy niepokój oczekiwania, połączony z uciążliwą pracą wśród upałów panujących w mieście, doprowadził Dołęgę do przykrego stanu zdrowia. Czuł się znużonym i podnieconym zarazem, sypiał źle i — rzecz dziwna — on, który kochał Warszawę, począł czuć do niej wstręt fizyczny. Wystawa, do której planu i ustawienia dużo się przyczynił, wydawała mu się marną, biedną i przygnębiającą. Zohydził sobie rozpalone mury i chodniki, drzewa pokryte pyłem, więdnące przedwcześnie w upale; woń ulic, zwłaszcza nie skanalizowanych, dławiła go. A gdy mu wypadło odbierać jakąś robotę przy filtrach, poprostu buntował się i nie mógł czasem powściągnąć wybuchu kwaśnego humoru.

Gdy z wieczornym chłodem przychodziło trochę ukojenia, przemyśliwał w mieszkaniu swem, smutniejszem, bo ogołoconem z głównych ozdób, jakim sposobem zasięgnąć wiadomości o Halszce. Choćby dotknąć się czegoś, co bezpośrednio było z nią

w zetknięciu... Nie miał od niej żadnej pamiątki. Przeglądał album Waru, który dostał od księżnej Hortensyi, ale te cienie obrazów podniecały tylko jego tęsknotę, nie zadawalając jej wcale. Żeby choć była fotografia tej alei, w której pożegnał Halszkę... Nie miał też żadnego jej portretu, a nie wiedział gdzieby go znaleźć.

Zdecydował się raz napisać do panny Ostykównej i już zaczął:

Szanowna i łaskawa Pani!

Cenny bardzo upominek, ów album widoków Waru, który otrzymałem przy pożegnaniu, ma jeden brak żałosny dla mnie: brak wizerunków mieszkańców...

— Zgłupiałem zupełnie — rzekł niecierpliwie, drąc na kawałki zaczęty arkusz.

Zaczął się strofować, że kocha jak student, że widuje we snach zaczarowane ogrody, a w nich Halszkę smutną, zawsze samą, zawsze oddaloną przez jakieś tajemnicze moce, w przezroczach zielonawych cieni, w których gruchają turkawki. Starał się wmówić w siebie uczucie bardziej męskie, polegające na wyrozumowaniu, oparte na stronach moralnych. Ale gdy czasem przez otwarte okno jakiś wietrzyk przychylny wpadał razem z lekką wonią drzew, cudem ocaloną w kurzu ulicznym, Dołęgę ściskało za gardło.

— Jednak ciężko mi...

Wrzesień był jeszcze cięższy, choć chłodniejszy. Od wyjazdu Dołęgi z Waru upływał trzeci miesiąc. Wystawa otwarta, rozpoczynające się wyścigi jesienne powinny były sprowadzić Zbarazkich do Warszawy; mówiono o tem jeszcze w Warze. Tymczasem ani Zbarazkich, ani nawet Andrzeja, który bywał zawsze na wyścigach, ani cienia wiadomości. Gdyby Dołęga nie krytykował tak surowo swych przywidzeń i przeczuć, mógłby myśleć, że War i wszystko, co z nim łączyło się w jego duszy, to jakaś piękna bajka z minionych szczęśliwych czasów.

Zachodził często na wystawę; w braku bezpośrednich wiadomości z Waru, mógł tam spotkać kogoś powiadomionego o Zbarazkich. Ale wystawa była dość pusta. Współcześnie odbywane wyścigi jesienne zajmowały żywiej sfery bogate i bawiące się. Dołęga zajrzał i na wyścigi. Spotkał Gnińskich z Hektorem, już narzeczonym, spotkał Koryatowiczów, Kostków, Włoska. Mało z nimi mówił i dowiedział się tyle tylko, że Andrzej jest za granicą, a księstwo Januszowie powinniby tu już być oddawna, jednak ich dotąd niema. Nawet Włosek nie zgadywał powodu tak uporczywego zasiedzenia się na wsi.

— Póki było niepewne co do Reckheima, je comprends — ale teraz j'y perds mon latin. Księżniczka odpaliła takiego Reckheima... no, no! Ja

byłem zresztą zawsze zdania, że to nie dla polskiej księżniczki partya.

— Pozwól pan, panie Włosek — zaczął Kersten jedną ze swych ortograficznych poprawek...

Ale cokolwiek mówił i mógł powiedzieć Kersten, było już Dołędze obojętne; miał go ostatecznie dosyć. Oddalił się i nie wysłuchał poprawki, która przez to samo dla niego przepadła.

Pewnego dnia spotkał na wystawie Arnolda Hellego, siedzącego w restauracyi, niepokaźnie, przy szklance piwa. Ukłonił mu się zdaleka, ale Helle go zaczepił:

— Cóż to, panie D., nie chcesz mnie pan znać?

A gdy Dołęga zbliżył się i usiadł przy stole, posłyszał dalsze przyjazne wymówki:

— Nie widać pana, nie zachodzisz pan do znajomych.

— Bardzo zajęty byłem temi czasy.

— Nawet się pan wymizerowałeś. Praca w upały cięższa. A jakże tam sprawa szos? Cóż protektorowi przywieźli?

— Tymczasem niewiele — odrzekł Dołęga — dużo obietnic.

— A pan się spodziewałeś czego naprawdę? Ja sądziłem, żeś pan w innym celu wysłał ich na spacer, bo z własnym i ważnym interesem takich się nie posyła.

Twarz Hellego skurczyła się w maskę starego fauna, oczy błyszczały złośliwie. Dołęgę to ubodło

tem bardziej, że niewiele miał argumentów dla odparcia zarzutu: odpowiedział żywo:

— Nie można jeszcze tych panów potępiać. Działanie ich rozpierzchło się, bo za wiele naraz chcieli zrobić, a może ich też trochę oszołomiła atmosfera wielkiego centrum i nie dość energicznie zajęli się przeprowadzeniem specyalnie tej sprawy. Zyskali sobie zawsze poparcie Zellera...

— O, Zeller — to ryba.

— Co to: ryba?

— No, gruba ryba, ale ślizka. Grzeczny on jest — miałem z nim do czynienia — ale żeby pomógł, o tem wątpię. Zresztą zmiarkował napewno, z kim ma do czynienia.

— Miał do czynienia w każdym razie z poważnymi ludźmi jak książę Zbarazki i hrabia Zbązki.

— Zbązki? Pan wierzysz w Zbązkiego?... panie Dołęgo! Chociaż należysz pan do szlachty, jesteś pan także członkiem towarzystwa rozumnych pracowników. Na tym gruncie spotykamy się, możemy zatem mówić otwarcie. Straszenie ludzi Zbązkim jest dobre dla innych.

— Nie chodzi o straszenie ludzi, ale o powagę Zbązkiego. Ma on zachowanie i w Petersburgu, i u nas. Wolno się nie zgadzać na jego program, na ultra-arystokratyczne zasady, ale odmawiać mu wszelkiej powagi?...

— To przecie nie sekret, panie. Zbązki jest karykaturą dowódcy. Gdy niema prawdziwych, potrzeba kartonowych dowódców. A potrzeba ich

dlatego, aby był obóz, bo wielu jest ludzi, którzy mają osobisty interes należenia do obozu, a nie pytają, w jakim celu się skupili, w jakim kierunku podążą. Nie powiem, aby Zbązki nie miał pewnych zdolności: umie udawać wielkiego augura i trzymać w pewnym rygorze swoją koteryę. Ale w społeczeństwie taki pan nic nie wart; jemu się spraw publicznych nie powierza.

Dołęga zamyślił się, a Helle mówił dalej:

— Tak, panie. Zbązki jest karykaturą wodza, a wszyscy ci, którzy u nas uchodzą za arystokracyę, są karykaturą arystokracyi. Niech mi pan powie, jaką oni mają zasadę istnienia w naszem społeczeństwie? Czem zasługują na przodujące stanowisko? Nie mieszają się do pracy społecznej, chyba w swoim wyłącznym interesie; takim się wstrętem odgradzają od innych klas ludności, że są jak obcy pośród swoich; nie odmładzają się w zasadzie żadną inną krwią, topnieją powoli, przechodzą dobrowolnie w stan archeologicznego zabytku.

— Panie Helle, co pan nazywa arystokracyą?

— To co się tak nazywa we wszystkich krajach.

— We wszystkich krajach!... — powtórzył Dołęga jak bolesne echo. — Łatwiej wszystkim krajom, niż nam, mieć zdrowe indywidua i klasy społeczne. Nasza arystokracya nie była gorsza od innych, gdy miała swe przyrodzone zadania. Ale mamy tylko starą arystokracyę, nie mamy nowej, a ta ostatnia, jeżeli w zawiązku istnieje, nie sku-

piona jest i nie nazwana, bo nie mogła utworzyć się normalnie.

— Hm, — mruknął Helle, który nie lubił ustępować.

— Tak, panie prezesie; trzeba mieć u nas nieco wyrozumiałości dla wszystkich stanów. Jesteśmy wszyscy pod jednym losem. Gdybyśmy byli Anglikami, izba wyższa miałaby większe pole do czynu i tytuły do poszanowania, i panby się z nią solidaryzował, bo byłby już sam lordem Helle.

— No, no... a zresztą, kto wie?

— Po ruchliwej twarzy przeszły mu błyski pół ironiczne, pół zadowolone.

Towarzystwo wielu obcych w restauracyi musiało przerwać rozmowę zbyt poufną i poważną.

XXXVII.

Nareszcie, pod koniec września, otrzymał Jan list od księcia Janusza, który doniósł, że kuzyn jego, Adam Szafraniec, za parę dni przyjedzie z Waru do Warszawy, i zaznajomi Dołęgę ze stanem sprawy dróg bitych. List był grzeczny, prosty i krótki; nie zawierał w sobie nic nad tę wiadomość, nawet żadnych ukłonów od rodziny.

Chociaż Jan nie ufał ani rozumowi, ani szczerym chęciom Szafrańca, ta bezpośrednia wiadomość z Waru tak go wzruszyła, że natychmiast posłał służącego swego, Józefa, aby się dowiedział czy hrabia Szafraniec przyjechał i kiedy go można zastać w domu. Służący przyniósł odpowiedź, że hrabia dopiero co przyjechał i oczekiwać będzie jutro do drugiej, to jest do wyjazdu na wyścigi.

Nazajutrz więc o południu Dołęga pośpieszył do domu Szafrańca, wielkiej kamienicy, a raczej kilku połączonych kamienic, zabudowanych szczelnie i wysoko około kilku ciasnych podwórz; każdy łokieć poziomy i prostopadły był tu widocznie użyty na dochód, nie na wygodę lokatorów. W tych ko-

szarach Dołęga bywał często u różnych osób, nie znał jednak mieszkania właściciela. Zadziwił się, znalazłszy je w jednej z dalszych oficyn, ciasne i ciemne, odznaczone tylko lepszemi drzwiami od reszty mieszkań.

Służący wprowadził go do saloniku, w którym panował prawie mrok o południu, bo okna wychodziły na małe podwórze. Po chwili dopiero można było dostrzedz wiele obrazów i kosztownych mebli, przeniesionych widocznie z większego mieszkania, gdyż tutaj piętrzyły się prawie jedne na drugich, jak w sklepie antykwaryusza.

Wkrótce ukazał się Szafraniec, strojny, jak zwykle, po krawiecku posągowy; jednak wydał się Dołędze ożywionym i uprzejmiejszym, niż w Warze. Siedli na fotelach, osłoniętych pokrowcami, i Szafraniec raczył nawet zapytać:

— Jak zdrowie pana?

— Dziękuję. Upały były tutaj duże, trochę męczące. A pan czy był na wsi, czy za granicą?

— Byłem u siebie, a teraz przepędziłem miesiąc w Warze.

Uśmiechnął się swoim sposobem, przyczem twarz jego, dość piękna i prawie poważna w spokoju, dziecinniała nieprzyjemnie.

— To pan zapewne stał się już zupełnym specyalistą od naszej sprawy?

— Właśnie uradziliśmy z wujem Januszem i z Hektorem, że trzeba panu tę rzecz objaśnić, jako wspólinteresowanemu.

Wyraz „objaśnić“ wydał się Dołędze dość źle wybranym, ale puścił go mimo uszu i rzekł uprzejmie:

— Jestem niezmiernie ciekawy.

— Raz już miałem... przyjemność mówić z panem o tym interesie i zauważyłem, że go pan bardzo bierze do serca.

— Mam nadzieję, że my wszyscy...

— Muszę panu powtórzyć dawną moją... uwagę. Nie należy wysuwać się z inicyatywą prywatną, póki nie zgłębimy interesów i opinii ogólniejszych.

— Dobrze... to znam... to już... inna materya. Ale jak stoi sprawa koncesyi? — rzekł trochę niecierpliwie Dołęga.

— Jakiej koncesyi?

— No, koncesyi na budowę szos.

— A o budowę kolei pan nie pyta? — rzekł Szafraniec, starając się przybrać wyraz misterny.

— Pytam najprzód o to, co nas obchodzi.

— Więc kolej nas nie obchodzi? A cała nasza działalność w stolicy, a pomoc Zellera, a najrozmaitsze stosunki i informacye co do bardzo ważnych rzeczy — nie obchodzą pana?

Szafraniec wpadł w tak niezwykły ferwor, tak miał minę mówcy, dobijającego przeciwnika argumentami, że Dołęga zadziwił się:

— O czem my, panie, mówimy?

— O tem, co najważniejsze i jedynie ważne.

— Ale nareszcie... czy dostaniemy koncesyę na szosy, czy nie?

— Bardzo wątpliwe, mogę nawet powiedzieć, że niewczesne. Wierz mi pan, my jesteśmy dobrze poinformowani.

Uśmiechnął się znowu.

— Bez żartów, panie hrabio. Jeżeli pan co wie o stanie sprawy, to trzeba mi powiedzieć. Ja tu przecie trochę dawniej od panów byłem czynny.

— Nie, panie — rzekł Szafraniec, trzęsąc zlekka wzniesionym palcem — tej koncesyi na szosy nie będzie, ale i niepotrzebna.

Uśmiechnął się po raz trzeci.

Teraz już Dołęga osłupiał. Wpatrując się ze zgrozą w pogodną twarz Szafrańca, myślał:

— Czego on się śmieje? Co mu jest? Opowiada mi takie rzeczy i śmieje się?!!

Zdobył się wreszcie na słowo:

— Cóż Zeller?

— Właśnie.

— Co za właśnie?! — zawołał Dołęga nagle tak rozdrażnionym głosem, że Szafraniec zesztywniał i przybrał ton uroczysty, wyższy:

— Mówię: właśnie. Hrabia Zeller pisał do księcia Janusza, że kolej będzie za dwa lata, że wobec tego szosy teraz niepotrzebne, że koncesya nie może być uzyskana w tej formie. Te trzy punkta mam panu do zakomunikowania.

Dołęga wstał i rozkrzyżował ręce z ironicznym ukłonem:

— Dziękuję panu. Prawdziwie pięknie i trafnie poprowadziliście panowie moją sprawę. Wdzięczność moja równa się waszej obywatelskiej zasłudze.

I wyszedł, ukłoniwszy się naprawdę, dumnie, bez podania ręki.

Na ulicy, trzęsąc laską w zaciśniętej garści, Dołęga szedł, jak pijany i mówił do siebie głośno:

— Oburzające, po prostu oburzające! Przecie ten bałwan nie zrozumiał dotąd nawet o co chodzi... Ha, tamci... Hektorek... wiedzieli, kogo do mnie wysłać... Oni mi się nie pokażą, nie będą śmieli zajrzeć mi w oczy...

Tak więc praca trzech lat, ulubiony pomysł Dołęgi, pierwszy jego wysiłek ku ogólnemu pożytkowi — spełzły na niczem z łaski nieudolnych i lekkomyślnych protektorów.

— Trzeba ich było pierwej dobrze poznać i osądzić, czy można im powierzać rzeczy ważne... Moja wina, lecz strata nietylko moja; strata dla nas wszystkich, dla kraju... I nie można nawet obwiniać władz, ani Zellera, że nie chcieli bliżej wejrzeć w sprawę, która ma takich przedstawicieli, jak ten Szafraniec! Boże, cóż to za plaga tacy ludzie! Tyle pieniędzy nagromadzonych w takiej szkatule!...

A tamci! Na Hektora nie liczyłem, lecz przecie Zbarazki i ten wielki Zbązki...

W tych bolesnych rozmyślaniach powracała i Halszka i na nią padała teraz plama pierworodna.

— Ona jest z nich, ona także niepewna...

Wpatrywał się gorączkowo w jej moralną postać, bronił jej sam przed sobą, ale porównania z ojcem, z matką, z Andrzejem, z panią Hohensteg, cisnęły mu się jak zmora do mózgu i napełniały strasznym niepokojem biedne, zawiedzione, skłonne już do nieufności serce.

Tego samego dnia po południu miał znowu odbyć swą przykrą inspekcyę robót kanalizacyjnych. Głowa mu pękała od bólu, rozstrojony organizm wypraszał się od tej wyprawy, ale nawykła do żołnierskiego posłuchu wola dała rozkaz — i Dołęga poszedł.

Gdy wrócił, nie jadł obiadu, poczuł znużenie tak przemożne, że zasnął na fotelu aż do zmroku. Obudził go służący, zapalający lampy.

Wieczorem Dołęga miał zwyczaj załatwiać korespondencye i dzisiaj rzucił okiem na kilka listów leżących na biurku. Parę kopert z nagłówkami firmowemi, a ten list od kogo?

Obejrzał dość ciężką kopertę, zaadresowaną kobiecem pismem. Stempel pocztowego wagonu, bez miejcowości... Co to takiego?

Początek listu, odezwa w rodzaju „Szanowny panie“ lub „Drogi mój Janie“ była starannie prze-

kreślona — potem dwa arkusze pisma, widocznie przerywanego i znów ciągniętego — wreszcie podpis.

Dołęga krzyknął. Był to długi list od Halszki. W tej chwili zrozumiał, że trzeba być przygotowanym na wszystko, że los jego rozstrzyga się, i że w szeregu feralnych wypadków, które przeżywa, ten list będzie przesileniem na dobre, albo jeszcze na gorsze. Ale to od Niej — zatem szczyt pragnień, upragnienie samo.

— Spokojnie, spokojnie, spokojnie...

Ścisnął głowę rękoma, niby stalową obręczą, i zaczął czytać:

„Proszę się nie dziwić, że piszę. Wolę, żeby odemnie pierwszej dowiedział się pan, zanim tam dojdą wiadomości o mnie. Zdaje mi się, że tak lepiej, abym sama powiedziała odrazu. Jestem zaręczona z kuzynem moim, Adamem Szafrańcem“.

Tego pchnięcia w serce Dołęga nie mógł przewidzieć. Zerwał się, rozpaczliwie skrzywił twarz i wzniósł rękę ponad głowę, niby do uderzenia lub do przekleństwa. Zachwiał się potem i upadł na krzesło. Krwawe mgły zaćmiły mu oczy i uszy, ale po chwili zobaczył znów przed sobą biurko, otwarty list i posłyszał zwyczajny gwar miasta, dolatujący z ulicy. Opierając się o meble, doszedł do karafki z wodą, napił się, potem, nalawszy trochę wody na dłoń, przyłożył ją do czoła.

— Ja nie zemdleję... jam nie z waszej marnej gliny. No, czytajmy dalej.

„Jestem zaręczona z kuzynem moim, Adamem Szafrańcem“.

— Winszuję. Nie można lepiej.

„Niech pan źle nie myśli o mnie, zanim się dowie, jak przyszło do tego Choć mi wszyscy mówią, że to bardzo szczęśliwie dla mnie, nie czuję szczęścia w sobie, bo nie wiem, jak mnie pan osądzi, a pan jest jedyny, o którego zdanie chodzi mi naprawdę, w sercu. Proszę mi wierzyć, drogi panie, proszę... Więc opowiem jak było. Kiedy odmówiłam temu Niemcowi, naturalnie, mama była bardzo zła na mnie, ale to już trudno. Chodziłam po parku sama i dużo myślałam o panu. Dlaczego pan ani razu nie napisał, choćby do cioci Temiry?“

— Dlaczegom nie pisał? dlaczegom nie pisał?! Prawda.

„Aż w parę tygodni później mama zawołała mnie do siebie i mieliśmy rozmowę. Mama mi powiedziała, że Adam prosi o moją rękę przez wuja Karola Zbązkiego. Ja się zdziwiłam, bo przecie Adama znam oddawna, i teraz był u nas dwa razy na wsi, a nigdy mi nic nie powiedział. Mama zaczęła go chwalić, że jest porządny, dobrze myślący, bardzo bogaty i spokojny. Śmieszyło mnie to wszystko, bo nie myślałam nigdy, żeby Adam był mną zajęty. A kiedy mama zapytała, czy może

przyjechać do Waru, niby dla mnie, odpowiedziałam: niech sobie przyjeżdża. No i stało się“.

Tu list był przerwany, może dla niepowodzeń stylowych i ciągnął się dalej drobniejszem pismem:

„Zdaje mi się, że pan mnie zna, ale może i nie dosyć. Ja tak się lubię bawić, że aż mnie nosi, a pan wtedy nie kontent ze mnie i mówi, że jest nieszczęśliwy. Pamięta pan przy fajerwerkach? Może to źle, ale kiedy patrzę na moich znajomych, widzę że wszyscy myślą o zabawie; nawet starsi szukają ciągle przyjemności, chociaż mówią inaczej. Tylko pan jeden mówi tak, że ja mu wierzę, bo pan ma coś gorącego w sercu“.

Znowu przerwa w liście.

„Żebym była mądrzejsza, mogłabym mieć innego męża. Nie jestem głupia z siebie, ale czy byłabym taka, jaką pan lubiłby długo i bardzo? Słowa pana rozumiałam sercem i było mi przyjemnie czuć, że są wyższe i lepsze odemnie, a zarazem bolało mnie, że nie mam równych z panem skrzydeł. Ja pisać nie umiem, ale pan mnie zrozumie. Zapamiętałam sobie wszystkie słowa pana, wszystkie nasze spotkania i spacery, aż do ostatniego. Pamiętam nawet jak pan wyglądał i jak patrzył“.

Rozpalona twarz Dołęgi mieniła się, pierś falowała gorączkowo. W tych prostych słowach dziewczęcych widział niby skrót i sumę całych lat wychowania, całych dni rozmyślań. Daleki już był od oburzenia.

— Biedne, zagłuszone, stracone serce!

Halszka spowiadała się dalej nieuczonym i osobistym stylem:

„Teraz, kiedy rozmawiałam z Adamem, stawał mi pan przed oczyma — i nie mogłam sobie dać rady. Wmawiali we mnie, że to doskonała partya, mnie to nie rozczula. Jednak to niezły człowiek. Kazałam mu raz dać na pogorzelców, którzy przyszli, a on zapytał ile, odpowiedziałam: tysiąc rubli. Dał zaraz. A znowu kiedyś —— (przekreślone). Nie chcę już o nim mówić, tylko czuję, że go pan nie lubi, więc chciałabym wytłómaczyć, że on możliwy, bo dobry i wszystko dla mnie zrobi. Ja sama doprawdy nie wiem, co się we mnie dzieje. Namawiali mnie i zgodziłam się nareszcie. Czy to koniecznie męża trzeba kochać?“

„Żeby pan tu był, wytłómaczyłby mi dopiero, co ja czuję“.

„Przebyłam najsmutniejsze dni w mojem życiu tego lata po pańskim wyjeździe. Dotąd miałam życie proste i wesołe, a teraz wszystko mi się wydaje smutnem i wyrachowanem. Gdzie tylko spojrzę, widzę, że nie można iść za uczuciem, że to się tylko w książkach przytrafia. Rodzice bardzo się cieszą z moich zaręczyn, są przekonani, że to się stało dobrze i szczęśliwie; aż się dziwię i myślę, że tak się widać układają u nas dobrane małżeństwa“.

„Wiem, że się listów nie pisze do obcych,

ale pan mi jest najbliższy ze wszystkich ludzi. Pan taki dobry i mądry, że może zrozumie, dlaczego piszę i nie będzie źle myślał o swojej szczerej, gorącej przyjaciółce,

Halszce".

XXXVIII.

Kilka dni przedtem Adam Szafraniec wyjeżdżał rozpromieniony z Waru; Halszka pożegnała go uprzejmie, a rodzice gorąco i z nietajoną radością. Czuł, że oświadczając się. miał pomysł genialny, chociaż pomysł to był cudzy: Zbarazkich w porozumieniu ze Zbązkim. Halszka była pierwszą w kraju panną na wydaniu, a on miał siebie za pierwszego kawalera; związek ten był naturalny, prawie konieczny, a przytem tak ponętny i już upragniony, że Szafraniec dziwił się sobie, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Ale właśnie była sama pora: Halszka skończyła lat dwadzieścia, on był o dwanaście lat starszy; ich dawna znajomość, pokrewieństwo, równość urodzenia i wychowania, wszystko pozwalało wróżyć o niezamąconem szczęściu w przyszłości. Hrabia Adam był zatem zupełnie zadowolony z losu, w zupełnej zgodzie z samym sobą, gdy opuszczał War i narzeczoną. Nie można było tego samego powiedzieć o księżniczce.

Halszka znalazła się nagle wobec szeregu ważnych zagadnień życiowych, wymagających osobi-

stej odpowiedzi; bujne, rozbawione dziecko, mając się przedzierzgnąć w kobietę, musiało odgadnąć i wybrać drogę swego przyszłego życia. Rady starszych nie były dla niej bezwzględnym drogowskazem; nie posłuchała nawet rodziców, gdy przemawiali za Reckheimem, owszem sprzeciwiła się im stanowczo i ta odmowa oziębiła na pewien czas stosunki jej z matką, niezbyt szczere wogóle. Przy tej sposobności usłyszała wiele zimnych nauk, które, choć opornie, wsączyły się w jej młode serce. Dowiedziała się, że zapędy sercowe są cechą dzieciństwa i niedojrzałości, że pewne pozycye towarzyskie wymagają poświęceń uczuć, które to poświęcenia opłacają się sowicie w poźniejszym wieku; zastanowiło ją zdanie, że małżeństwo jest ostatecznie połączeniem dwóch interesów, kontraktem. A ona marzyła o połączeniu pragnień, o szerokiem, nieznanem szczęściu.

Te rozmyślania wypadły na czas zupełnej samotności. Ciotka Temira zasłabła, następnie, powróciwszy do zdrowia, wyjechała; zabrakło więc Halszce zwykłego komentarza do myśli i uczuć, których mnóstwo w niej wrzało. A Jan Dołęga, ten towarzysz lepszych czasów, wyższych pragnień, nietylko był nieobecny, ale pogrążył się dla Halszki w zacienione głębie przeszłości. Jego postać, jego słowa zachowała głęboko w pamięci, ale nastrój z przed kilku miesięcy zwietrzał, jak wrażenie czytanej niegdyś powieści. Nowa filozofia zagłuszyła dawną poezyę. Adam Szafraniec stał się nauczycielem tej

zimnej i łatwej teoryi samolubnej, która uchodzi u ludzi pospolitych za mądrość życiową. Znajomy Halszki od dzieciństwa, sprzymierzony z jej rodzicami, okazały zewnętrznie, przyzwoity pod każdym względem, niezły zresztą człowiek — zdołał nakłonić ku sobie serce dziewczęcia, choć go nie pozyskał na własność. Dążył pewnym krokiem do celu i wydał się Halszce uosobieniem jej losu.

Ale natychmiast po wyjeździe narzeczonego księżniczka poczuła rzewną, palącą tęsknotę, niby chęć wypoczynku na wsi, nad rzeczką, po długiej podróży przez bogate miasta i banalne hotele. Ścisnęło się jej serce i poczęła myśleć o Janie.

Nie chciała jednak zerwać z Adamem: ten mąż był jej widocznie przeznaczony. Wobec Dołęgi zobowiązała się tak niewyraźnie, że nie potrzeba było nawet cofać się, ani żądać zwolnienia od przyrzeczeń. Czy nawet on o niej pamięta?... Na to nie miała dowodów, ale czuła, że tak jest. Szczerze pragnęła nie sprawiać bólu Janowi, a zarazem doszła do przekonania, że małżeństwo z Adamem jest poniekąd jej obowiązkiem. Rozstrzygnięcie tego dramatycznego zawikłania było nad siły dziewczęcia; dwoistość pragnień wyraziła się tylko w liście, który Halszka zaraz po wyjeździe narzeczonego zaczęła pisać do Jana. Niech przynajmniej dowie się o wszystkiem od niej samej i osądzi stan jej duszy.

Obmyśliła prędko, jak list wysłać tajemnie, znalazła dobre pozory, aby się osamotnić, lecz gdy

zasiadła już do pisania, przyszły jej pod pióro proste, zwyczajne słowa miłosne:

„Drogi mój Janie! Nie sądź mnie bardzo źle, gdy się dowiesz, że jestem zaręczona z kuzynem moim, Adamem Szafrańcem. Mój drogi! zrozumiej, że nie ja go sobie wybrałam, ale wszyscy razem, i wuj Karol, i rodzice doradzili mi go, a ja się zgodziłam nareszcie. bo myślę, że nie znajduje się szczęścia takiego, jakiego się chce, tylko bierze się to, które jest komu przeznaczone“.

Gdy napisała ten początek listu, wieczorem, zadumała się i odłożyła pisanie do jutra. Nazajutrz jednak te słowa wydały jej się niestosownemi. Podarła arkusz i postanowiła zręczniej, a mniej wyraźnie napisać do Jana; chciała, aby treść jej serca pozostała niezmienną, ale szukała innej formy i argumentacyi. Z wczorajszego stylu pozostała tylko odezwa: „drogi mój Janie“ — ale i tę, po namyśle, przekreśliła Brała w niej górę rozwaga, stawała przed oczyma wizya życia, niejasna, jednak trudna i twarda — z Janem, łatwa i odpowiednia do jej nawyknień — z Adamem. Stanowcze namowy rodziców i fakt już dokonany zaręczyn przechyliły chwiejną szalę.

— Tak już być musi — myślała — teraz tylko przed Nim się wytłómaczyć, bom mu to winna. On zrozumie.

Jej nabyty. świeży rozum szamotał się z gorącemi instynktami serca i wynikiem tego szamota-

nia był list prosty i kręty, czuły i okrutny, który Dołęga odebrał w parę dni potem w Warszawie.

Wysłanie listu nie uspokoiło bynajmniej Halszki, owszem zwiększyło jej wewnętrzną rozterkę.

— Jeżeli on mnie kocha naprawdę... może lepiej, aby się dowiedział od innych o moich zaręczynach i pomyślał, żem nie warta jego miłości... Jeżeli zaś zapomniał o mnie, poco mu tyle rzeczy mówić z mojej duszy?... On nie zapomniał.

Liczyła, kiedy list dojdzie — i obliczyła trafnie dzień ciosu. W Warze był to dzień pochmurny, martwy, przeddeszczowy. Czerwieniejące liście dębów rozrzucały rdzawe plamy po parku, powietrze nasiąkało smutną wonią jesieni, ładne kwiaty lata przekwitły, ptaki zaczynały już niepokoić się gromadnie i marzyć pod mętnem niebem o niebach piękniejszych. Halszka dosiadła swego karego konia i długo, wolno, bez zwykłej fantazyi jeździła po polach wyblakłych, gdzie pajęczyna snuła się na zdeptanych rżyskach, po łąkach mniej żywych, zastawionych stogami; zajechała też na groble, usypane niedawno pod kierunkiem Jana, i zdziwiła się, że już są stare, pokryte zielenią, jak długie mogiły. Pierwszy raz posłyszała żałosny szmer uciekającej fali życia i ogarnął ją niepokój na myśl, że najpiękniejsze dni już są może poza nią.

Wróciwszy do domu, poszła jeszcze w amazonce do parku i do alei, w której zamieniła z Janem ostatnie, najgorętsze słowa. Zmierzch przychodził ukradkiem, zimny i bez wdzięku, po dniu bez-

słonecznym; pod wielkiemi drzewami blado było i coraz ciemniej. Aż wydało się Halszce, że mimo zmroku, cień jej postępuje obok niej i miga po zwartych drzewach przy jej drodze. Zatrzymała się i cień zatrzymał się w gęstwinie o kilkanaście kroków. Choć ją przeszło mrowie, odwróciła się twarzą do przywidzenia i ująwszy mocno szpicrutę, odezwała się:

— Kto tam?

Nikt nie odpowiedział, bo nikogo nie było w tej części parku.

Halszka poszła miarowym krokiem ku domowi, chcąc dowieść samej sobie, że się nie boi.

Tego samego dnia i godziny, w Warszawie, Jan Dołęga po przeczytaniu listu. poczuł śmiertelne znużenie — i zasnął.

XXXIX.

Ciężary jakieś, niezliczone, zawarte w tysiącach zwojów, foliałów, worków, waliły się do pokoju Dołęgi, przeciągały nad jego łożem, gniotąc mu pierś i gardło. On je musiał liczyć i spychać. Liczył je i spychał z piersi coraz prędzej, prędzej, ale im więcej zepchnął, tem więcej ich nadciągało. Rzucał się w tył, chcąc podnieść się na poduszkach, aż uderzał głową o drzewo łóżka. Ciężary waliły się ciągle niby z cichym zgrzytem, niby rozpalone, bo Janowi zęby cierpły i suche usta szalenie pragnęły ochłody.

Poprosił o wodę.

Do pokoju wszedł ktoś i dał mu pić.

Ale nie był to służący. Jan, szeroko otwierając oczy, wpatrywał się w tę postać męską o jasnych włosach, która, nosząc na twarzy wielką boleść i troskę blizkiego, krewnego człowieka, stała przy jego łożu...

Chwilę tylko miał przestrachu, zaraz potem poczuł, że ten człowiek stojący nad nim przenika wszystkie jego myśli, a nawzajem on sam czyta

wyraźnie w duszy tamtego. Znał tę twarz, jak swoją, znał to czoło, zfałdowane w podkowę, te głębokie oczy, te ruchy... nikogo w życiu tak podobnego do siebie nie spotkał.

— Rozumiem — rzekł. — Ty jesteś mną, a ja Tobą.

I choć tamten nie rzekł ani słowa, Jan poczuł, że mu trzeba wstać, mimo niemocy, i pójść, gdzie On go woła, gdyż rozpoczynają się rzeczy ważne.

Gdy dotknął Jego ręki, prąd jakoby wielkiej ochoty przebiegł przez znękane ciało i stał się Jan ogromnie silnym, gotowym do robót nadludzkich. Jednem pchnięciem prawicy odwalił gniotące go ciężary i, oddychając wolną piersią, szedł za przewodnikiem, który go prowadził przez sale, schody, coraz węższe, coraz bardziej strome, ciągle w górę, w górę...

Wydostali się na galeryę, krążącą około baszty. Świeciło pyszne słońce.

Aa! to War, to baszta wschodnia! Jak niezmiernie wyniosła, jak wspaniale króluje nad szerokim, szerokim krajem!

Co się tu dzieje? co za święto? Tłum zalega podzamcze, tłum na podwórzach, w oknach, na galeryach, na dachach. Dawne barwne szaty, bogate i ubogie, karmazynowe i szare. Oto w wielkiem oknie przy bramie pełno niewiast, dygnitarskich widać żon i córek: panna Temira Ostykówna w swym stroju zakonnym, jak Anna Jagiellonka. Może to sama królowa Anna? Nie — bo przy niej

Halszka ze splecioną kosą, we wzorzystych aksamitach!... To dawna, dobra Halszka...

Czekamy, czekamy! — wracają nasi z zabijackiego tańca i Bóg im poszczęścił. Już się było tatarstwo rozsiadło w ziemiach kresowych i owładnęło słabszemi zameczkami, głęboko w kraj puszczając zagony, mordując męże, niewiasty i dzieci, gdy książę Janusz, spadłszy jak błysk miecza na główną potęgę pohańców, zniósł ją i wyparł z granic, zameczków dobył, a nabrawszy jeńca i łupu zacnego co niemiara, wraca dzisiaj triumphans ad propria. Cześć Zbarazkim!

Moździerz zaryczał z pod bramy i okrzyk spadł od dachów na galerye, dziedzińce, mosty, równiny — coraz szerszy.

Od lasu, gdzie droga wspina się na pagórek, wypływa pierwsza na wysokiem drzewcu czerwona chorągiew z białym krzyżem, wiedeńska chorągiew... wznosi się, wznosi, aż pod nią zabłyszczała i zakwitła konnica...

— Ojcze! jacy oni piękni od tej zasłużonej dumy! — mówił Jan — dlaczego ja z nimi nie byłem?

Ale przewodnik położył rękę na piersi, na znak, że On tam był z nimi — a Jan zrozumiał i duma rycerzy napełniła pierś jego synowską.

Na czele orszaku książę Janusz, w półpancerzu i delii, na bułanym koniu. Otaczają go same znajome twarze, ale jak poważne w tych rycerskich strojach, na których opończą najkosztowniejszą

spoczywa kurz bojowy. To nie maszkary karnawałowe — metal, co tu błyszczy, jest w walecznym ogniu hartowany, a w czerwieni barw więcej krwi, niż karmazynu.

Vivat nasz książę! Niech żyją Zbarazcy! Cześć, miłość nasza panom i ojcom naszym!

I Jan krzyczy wraz z innymi, a nie jest to krzyk nieporządny tłumu, nie są to łzy nerwowe niewiast, jeno taki odwet wdzięczny, jak rosa i zapach, które oddaje ziemia dobroczynnym promieniom słońca.

Dudnią już mosty, biją setne salwy i lud przypada do strzemion bohaterów.

Teraz im grajcie! Grajcie ze wszystkich trąb! niech im rodzinna pobudka popłynie nad głowami radośnie i dumnie, z błogosławieństwem ludu, z błogosławieństwem Mocy Niebieskich, z uśmiechem opiekuńczym Najświętszej Panny...

Gdzież trębacze?! Ha są! Nareszcie...

Marsz moje serce!
W pobudkę biją —
Strzelaj mordercę,
A chwal Maryą;
Boś u Maryi
Towarzyszem w regimencie...
. . . .

Właśnie oni: chorągiew pancerna! Hej ptaki, pogubiliście trochę piór ze skrzydeł, poszczerbiła wam czerń hultajska szeregi... Ale jeszcze, jeszcze was

dosyć, jeszcze z was piękne przedmurze Christianitatis. No, pójdźcie tu, niech raz przecie pierś moją o wasz pancerz ogrzeję...

A gdzie on? gdzie rotmistrz?... Jest, jest na swojem miejscu, przy prawem skrzydle, ze złocistym napierśnikiem, z prawą ręką obnażoną po łokieć... A, co? dobrze ci z buzdyganem w ręce? O, tak mi zawsze wyglądaj... Co to masz na czole?... przewiązane? Andrzeju!... Ja tu... Niech ci Bóg da zdrowie.. Czyś ty ranny?.. Andrzeju!!...

. . . .

Wstrząśnienie — ciemność — znikło wszystko. Dołęga poznał lekarza, przyjaciela.

— Proszę cię, nie krzycz, nie rzucaj się.. wypij to zaraz — mówił lekarz.

— Gdzie oni? gdzie się zapadli?

— Niema tu ich, ani żadnego Andrzeja. Panuj nad sobą, jesteś poważnie chory.

— Chory?

— Tak, masz tyfus.

— Tyfus?... Niech ja tylko wrócę do Niego...

— Postaraj się myśleć porządnie. Patrz, jestem tu ja, jest Józef, jest pan Helle.

— Ja was wszystkich zabiorę tam...

Wskazał słabo ręką w górę; opadła na posłanie; Dołęga zaś pogrążył się znowu w sen głęboki.

* * *

— Ojcze, patrz, co oni zdziałali krajowi swemu na pożytek — a ja nic? nic? — Czy nic nie mogę dla tego kraju? Jeżeli umrę, jak tam mówili na dole, nie pozostanież nic po mnie? Ojcze, co mam czynić?

Odpowiedź poczuł niby tchnienie siły w piersi:

— Kochaj, a kochając czyń, co umiesz.

Z bardzo wysokiego stanowiska, na którem odnalazł przewodnika, Jan rozglądał się szeroko na cztery strony świata. Był w Warze, czuł około siebie Zbarazkich i ich krewnych i wielu innych ludzi możnych, z sobą sprzymierzonych. Ale okolica zamku rosła do nieskończoności.

Trakt Warski był tylko drobną podwójną linią, lasy Waru tworzyły ciemną plamkę na tym ogromnym kraju, który roztaczał się w porannem słońcu wszędzie, gdzie okiem sięgnąć. Błękitniały na nim rzeki kapryśnemi skręty: większe, jak arterye, z cieńszemi dopływami, niby żyłkami pomocniczemi. Ciemno barwiły się lasy, zieleniały łąki błotniste i suche, odznaczając się barwą jaśniejszą. Szarzały długie wsie, a nad miastami wznosiły się ratuszowe i kościelne wieżyce. Na bladem tle pól — drogi kręte, kapryśne, jak rzeki; przy nich, na rozstajach, przy mostkach — krzyże. A tam daleko na samym widnokręgu, smuga stalowego światła - to morze. Tkwią na niem pochylone trójmasztowe okręty, jak na starych mapach.

— Jestem bardzo wysoko, dlatego to tak wygląda. Jak wybornie widzę, jak obejmuję całe pole

mojej pracy. Co za rozkosz czuć w sobie dobrą moc, a naokoło siebie to powietrze czyste, lekkie, przychylne memu działaniu.

Skinienie przewodnika dało mu znać, że pora zacząć.

— Pora! — zbudzili się ludzie około mnie i dążą do pracy w ordynku niby wojskowym.

Oto Zbarazcy prowadzą swoje zastępy w białych, bronzowych i siwych sukmanach; oto Helle prowadzi inne szeregi, w skórzanych fartuchach, ze strzyżonemi wąsami, o twarzach okopconych dymem warsztatów. Obok Hellego kto idzie, ze staroświecka przybrany, z foliałem w ręku? Oczywiście — to Jan Dekiert, jego powinowaty, poprzednik i doradca.

Naprzód, dobrzy ludzie! Wszystko przygotowane: na tej wielkiej roztoczonej przed wami karcie nowe drogi już wytknąłem. Patrzcie, jak zbiegają się do miast, jak zbliżają oddalenia, prostują kierunki. Te kanały, gdy osuszą błota, ile nowej bogatej ziemi! No, poczynajcie z Bogiem! Ja tu z przewodnikiem kieruję waszą robotą, mam plany, mam przedziwne narzędzia do porozumiewania się z wami, gdy się oddalicie na dziesiątki mil, idąc za waszą dzielną łopatą, za mocnym młotem. Wy sami wiecie zresztą co robić — spojrzyjcie tylko w serca wasze. Tak, zgodnie, ławą, naprzód!...

Ojcze! jacy my liczni, silni! Patrz, jak te drogi rosną za rzeszą robotników, jakby je siła wewnętrzna ziemi wyrzucała na wierzch i pchała

w przeznaczonych kierunkach.. jakby olbrzymie krety rozbiegły się po kraju... jakby rozumny piorun uderzył w serce krainy i potrzaskał ją w sieć dróg potrzebnych.

Te będą dla wozów prostych, na tamte już rzucają szyny.

Ho, ho! nie próżnują warsztaty pana Hellego! W czarnych paszczach, w łunie czerwonej sapie potężnie robocza para, jeżą się srodze wąsy robotników, radośnym rytmem grzmią młoty.

Praca wspólna, rozumna — i wszyscy przy niej.

Długo zdawało się Janowi, że jest środkiem i sercem ogromnie rozpędzonej, lecz ujętej w matematyczny system machiny roboczej. Słyszał ostry zgrzyt szuflowanych żwirów, czuł gorący oddech pary i widział krzyżowanie się nieskończonych pasów, śmigających na wielkiej ilości kół rozpędowych, pośród kół zębatych, osi, tłoków... Poruszała to wszystko siła nowa, jego siła.

Poczuł nareszcie, że przychodzi kres dnia. Poczuł drżenie rąk własnych i rąk tych wszystkich, którzy czynni byli około niego, i chwianie się roboty i rozpaczliwe kołatanie wysilonych transmisyi.

— Pokój nam, odpoczynek! Już siła moja mdleje razem z siłami waszemi... Oto wieńce krwawego potu otaczają nam skronie — nasze ciche wieńce... Niech nam noc da zdrowie i odżywi jutrzejszą siłę. Dobrej, spokojnej nocy...

Ciemności, ciemności, ciemności.

* * *

Zamiast odpoczynku noc stała się męczarnią. Ciężary nadciągnęły znowu nad łoże chorego. Spychał je znowu i rachował coraz trudniej, coraz rozpaczliwiej. Aż zawrzał gniewem na te zmory potworne, bezmyślne, przygniatające go bez celu, a nieuniknione takie i przeliczne, jak suche, gorące fale.

— Precz, precz ode mnie! Mnie tam wołają, na mnie czeka Ojciec...

Ale ciężkie zmory zgrzytnęły, przewalając się, a te, które były jeszcze nie weszły, wybuchły dalekim, szyderczym śmiechem, niby bluźniąca tłuszcza:

— Ojciec... ojciec... gdzie ojciec?..

Jan zerwał się na łóżku, zaciskając pięście, ale opadł bezsilnie.

— Prawda — chory jestem, szalony... To cień jego, nie on sam... Czy na ciężki tyfus umarłeś, ojcze?

Zaświeciła mu jakaś niepewna trzeźwość, zakołowały w głowie prawdziwe wspomnienia ostatnich dni i wspomnienia zamierzchłe, może tylko odbicia snów dawnych. Zdawał sobie sprawę, że wszystko co kochał, czego pragnął, runęło w przepaść, w przeszłość nieodzowną. Czuł, że sprzymierzeńcy oddalili się od niego i urągają jego śmiałym zamiarom. Zbarazcy, Zbązki, Szafraniec z Halszką są gdzieś daleko, gotują się do jakichś zabaw, przyjęć, nie myślą nawet o nim, który skazany jest tutaj na roboty podziemne w kanałach

warszawskich, gdzie tyfus czyha z zadusznych ciemnic.

Twórcza moc snu przeniosła go zaraz w te zohydzone kanały. Szedł przez nie sam, przejęty dreszczem od zimnego potu ziemi, i błądził po korytarzach zacieśniających się, strasznych... Jeżeli stąd nie wyjdzie, w grób się żywcem położy.

— Boże, wybaw mnie! Boże! nie dokończyłem prac moich na ziemi...

Przez górne lunety zamajaczyło światło dzienne i Jan wydostał się na smutne, wielkie pola. Jak zimno!

Dzień, krewny nocy, pod niskiem czarnem niebem. Pola, zdaje się te same? Ale robotnicy czy odbiegli prac rozpoczętych?... Pusto. Na stokach przekopów leży kilku ludzi uśpionych dziwnie: twarze ich sine, ręce stężałe w rozpaczy... Tyfus. — Tam, tam przechodzą cienie tragarzy, wynoszących trupy... Tak, nędza na wszystkich: tyfus!

Na zamku jest lepiej: są lekarze, urządzono środki bezpieczeństwa. Kto się dostał do zamku, ocaleje. Oto gmach wypiętrzył się w groźne niebo i opasał się wałami, i zabrał do wnętrza swego, których uznał za godnych, i zamknął bramy.

— Może jeden głos kobiecy wyprosiłby miejsce dla mnie w tych samolubnych murach?... Czy zawoła?... Ale, gdyby i zawołał, nie pójdę. Moje miejsce tutaj, na przekopach, przy tych, którzy polegli, z tymi, którzy jeszcze żyją..

— Zwołać żyjących!...

Poczuł się naraz zwyciężonym: musiał położyć się na mokrej ziemi, choć chłód zabójczy wsiąkał mu w zbolałe kości. Otulał się we wszystko, co mógł uchwycić dygocącemi rękoma. Konała w nim dzielność samoistna, drżało już tylko nędzne, szamoczące się w skulonem ciele życie. W głowie, zamiast myśli, poczuł szalony wir niezrozumiałych obrazów, twarzy, barw i szumów.

Jeszcze chciał się podnieść, dobyć się gdzieś wyżej, otulić się, zasłonić od nadchodzącej śmierci... Siłę swoją mdlejącą, maluczką, przygarniał do siebie oburącz, a przez zaciśnięte zęby wyrywały się jęki i modlitwy, poszarpane śmiertelnym dreszczem.

XL.

Przez dziesięć dni walczył Dołęga ze śmiercią, odzyskując czasem zaledwie pół przytomności, nie poznając osób otaczających go; a gdy je poznawał, miał do nich długie przemowy, wiążące się logicznie tylko z tym innym światem, którego nikt, oprócz niego nie był w stanie zrozumieć.

Znajomy i przyjazny lekarz, wezwany przez służącego zaraz po pierwszej nocy szalonej gorączki, sprowadził paru innych medyków i siostrę miłosierdzia do dozoru Tę wyręczała znowu żona służącego. Józefowa. Materyalna więc opieka nad chorym została dobrze urządzona. Ale Dołęgę zdawała się dręczyć moralna zmora, której niepodobna było ulżyć, zaledwie bowiem czasem zdołano nawpół go ocucić i zmusić do przyjęcia lekarstwa, albo chłodzącego napoju. Ile więc razy lekarz wchodził cichym swym krokiem do mieszkania Jana, jedna z kobiet, wpatrzonych frasobliwie w znękaną twarz chorego, szła od łoża na spotkanie lekarza i zdawała krótką relacyę:

— Ciągle tak samo, panie doktorze; gada z kimś, modli się i woła ojca.

I kobiety modliły się ze współczucia, czasami zaś w nocy ze strachu, w tym półcieniu tajemniczym, gdzie ciszę przerywały tylko jęki i niewyraźne rozmowy z ojcem, o którym wiedziano, że oddawna nie żyje.

Dziesiątego dopiero dnia Jan odezwał się do lekarza, patrząc mu w oczy bez obłędu:

— Czy długo już leżę?

— Dziesięć dni. Nie bój się, jesteśmy poza Rubikonem.

— Ja się nie boję.

Lekarz mówił prawdę: nastąpiło przesilenie i gorączka spadła w ciągu dnia znacznie. Noc była jeszcze niespokojna, lecz znowu dzień nadszedł lepszy. Jan był już odtąd przytomny, tylko tak osłabiony, że ciągle spał, jak nowo narodzone dziecko. Trzeba było teraz z nadzwyczajnemi ostrożnościami odżywiać wycieńczony organizm.

Ponieważ Dołęga miał wielu przyjaciół i trochę dalszych krewnych, zjawił się często ktoś u drzwi jego mieszkania, na których napisano: „proszę nie dzwonić“, i zapytał o zdrowie. Nikogo nie wpuszczano.

Po pewnym znowu przeciągu czasu nastąpiły pomyślniejsze objawy: chory odczuwał głód tak gwałtowny, że trzeba go było wstrzymywać od jedzenia. Zaczynał też troszczyć się o sprawy swoje bieżące, o życie, do którego powracał. Raz zażą-

dał, aby mu podano listy, które przyszły podczas jego choroby.

— Pan doktor zakazał podawać listy — odpowiedział służący nieśmiało, bo nawykł do bezwarunkowego posłuszeństwa.

Ale Dołęga nie zmarszczył się, rzekł tylko:

— Dobrze. — Był tu kto u mnie od czasu, jak leżę?

— Bardzo wiele osób.

Służący poszedł do przedpokoju i przyniósł stamtąd tacę napełnioną biletami wizytowemi. Tych doktor nie zabronił pokazywać.

Dołęga przeglądał. Nad niektóremi zatrzymał się dłużej, czytając: „Arnold Helle“ — „Janusz książę Zbarazki“.

— A młody książę Zbarazki nie był?

— Był już kilka razy.

Jan skinął głową z pewnem zadowoleniem. Przezierał dalej nazwiska i nagle zadziwił się: wziął do ręki bilet Adama Szafrańca... Potrzymał go przez chwilę i kazał służącemu zabrać tacę.

Ze stopiowym powrotem sił nie powracało jednak ożywienie na twarz Dołęgi; owszem, osiadła na niej pewna powaga nowa, rzec można, filozoficzna. Mówił wolniej, mniej zapalczywie i, skazany na nieczynność, leżał przez długie godziny z otwartemi oczyma i zamyślonem czołem.

Świeże nieszczęścia nie były już stałym przedmiotem jego rozpamiętywań. Ból, którego doznał, straty moralne, które poniósł, osunęły się gdzieś

na dno jego pamięci. Żal do niektórych osób, oburzenie na całe grupy ludzi odpychał od siebie, jako uczucia zdrożne i niezgodne z wyższem rozumowaniem. Zdawało mu się, że w tem ciężkiem spotkaniu ze śmiercią przemyślał i przekochał długie lata, w których zyskał dojrzałość, choć nie przytłumił, owszem podsycił i rozjaśnił ognisko swego serca.

Bardziej niż kiedykolwiek sprawy swoje osobiste miał za podrzędne szczegóły w szeregu zjawisk, niby przykłady tylko w życiu i doli ogółu. Wziął do serca tak ogromną część publicznego losu i troski o publiczne dobro, że zyski społeczeństwa stawały się jego dobytkiem, a straty — jego boleścią.

Roztrząsając wypadki, w których brał sam przeważny udział, sąd swój opierał też bardziej na społecznych, niż na egoistycznych zasadach. Żal mu było własnej pracy zmarnowanej, ale bardziej jeszcze wstyd na Zbarazkich, Zbązkich i im podobnych. Bolał, i ciężko, nad straconą nadzieją otrzymania Halszki, ale bolały go srożej ujemne cechy otoczenia i wychowania, które okuły szlachetne serce dziewczyny w więzy prawie nierozerwalne. Cierpiał tak podniosłą boleścią, że wynikiem jej była nie gorycz, nie oburzenie, nie pogarda, lecz tylko wielka litość dla osób, biorąca swe źródło w ogromnej miłości dla kraju. Czując w sobie ten skarb, tę siłę najdzielniejszą, z której urodziło się wszystko, co błogosławią ludy, nie potępiał ani

klas, ani stronictw, ani indywiduów, owszem, znając ich trudności, pokusy i błędy, widząc nawet dawne i nowe winy, miał dla nich tę dobroczynną rosę serc wielkich — litość.

— Muszą być marni ci, których dola marna. Każdy z nas powinienby być olbrzymem, aby sprostać tylko normalnym swoim zadaniom.

I chory jeszcze, osłabiony tak, że nie mógł wstać z łóżka o własnej mocy, Dołęga odnajdywał już w sobie nowy zapas energii i wytrwałości.

Zdrowie powracało z każdym dniem i lekarz pozwolił Dołędze przejrzeć korespondencyę, w której nie było nic nadzwyczajnego, a także widzieć się z przybywającymi gośćmi, byle nie dłużej niż kilka minut. Z tego pozwolenia skorzystał Jan, aby przyjąć Andrzeja, gdy ten znowu się zjawił.

Andrzej zbliżył się ostrożnie do łóżka i, ująwszy lekko, prawie po kobiecemu, rękę Jana, zatrzymał ją długo w swojej dłoni:

— Już dobrze? prawda? Mieliśmy codzień o tobie wiadomości. Aleś się wymizerował, biedaku. — I ta broda! Mam nadzieję, że ją zgolisz.

— Dziękuję wam — odpowiedział Dołęga tylko na część mowy przyjaciela.

— Podobnyś do ascetów Quatrocento — ciągnął Zbarazki. — Czy cały tak schudłeś? No pokaż piszczele.

Dołęga uśmiechnął się.

Choć Andrzej udawał swobodę, po oczach i po ruchach jego poznać było można zakłopotanie.

Chciał jednak mówić dalej, więc rozejrzał się po pokoju i rzekł:

— Nie wygląda tu, jak u chorego: otwarte okna, pachną kwiaty. Od kogoż to, jeżeli wolno spytać?

— Naprawdę nie wiem; jakaś dobra dusza przysyła mi już drugi raz kwiaty.

Nastała chwila milczenia, podczas której Jan namyślał się, czy ma postawić zapytanie, które wreszcie wypowiedział.

— Podobno siostra twoja wychodzi za Adama Szafrańca?

Spojrzeli sobie w oczy, starając się obaj nie drgnąć powiekami.

— A! już ci powiedzieli?

— Tak, powiedzieli — widuję już trochę ludzi.

Andrzejowi spadł niby ciężar z ramion; odrazu przemówił swobodniej:

— Znowu myśl genialna Karola Wielkiego... no i Adama naturalnie. Cóż chcesz, mój drogi — u nas tak się wszystko dzieje. Naszą siłą jest tylko ciężar, ale i tak wiatr nas pcha zawsze w jednym kierunku. Jesteśmy samodzielni w drobiazgach, wogóle jednak poddajemy się naszej szlachetnej inercyi.

— Szafraniec był u mnie — rzekł Dołęga — podziękuj mu, gdy go spotkasz, a przedewszystkiem twemu ojcu.

— Nie omieszkam — ale za wizytę, nie za sprawę szos — rzekł Zbarazki głosem szyderczym

i mocniejszym. — Razem ze swym sławnym dowódcą Zbązkim i adjutantem Hektorem, urządzili ci sprawę, niema co mówić.

— Zaczniemy inną — odrzekł spokojnie Dołęga.

Andrzej spojrzał z podziwem na wynędzniałą twarz Jana, pełną już wewnętrznego ognia.

— Ty jednak jesteś nadzwyczajny!

— Nie powiodło się raz, powiedzie się drugi. Wszyscyśmy winni.

— Cóż ty winien, mój drogi? — mówił Zbarazki gorąco — tyś zawsze zapominał o sobie, a pracował dla innych, tyś wmawiał w ludzi swoją własną siłę i zapał — i ciągnąłeś podwójne ciężary, ażeś się rozchorował. To my do niczego, to namby trzeba jakiejś elektrycznej kuracyi, nie mówiąc już o zamianie mózgów na inne. Marni jesteśmy, marni, mój Janku.

Dołęga posłyszał niby echo swych wizyi i rozmyślań.

— Będziecie jeszcze inni, nasze pokolenie będzie inne. I ty sam... już ja cię zaprzęgnę, zobaczysz.

— Więc jeszcze wierzysz w nas?!

— Wierzę w przyszłość... no, i w Boga

Słowa te wielkie nie zabrzmiały fałszywie w ustach dzielnego człowieka.

Andrzej wpatrzył się w Jana poważnie, starając się zgłębić szczerość, podziwiając odwagę tej duszy; aż uścisnął serdecznie przyjaciela i wyszedł, silnie wzruszony.

XLI.

Dołęga chodził już po mieszkaniu, a nawet wyjechał parę razy powozem, korzystając z jasnych dni, któremi jeszcze uśmiechała się jesień. Powrót do zdrowia napełniał go fizycznym dobrobytem, kojącym nieco ciężkie moralne zawody. Wracała świeża ochota do życia i Jan ją witał prawie z takiem olśnieniem, z jakiem spotyka dojrzałość dorastający młodzieniec. Ale twarde doświadczenie przerabiało tę ochotę w przezorność, tę siłę w hamowaną dzielność. Oczy Jana błyszczały głębokim, zbrowym już ogniem w wychudłej twarzy. Już ubierał się starannie, zgolił brodę, która mu urosła podczas choroby, widywał ludzi i powrócił do niektórych zajęć.

Czytał dużo powieści, na co oddawna nie miał czasu. Zajmowały go głównie te opowiadania, które płynęły szaro, jak życie nasze, lecz, prześwietlone jasno, dawały wrażenie wielu barw, zlanych w jedną. Lubił współczesną historyę, książki, mające na celu sens życia, a nietylko jakąś nerwową rozkosz, lub zadziwiającą dysekcyę pospo-

litych stanów duszy. Po staremu, szukał pożytku, nawet w beletrystyce; sądził, że budzenie uczuć altruistycznych, obywatelskich jest najszczytniejszem zadaniem piśmiennictwa, — o ile jednak łatwiejszem, niż wyznawanie tychże zasad, zachowanie tych uczuć w dziedzinie czynu! Pisarz, pracując wyobraźnią, dobiera sobie wypadki i oświetlenia; człowiek czynu wpleciony jest ściśle i zależnie w rozpęd machiny życiowej ogólnej.

— Jam jest jednym z tych bezimiennych pisarzy, którzy krwią własną piszą dzieje wewnętrzne naszego pokolenia...

Poczuł w piersi ciepło swego miłowania, swego zapału do działań pożytecznych — i uznał za dobre swe ciężkie rzemiosło.

Rozmyślał tak pewnego dnia po południu nad skończoną książką, gdy dzwonek z przedpokoju przerwał mu zadumę. Służący wszedł do pracowni i oznajmił:

— Jakaś młoda pani przyszła i kazała mi oddać tę kartkę.

Dołęga wziął złożony we dwoje kawałek papieru, na którym ołówkiem napisane były te słowa:

„Przyszłam. Proszę mnie przyjąć“.

Rzucił się do przedpokoju i po chwili powrócił do pracowni z Halszką, ciemno ubraną, zakwefioną. Prowadził ją za rękę, ciągnąc niemal za sobą, do okna, jakby chciał dobitnie się przekonać, czy to prawda, czy nie powrót snu gorączkowego.

— Co pani uczyniła?

— Przyszłam do pana.

— Sama?

— Sama. Musiałam przyjść.

Podniosła woalkę i ukazała twarz bardzo bladą. jednak oczy patrzyły prosto na Jana, pełne blasku i powagi.

— Moja najdroższa pani! Więc dla mnie tyle... niechże pani siada.

Ale Halszka nie usiadła, tylko wyciągnęła ku Janowi obie ręce.

— Czy pan już zdrów zupełnie, zupełnie? Myślałam, że zwaryuję, kiedym się dowiedziała o tym tyfusie.

— Moje dobre, najmilsze dziecko! — mówił Jan gwałtownie, całując ją po rękach, poczem uprosił ją, aby siadła na krześle przed biurkiem, a sam usiadł naprzeciwko, pochylony, zapatrzony. Świat niknął mu w pamięci od tego zjawiska tutaj, w jego mieszkaniu. Ile razy je przywoływał, napełniało go boleścią i uciekał od niego do swojej smutnej filozofii. Teraz siedziała przed nim ta Halszka żywa, blizka, szarpiąc rękawiczki i gotując jakąś trudną przemowę, która zdawała się więznąć w falującej piersi. Spuściła oczy i odezwała się:

— Proszę tak nie patrzyć na mnie... proszę mi powiedzieć...

— Przepraszam najmocniej; nie mogę jeszcze ocknąć się z podziwu, że pani taka dobra dla mnie i zechciała przyjść aż tutaj.

— Jam gotowa... gotowam uczynić wszystko, co pan rozkaże.

Uśmiech nagły i gorący przeistoczył twarz księżniczki roztulił usta, rozpromienił oczy niezmierną słodyczą i ponętą. Dołęga nie omylił się co do znaczenia tych słów; zrozumiał, że serce to proste nie szuka wykrętów, oddaje się z zaufaniem jemu i pyta o los swój. Poczuł na razie wielką wdzięczność dla Halszki.

— Moja najdroższa pani! Ta chwila nagradza mi wszystkie cierpienia.

Ośmielona, poczęła mówić wyraźniej:

— Jam nie rozumiała, co czynię, miesiąc temu. Nie było pana przy mnie — i nie rozumiałam. Ale kiedy mi powiedzieli, że pan taki chory, poczułam, że to moja wina. Prawda?... Modliłam się za pana ciągle i obiecałam sobie, że jeżeli pan wyzdrowieje i pamięta o mnie, to ja...

Zatrzymała się i zadrgały jej powieki. Jan przerwał:

— Już mnie Bóg ocalił, pewnie na prośbę pani. Już zdrów jestem i silny, i gotów pójść w drogę, która mi przeznaczona. Już nawet szczęśliwy jestem, z łaski pani, boś mi powróciła wiarę, że są piękne dusze wśród ludzi — choćby jedna tylko.

— Pamiętał pan o mnie ciągle? I tak, jak dawniej?

— Pamiętać będę całe życie.

Halszka wstała i uroczystym wyrazem twarzy

zniewoliła Jana powstać także. Zeszli się, a ona rzekła. oddając mu obie ręce:

To jeżeli pan chce — ja zerwę moje zaręczyny...

Dodała szeptem:

— I będę twoją żoną.

Ale spojrzawszy na Jana, zdziwiła się. Błyskawica gniewu przeleciała w jej oczach. a na twarz wystąpił silny rumieniec. Jan stał sztywno. wpatrzony w ziemię. z czołem ściągniętem w podkowę. a lekkie drżenie rąk ujawniało jego wewnętrzną walkę. Więc księżniczka Zbarazka wyprostowała się. cofnęła ręce i zdławionym głosem rzekła:

— Czekam.

— Słowa, które obowiązują na zawsze, wymawiają się powoli — odpowiedział Dołęga.

Z łagodną przemocą ujął ją za ręce i posadził na fotelu, sam zaś usiadł blizko przy niej i przycisnął obie jej dłonie do swej piersi.

— Moja najukochańsza. jedyna! O większem szczęściu nie marzyłem nigdy, droższego daru nikt mi dać nie jest w stanie. Ale nie mogę przyjąć tej ofiary.

Halszka wyrwała ręce i twarz niemi zakryła. Łkanie wstrząsnęło nią i przez łzy odezwała się:

— To nie ofiara!

— Wiem, że szczera, że nieprzymuszona, ale bezwiedna ofiara — mówił Jan. — Dziecko moje! Ja o tobie jedynie myślę w tej chwili; ja nie byłbym

zdolny wymówić tego, com powiedział, gdybym dla ciebie nie pragnął szczęścia z całej duszy. Życie moje twarde jest i będzie, życie moje nie dla ciebie.

— Ale dlaczego? dlaczego?

— Bo chociaż jesteś najmilsza, najlepsza, zwykłaś się już z tą łatwością istnienia, w której wyrosłaś. I gdyby się stało to, czego chcesz dzisiaj, jutro byłoby ci podwójnie ciężkie. Możebyś wytrwała, ale w niepokoju, we łzach, w szamotaniu się samej z sobą. Ja tego nie chcę dla ciebie, ja się do tego nie przyczynię.

Oczy Halszki tak serdecznie patrzyły przez łzy, z takim zawodem wymawiały Janowi jego niewdzięczność...

— Dziwny, dziwny człowiek, — powtarzała.

— Nie dziwny, tylko inaczej rozumiejący... Boże mój! Jak to powiedzieć? Dziękuję całem sercem za twą królewską łaskę, nie mogłem się nawet spodziewać. A jednak przyjąć mi nie wolno. Ja twojem życiem żyć nie będę, bo zadałbym kłam wszystkiemu, czem jestem; ty mojem życiem żyć nie potrafisz.

— Dlaczego nie mogłabym pójść za panem wszędzie?

— Nie pójdziesz, dziecko moje — polecisz. Ale ustaniesz w drodze. Zawoła cię twoja przeszłość, zawołają rodzice, krewni, wszyscy których kochałaś, z którymi zżyłaś się od lat dziecinnych. I cierpieć będziesz nad tem, żem ja od nich

odmienny, albo, jeżeli masz bohaterskie serce, zaboli cię ono od walki z tym światem, do którego krwią i duszą należysz. Twe serce stworzone do szczęścia, nie do walki.

A Halszka patrzyła ciągle zawiedzionemi oczyma.

— Ciebie nęci zabawa, szum życia, towarzystwo ludzi bez troski Przypomnij nawet, coś pisała w liście.

— Tak było dawniej; zmieniłam się od czasu tej choroby. Ja sercem przechorowałam cały ten czas.

— Boś dobra, szlachetna, bo czułaś, żeś mi sprawiła ból, i teraz chcesz go nagrodzić. Nietylko spłacony jestem, ale dłużny ci na zawsze. Jednak pójść razem przez życie nie możemy.

— Więc i pan byłby ze mną nieszczęśliwy?

— Najdroższa! W takich chwilach i wobec pani, która mi jesteś pierwszą istotą na ziemi, nie wolno ukrywać prawdy. Tyś jest rozkoszą, a ja ciężką pracą. I nawet zgoda między nami byłaby dla obojga bolesna.

— To myśli pan, widzę, żem go nie warta?

— Pani! Nie pognębiaj mię takiemi słowami. Zrozumiej, co staram się powiedzieć. Dać szczęścia nie możesz skromnemu pracownikowi, boby go to szczęście zabiło.

— Więc chyba pan radzi, żebym wyszła za Adama?

Dołęga wstał i przeszedł się po pokoju.

— O tem nie mogę mieć zdania — rzekł po chwili — nie znam go dostatecznie.

— Ja wiem, pan go nie lubi.

— Nie chodzi tu o moje uczucie dla niego. Wydaje mi się uczciwym człowiekiem. Kobieca ręka może mu wskazać inny cel życia, niż samo zbieranie pieniędzy. O to chodzi. Więcej nie mogę powiedzieć.

I rzeczywiście poczuł niby fizyczny wstręt do słów swoich własnych.

Chwilę trwało milczenie, męczące dla obojga. Wtem Halszka powstała z fotelu i zapytała z niepokojem:

— Która godzina?

— Dochodzi czwarta.

— Ach! O czwartej muszę być u Kostków, gdzie i teraz niby jestem.

— Tak, trzeba koniecznie wrócić na czwartą i nie dać nic poznać po sobie.

Halszka obejrzała się dokoła, szukając lustra w pokoju, ale, że go nie było, przyłożyła chusteczkę do oczu, i zamiast zetrzeć z nich uprzednie różowe ślady, zapłakała nowemi łzami.

— Niech widzą, niech się dowiedzą... Wszystko mi jedno!

Jana chwycił taki żal, że stał przez chwilę bez ruchu z zaciętemi ustami. Ujął potem Halszkę za ręce.

— Dziecko moje... idź już... inaczej być nie może... idź już!

— Pójdę... więc już tak ma być?

A oczy jej poddane, niemiłosiernie piękne, mówiły:

— Więc nie chcesz mnie?...

— Zrozumiej mnie, pani. Walczę ostatnią siłą przeciw sobie — i tobie. Zmiłuj się nademną!

Litość, pełna czaru, zakwitła na dobrych ustach dziewczęcia.

— Do widzenia więc, mój drogi, zawsze drogi! Wierzę ci... Ale tak smutno.

Jan podniósł ręce Halszki do ust, potem do skroni swych, do oczu — i rzekł:

— Dla nas obojga lepiej, abyśmy się pożegnali na długie lata.

— I to jeszcze?! — wybuchła Halszka. — Już prawie zaczynam wątpić, czy pan ma co w sercu dla mnie.

— Nowe pani obowiązki...

— Zawsze obowiązek! A zresztą nic mi nie mówi, że to źle widywać pana. Ja tego chcę i pan mi nie odmówi.

— Chyba, żeby się wszelkiego szczęścia nie wyrzec...

Błysk pociechy rozjaśnił twarz Halszki.

— Do widzenia!...

Przysunęła się, skłoniła głowę na ramię Jana, a on przytulił ją mocno do drżącego serca i przymknął oczy. Poczuł, że to ostatnia chwila jego dobrej doli na ziemi. Już minęła. Nie wolno mu nawet pić dłużej zapachu tych włosów, ani dotknąć

ustami białej, błękitniejącej skroni. Więc oderwał się od niej nagle, z rozpaczliwą odwagą.

— Najdroższa moja... czas już...

Zapuściła na twarz gęstą woalkę i wymowne jej oczy zagasły. Janowi się wydało, że on sam, nieprzymuszoną ręką, targnął i zarzucił na przyszłe swe życie czarną zasłonę.

Ale nie rzekł już nic, odprowadził Halszkę do przedpokoju, otworzył cicho drzwi i wyjrzał, czy nikogo niema na schodach. Pusto było. Zbiegła szybko na niższe piętro, obejrzała się jeszcze i znikła na zakręcie.

Gdy wypuścił tego rajskiego ptaka z mieszkania, Jan powrócił do pracowni i usiadł, ciężko dysząc, wycieńczony własną siłą. I pomyślał, że kochać nie znaczy: używać, ale poświęcić siebie i cierpieć dla umiłowania swego.

XLII

Wiatr jesienny panował nad wielką ławicą drzew różnobarwnych, skłębionych, rwąc miryady liści i niosąc je przez jasne powietrze złocistą zamiecią. Z wyższego punktu, z którego patrzył Andrzej, park Warski wydawał się płynnym, spadającym przewałem jaskrawych fal, a wierzchołki świerków i modrzewi, leniwie chwiejne, — masztami zatopionych okrętów. Niebo, choć jasne, pełne było rozmiecionych, białych chmurek; i tam panował wiatr przemożny, któremu wkrótce nie ostoi się piękna pora roku: wiatr zerwie tę krasę ogrodów, zabrudzi niebo, przejmie mrozem stężałą ziemię. Kiedyś znowu zwycięży wiosna, ale czy będzie równie młoda, jak dawniejsze?

Po szeleszczących liściach poszedł Andrzej niżej i głębiej między drzewa, aż do polanki osłoniętej od wiatru i usiadł na ławce, patrząc w górę na walkę i lament drzew. Nie próbował nigdy malować, ale miał rozwinięte poczucie kolorytu. Więc, patrząc na wierzbę płaczącą, której cienkie, szarozielone gałązki kładły się poziomo na wietrze

poprzez rubinowe, pomarańczowe, szczerozłote, złoto-zielone liście klonu, myślał o takim gobelinie: na osnowie poprzecznej tych nitek wierzbiny jesienne bukiety klonu... Jakie bogactwo!

Tam, gdzie siedział, było dość cicho; zapachy silne, jędrne i tęskne napełniały powietrze. A wyżej wiatr grał ciągle na cienkich strunach wierzby, na basowych strunach pni pochylonych — pieśń monotonną i pełną, rosnącą od mocy do zaciekłości, nieustanną. Suchy szept niższych krzewów odzywał się niby bojaźliwym podziwem o górnej pieśni. Oderwane zaś liście żyły jeszcze chwilę pędem w przestrzeni, błyskiem w słońcu, aż spotkawszy zaciszną polanę, spadały wirującą drogą i układały się cicho do śmierci.

Andrzej siedział długo ogarnięty rozegraną, wonną, barwną przyrodą i myśli o sprawach jego własnych rozpuszczały się w melodyach, w zapachach, w malowaniach.

Był sam i tylko przejazdem w Warze. Rodzice wyjechali z Halszką po wyprawę do Francyi. On zaś, wybierając się na Wołyń na polowania konne, wstąpił do Waru, aby się przygotować i obejrzeć swe konie wierzchowe. Lubił te polowania, słynące ze świetności sportowej, z gościnnego przyjęcia i wesołego zjazdu dobrych jego znajomych. Nieprzewidziany wypadek zatrzymał go w Warze i opóźniał wyjazd: choroba Marsowicza. I teraz troska o starego przyjaciela zawołała go ponownie do mieszkania burgrabiego.

W pierwszym pokoju, w „kancelaryi“, zastał paru oficyalistów, parę kobiet i miejscowego lekarza, zapijających herbatę, w najlepszym humorze. Gdy wszedł, powstali wszyscy, jakby schwytani na złym uczynku, ale Andrzej zwrócił się tylko do lekarza:

— Jakże tam staremu?

— Coraz gorzej. proszę księcia. Nie wiadomo, kiedy się to skończy; w każdym razie, gdy puchlina dojdzie do serca...

Andrzej już to znał. nie dosłuchał więc i przeszedł do trzeciego z rzędu pokoju, gdzie Marsowicz siedział w wielkim. starożytnym fotelu, z wysokiem oparciem z tyłu i z boków, w jednym z tych wygodnych mebli, przeznaczonych do drzemki. a mogących służyć i do zaśnięcia na wieki. Staruszek nie chciał się kłaść, wolał siedzieć, mówiąc, że, gdy leży, dusi się. Wypraszał się zaś od śmierci uporczywie. W lipcu, gdy zaniemógł, mawiał, że chciałby jeszcze dożyć zaręczyn księżniczki. Gdy Halszka zaręczyła się, chciał jeszcze dożyć dnia jej ślubu. Ale nie było to już prawdopodobne.

Starzec miał nogi owinięte szalami, lewą rękę już bezwładną; prawa liczyła różaniec, a usta szeptały modlitwę. Zwrócony do okna, wypatrywał chciwie różowe blaski pogodnego zachodu, kładące się na widoczne stąd galerye podwórza.

Gdy spostrzegł Andrzeja, powitał go rytualnie, choć go już widział dzisiaj po raz drugi:

— Padam do nóg, padam do nóg.

Mógł wyrazić ten ukłon zaledwie przez zwrócenie głowy i wzniesienie ręki z różańcem.

Andrzej usiadł blizko przy Marsowiczu i rzekł:

— Piękna pogoda jesienna — prawdziwy czas myśliwski.

— A kiedy książę pan pojedzie na te polowania?...

— Kiedy ci będzie lepiej, panie Franciszku. Dlaczego mi nie mówisz po imieniu, jak zwykle?

— Jeden tylko jesteś przy mnie z moich panów, a już niedługo mi...

— Obiecałeś być na ślubie Halszki.

— Obiecałbym ja doczekać i szóstego pokolenia, ale moc Boża... Niech ci Bóg błogosławi, że nie opuszczasz starego sługi, choć masz inne zajęcia.

Andrzej dotychczas wahał się, czy pojechać na Wołyń wobec groźnego stanu Marsowicza. W tej chwili postanowił poświęcić polowania i uczuł nawet zadowolenie z tej ofiary.

— Nie mogę odjechać. Ten człowiek prawie do rodziny należy.

Tak pomyślał, a odpowiedział głośno na inny przedmiot, poruszony przez Marsowicza:

— To dzieci Halszki, albo moje, byłyby już szóstem naszem pokoleniem za twojej pamięci?

— A jakże! Książę wojewoda, świeć Panie nad jego duszą, skończył wiek swój w roku 1825, kiedym był wyrostkiem i jeszcze w domu rodziców moich. Zajechał raz do nas, bo był pan

ludzki; pamiętam... Synem jego był książę Andrzej, pradziad twój. Z dziadem, księciem Hieronimem, byliśmy rówieśnikami; ojca i ciebie znam od dziecka. To pięć pokoleń. Szóstego już nie zobaczę...

— Pradziada mego znałeś dobrze, panie Franciszku?

— Czy znałem? — rzekł staruszek, wyprężając żyły szyi, aby się zwrócić do ściany, na której wisiała pożółkła litografia. — Patrzyłem na tego świętego, tak jak tu na ciebie... To był pan!

— I jakże? — zapytał młody Zbarazki z uśmiechem — odnajdujesz w nas ducha księcia Andrzeja?

— Krew ta sama — odrzekł Marsowicz, spoglądając przez okno.

Chcąc złożyć w głowie cytatę, ruszał przez chwilę wargami bez głosu, a potem wyrecytował:

— „Ten pan był większy od przodków swoich, bo mierzyć się może z nimi zasługą dla społeczeństwa, a czasy, w których żył, nie były urodzajne w wielkich obywateli, ani obfitowały w pola, do zasług sposobne...“ Tak pisał o księciu Andrzeju pan Bartoszewicz... I ten już nie żyje.

Marsowicz odsapnął po dłuższej przemowie.

— Bartoszewicz pisał o moim pradziadzie. Gdzież to drukowano?

— Nie drukowano wcale — a szkoda... Mam kopię manuskryptu; stoją tam spisane czyny jego.

— Czy mówisz, panie Franciszku, o jego zawodzie wojskowym?

— Nie tylko, nie tylko. O tem wszyscy wiedzą. Ale jaki on był u siebie, w domu!... Ojciec ludu i szlachty, ojciec prawdziwy...

— Słyszałem — rzekł Andrzej — że się bardzo zajmował ludem wiejskim.

— A szlachtą to nie?... Zawsze było na zamku kilkunastu z młodzieży szlacheckiej... Szkoła obywatelska, jak podówczas mówiono.

— Musiało być trochę nudno w Warze? — wtrącił Andrzej.

— Gdzie zaś?! Bawiono się jak nigdy. Zjeżdżało się państwo z odległych stron... Bale, kuligi, polowania... Tylko nie każdy mógł się dostać do zamku, ho, ho!

Andrzej zauważył, że mówienie męczy dzisiaj starego, więc zamilkł, ale Marsowicz, po chwili odpoczynku, sam rozpoczął znowu:

— Ja wtedy byłem piwniczym. Nasłuchałem się pańskiej konwersacyi... Jak niegdyś panowie mówili! I o jakich rzeczach... Kiedy się starszyzna zebrała, spisywać było, co kto prawi...

— Lepiej było dawniej, co, panie Franciszku?

— Niby, że stary tak zawsze narzeka?... Bo i doprawdy. Każdy czas ma swoich panów, ale czy czasy gorsze, czy ja już tak stępiałem...

— Niema dziś panów; panują silni i bogaci.

Starzec spojrzał surowo na młodego księcia:

— A to kto mówi?... Toby i Zawiejscy z ekonomów naszych byli panami?... I te eleganty, co to im cudze pachnie lepiej, niż swoje? I ci, co za-

pominają, gdzie się urodzili i wyrośli?... A, jak można tak nawet żartować!

Andrzej powstał i pocałował Marsowicza w białe włosy.

— Masz słuszność, żartuję, przepraszam cię, panie Franciszku.

— Nie mnie, nie mnie, Jego przepraszaj — mówił Marsowicz, trzęsąc ręką ku portretowi pradziada — nosisz Jego imię, Andrzeju... I masz... i masz w sobie jego zacną duszę, tylko dorośnij... Bo nawet Zbarazcy bywali mniejsi i więksi...

Rozrzewnił się i zamilkł.

Do pokoju służący wniósł lampę i wszedł lekarz. Stwierdził, że chory ma gorączkę i zalecił spokój.

— Już noc — westchnął Marsowicz. — Książę pan teraz na obiad, a jeżeli łaska jeszcze potem odwiedzić starego... Ale czy mi się zdaje, że już po siódmej?

— Tak, już kwadrans po siódmej.

— A nie bębniono dzisiaj na obiad?

— Kazałem zaprzestać. Sam jestem w zamku, głos tego bębna rozlega się po pustych salach, jak alarm.

— Szkoda...

— Jutro każę zabębnić.

— Jutro?... Dziękuję za wszystko. Padam do nóg.

Andrzej poszedł do sali jadalnej, gdzie oczekiwał go Kordysz i administrator. Zaprosił ich na

obiad, aby mieć towarzystwo przy stole. Pierwszy raz znajdował się zupełnie sam, w ogromnym zamku, podczas długich już wieczorów. Zamierzał wpaść tu na jeden dzień, a bawił około tygodnia, i świeżo postanowił nie wyjeżdżać aż się rozstrzygnie los Marsowicza. Póki jasno było, nie nudził się: gawędził ze starym, chodził po parku, strzelał trochę; ta kąpiel w samotności podobała mu się po gwarze wielkich miast, z których powracał. Ale wieczory były ponure. Oprócz nielicznej służby, pozostałej na wsi, nikogo nie było w zamku. Lada dźwięk budził echa po salach, każdy szmer natężał się w tej rozległej, oprawnej w wielkie mury, ciszy. Aż niepokój nerwowy ogarniał samotnego dziedzica na Warze.

Po obiedzie przeciągnął rozmowę z Kordyszem o myśliwstwie, ale trzeba było pożegnać łowczego, który miał wracać nocą parę mil do swego mieszkania we środku lasów.

Około dziewiątej poszedł znowu do Marsowicza. Lżej było choremu, choć gorączka się wzmogła; sam prosił, żeby go przeniesiono z fotelu na łóżko. Senny i mniej rozmowny, mówił pacierz szeptem, a czasem wybuchał głosem większym i żarliwszym. Andrzej siedział zamyślony, przy lampie, wpatrując się w twarz chorego.

— Nudno ci tak... możebyś wziął co do czytania... Znasz ten manuskrypt o księciu Andrzeju?

— Nie znam.

— To sięgnij do komody — górna szuflada na prawo — okładka zielona.

Andrzej wynalazł bez trudności rękopis i począł wertować pożółkłe karty. Zajął go niebawem ten portret, kreślony zwięźle, bez przesady panegirycznej, na dobrze malowanem tle epoki. Pogrążył się w czytanie.

Dowiedział się dokładnie o „chłopomanii“ swego pradziada, o której słyszał często. Ale pod piórem historyka ta mania wyglądała inaczej, dużo poważniej. Andrzej zamyślił się nad tem, że starzy włościanie Warscy pamiętali jeszcze tego pana, nazywając go niezmiennie „księciem ojcem“, jednak ci sami i ich potomkowie nie okazali wiele wdzięczności rodzinie książęcej przy zatargach o serwituty, przez nadużycia wszelkiego rodzaju. Ale przypomniał sobie i to, że okolica Waru odznacza się piękniejszemi chatami, często murowanemi, na które książę Andrzej dawał darmo cegłę, że są przy nich sady, że nawet istnieje przysłowie: „co chłop Warski, to łebski i dziarski“, a to z powodu, że wielu umie czytać, zna kunsztowne rzemiosła i lepiej się ubiera, niż okoliczni.

„Nie na wdzięczność on pracował, lecz na pożytek kraju“.

— O czem czytasz? — odezwał się Marsowicz.

Andrzej wzdrygnął się na ten głos starca, o którym był przez chwilę zapomniał. Powtórzył mu przeczytane zdanie.

— Święte słowa — rzekł poważnie Marsowicz.— To był pan.

Urzędową historyę swego pradziada Andrzej znał; mniej go więc zajmowały dokładne daty różnych fundacyi starego księcia, jego tytuły założycielskie, prezesowskie, których wiele było w życiorysie. Uderzało go bardziej ciepło niekłamanej czci, wiejące ze słów historyka; szukał też szczegółów, „jakim książę Andrzej był u siebie w domu“, według wyrażenia Marsowicza. Tych szczegółów mniej się znajdowało w rękopisie. Jednak pisarz charakteryzował życie zamkowe za owych czasów, mówiąc, że nawet zjazdy i zabawy miały pewien styl i sens społeczny; skład towarzystwa nie był przypadkowy, owszem, powstawał z przemyślanego doboru. Census stosowano bez pedanteryi i przesady, lecz census istniał wyraźnie; obok krewnych, obok głośnych nazwisk, spraszano do Waru ludzi odznaczających się ze wszystkich sfer towarzyskich, wyłączając starannie podejrzanych, wyuzdanych, pretensyonalnych próżniaków, kosmopolitów, samolubów wszystkich odmian. Ludzie, którzy często bywali w Warze, nabierali nietylko poszanowania dla książęcego domu, nietylko nauki, poloru, nietylko wdzięczności za różne dobrodziejstwa (bo książę był hojny i lubił zobowiązywać przyjaciół), ale powoli wiązali się w grupę, w stronnictwo, wkładali „mundur przyjacielski“, który obowiązywał do wielu cnót i zalet, jak mundury sławnych i odznaczonych pułków. Stronnictwo Warskie liczyło w sze-

regach wielu obywateli zasłużonych, wtedy lub później; wywarło swój wpływ na wewnętrzne dzieje nasze i historyę naszej cywilizacyi. To także niemała spuścizna po tym człowieku jasnej głowy, zacnej ręki i gorącego serca. Tak pisał historyk.

— O czem czytasz? — odezwał się znowu Marsowicz.

— Czytam, jak się dobierało towarzystwo w zamku za czasów pradziada. Dobrze się dobierało.

— Tak... gałgana on przez próg nie puścił...

Rękopis wspominał dalej różne urządzenia i upiększenia zaprowadzone w Warze przez księcia Andrzeja. Ten pan lubił rzeczy krajowe i trwałe, przedewszystkiem zaś urządzenia na pożytek kilku pokoleń. Mawiał skromnie, że pracuje dla prawnuków, jednak budował gmachy, kreślił szerokie plany ogólniejszego użytku, z których nietylko potomkowie jego, lecz potomstwo sąsiadów, sług, poddanych, znajomych i nieznajomych osiągać miało, albo i osiągnęło korzyść. Miłością swą rodzicielską ogarniał całe plemię; nie przestając być „pater familias“, pragnął zostać „pater patriae“. Naszym obowiązkiem przyznać mu to najzaszczytniejsze miano — pisał historyk.

Tak, naprzykład, mniemając, że dobre drogi komunikacyjne są pierwszym warunkiem normalnego krążenia ożywczych soków w organiźmie społecznym, wydał znaczne pieniądze na poprawę traktów, na budowę mostów i promów. Chciał nawet pro-

wadzić drogi przez cudze terytorya, zaczął układy w tym przedmiocie i pozostawił plany rozległej sieci dróg, których śmierć nie pozwoliła mu wykonać.

— Żeby to wiedział Dołęga! — pomyślał Andrzej, uderzając machinalnie palcami o kartę rękopisu.

Marsowicz coś dosłyszał i odezwał się, przerywając pacierz:

— Na co tam mój pan natrafił?... co go ucieszyło?

— Nie tak ucieszyło, jak zadziwiło. Pradziad pozostawił podobno jakieś plany budowy dróg. Gdzież one są?

— A są w bibliotece.

— Czemu wcześniej nie mówiłeś mi o tem, panie Franciszku?

— Nikt nie pytał.

Andrzej przerwał teraz czytanie i zamyślił się nad pokrewieństwem portretu swego pradziada z żywą i dobrze znaną postacią Jana Dołęgi.

— Te drogi, których tamten nie dokończył, a które dzisiaj ten chce prowadzić.. Ten sam program przewodnictwa w pracy społecznej... To samo pojęcie arystokracyi narodowej... Więc to nie mrzonka młodzieńcza — byliśmy niegdyś tacy. Kto z nas zachował tradycyę „księcia ojca“? my, Zbaraszcy, czy on, Dołęga? Kto wziął po starym księciu moralną spuściznę?

Zapragnął mówić jeszcze i jeszcze o tym sław-

nym przodku, którego przykład podnosił mu serce, a razem budził uczucie zbawiennego wstydu.

— Cóż o nas napisze historyk?...

Zwrócił się znowu do żyjącego jeszcze świadka owych czasów, ale nie postawił zamierzonego pytania, gdyż chory wydał mu się zatopionym w wizyę jakąś i żarliwą modlitwę: oczy miał olśnione, bił się w piersi i zwykły pacierz mieszał z nowemi przemowami:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu. Obok niego, Boże mój, po prawicy Twojej... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... miejsce dla sługi wiernego...

Andrzej zaniepokoił się i poszedł do sąsiedniego saloniku, gdzie drzemały w fotelach dwie niemłode kobiety, dozorczynie. Ocknęły się zaraz.

— Źle choremu. Możeby posłać po księdza?

— Był już rano, proszę księcia pana.

— Ksiądz proboszcz już go wysłuchał, proszę księcia pana.

Chory tymczasem modlił się ciągle, tylko oczy kleiły mu się powoli i słodki spokój rozlewał się po twarzy. Poznał Andrzeja, gdy ten pochylił się nad nim, bo zwrócił do niego spojrzenie pełne wymowy. Było w tem spojrzeniu coś z uśmiechu zasypiającego dziecka do niańki i z tęsknoty człowieka, odchodzącego w drogę niepowrotną. Zamknął powieki, pierś podnosiła się krótkiemi falami: starzec zasnął.

Andrzej posłał po swego przybocznego strzelca

i kazał zapalić wszystkie lampy w gabinecie ojca, dokąd poszedł przez podwórze, przez galerye i ciemne pokoje. Noc czarna i wietrzna ogarniała stary gmach ponurym koncertem jęków; odgłos kroków po kamieniach znaczył w tej muzyce miarowe odstępy.

Andrzej rzekł do strzelca, który go poprzedzał z latarnią:

— Oświetlić mi tu po drodze z gabinetu do mieszkania pana burgrabiego i trzymać światła aż do rana! Nogi można połamać w tych ciemnościach.

W istocie zaś dreszcz nerwowy przejmował go: ogromny zamek zdawał się tej nocy pełnym dziwów i tajemniczych zasadzek. Dopiero pokój ojca był weselszy z powodu lamp zapalonych i ognia na kominie. Andrzej usiadł na zwykłem miejscu księcia Janusza. Choć noc była późna, nie czuł się sennym, owszem podnieconym i nastrojonym uroczyście.

Po za murami jasnego pokoju, ponad nim, pod nim, naokoło grały głuche chóry, jak daleki głos organów, wyły gardła kominów, jęczały blaszane dachy: zamek rozgadał się na potęgę. W tej sferze dźwięczącej panował zgiełk i niepokój, niby walnej bitwy. Ale Andrzej miał dzisiaj w sercu dumne pragnienia i dobrze mu było pośród walki zamczyska z wichrem. Powstawały w nim samym silne głosy, wołające go od wygodnego życia do nie-

znanych uciech czynu. I głosy te układały się harmonijnie, płynęły zewsząd, zlewały się w kategoryczny nakaz. Tak chciał za niego Jan, tak mówił dogasający starzec, tak żył wielki pradziad...

Zaczął pisać gorący, długi list do Jana Dołęgi.

Pisał długo. Noc upływała i cichła, wiatr się wydyszał i ledwo czasami ziewnął przeciągle, aż zasnął, pozostawiając i zamek we śnie głębokim. Andrzej słyszał dzwonki w uszach, skrzypienie pióra po papierze, osuwanie się gasnących węgli w kominie. Zapomniał gdzie się znajduje i pisał, pisał...

Zdanie jedno zaczęło mu się układać w rytm, którego nie pragnął zachować, jakiś rytm obcy, wkraczający przemocą, coraz natarczywiej... Przerwał pisanie, ale ów takt, bijący gdzieś około niego, trwał... Zaczął nasłuchywać i uprzytomnił sobie nareszcie, gdzie jest i że zbliżają się do niego czyjeś kroki. Niby z góry?... Nie — zapewne przez galerye wewnętrzne?... Tak — szedł ktoś do niego, ale, jak długo, długo... Ileż kroków naliczyć można przez ten zamek?

Zżymnął się najprzód, że mu przeszkadzają — tak mu było dobrze z górnemi, nowemi myślami. — Potem, ponieważ krew mu kipiała w skroniach, przypuścił na chwilę, że ujrzy zjawisko nadprzyrodzone. Wszystko możliwe w tym zamku.

Oparł obie ręce na stole i wpatrzony we drzwi, do których zbliżały się kroki, czekał.

Skrzypnęły drzwi i ukazał się w nich strzelec blady, milczący.

— No co? gadajże prędzej!

— Proszę księcia pana .. pan Marsowicz skończył.

. . . .

Starzec leżał niby uśpiony, z uśmiechem na ustach.

Do Andrzeja przypadły kobiety, płacząc, całując bez potrzeby po rękach i opowiadając gorącym szeptem:

— Jak święty, proszę księcia pana, jak święty... Ledwo mu śmierć zajrzała w oczy, już go nie było... Taki człowiek...

— Czekajcie... dajcie mi pokój. Dlaczego nie sprowadzono mnie natychmiast?

— Ledwo się obudził i jęknął, myśmy się spytały co trzeba, a on tylko do księcia pana się odezwał...

— Do mnie?

— A tak, powiedział: „Czy nasz pan już odszedł“? — i skończył.

Andrzej uklął przy łóżku i ujął starca za wierną rękę, już ziębnącą; wpatrywał się w twarz znajomą i kochaną od lat wielu; dzisiaj po raz pierwszy ta twarz wydała mu się dumną, uśmiechniętą z wysoka na wszystkie ziemskie zaszczyty. Skłonił głowę i długo pozostał na klęczkach przy zwłokach ostatniego świadka dawnej wielkości Zbarazkich.

Gdy wstał, zapragnął odetchnąć świeżem powietrzem.

Obfita chmura mgły spadła o świcie na zamek, prześwietlona już rosnącą jasnością. Szare pasma wisiały i włóczyły się leniwie po gzemsach podwórza, pod łukami głównej bramy. Andrzej wyszedł na zewnątrz czworoboku i zadziwił się, nie poznając rodzinnych murów. Mgła odziewała zamek w puszystą, srebrną delię — i stary gmach stał ogromniejszy, odosobniony od zasłoniętych okolic, rozparty samotnie na zamkowej górze, gubiący w niebie korony swych baszt i wyniosłą kitę dzwonnicy. W nieokreślonej przestrzeni górował tylko on jeden, pyszny, niezwiązany pozornie z ziemią, która go nosiła.

Myśli i wzruszenia tej nocy, nurtujące duszę Andrzeja do głębi, doszły teraz do najwyższej potęgi. Dreszcz go przejmował, nie lękliwy, lecz rozkoszny dreszcz natężonych pragnień. Stał oparty o poręcz mostu, wpatrzony w zamek ojców swych, i zdawało mu się, że jest dzisiaj nowym człowiekiem: czuł, że trzeba, że chce godnie panować na Warze.

— Trudno, coraz trudniej...

— Coraz większa zasługa, coraz wyższa chluba,— odpowiadały przemożne głosy, zlane w kategoryczny nakaz.

Tymczasem dumny gmach tracił posępną grozę, bo mgła rzedła i stawała się lekką, błękitniejącą osłoną. Wystąpiły ozdoby krużganków na baszcie

wschodniej, zarysowały się smukłe ostrołuki bramy, a na dachach blaszanych zakwitł zdrowy rumieniec pogody. Zamek uprzejmym uśmiechem witał okolicę.

Z góry zamkowej mgła uciekała spłoszona przez powiew ranny, odsłaniając czerwone dachy podzamcza, i zlewała się z wielką, białą doliną. Już ją i stamtąd wypędza gospodarny wietrzyk, już trakt Warski coraz dalej w świat zapuszcza swój rząd podwójny lip złotych, już widać długie wsie szare na bladych polach, i srebrne oczy wód nabierają blasku coraz więcej.

Niema już mgły między zamkiem a krajem. Okolica odpowiada na uśmiech wyniosłych murów: śmieją się białe chaty, murowane przez księcia Andrzeja, śmieją się jesienne, barwne sady.

Wtem na twarze chat białe, w jasne oczy wód wstąpił gorący blask, a na zamku wybuchnął jaskrawą purpurą.

— Witajcie pod jednem słońcem! — płynął głos poważny z góry.

— Witajcie pod jednem słońcem! — gwarnie odpowiadały niziny.

Andrzej, który dotychczas patrzył tylko na zamek, objął spojrzeniem rozpostartą szeroko krainę, i wyciągnął do niej kochające ramiona:

— Ziemio moja!

KONIEC.

